

MARIA RODZIEWICZÓWNA

JAZON BOBROWSKI

PODSTAWY NINIEJSZEJ EDYCJI: *NOWELE* — S. LEWENTAL,
WARSZAWA, 1890

„RYNGRAF (W TOMIE: *STRASZNY DZIADUNIO. RYNGRAF.* POZNAŃ,
WYDAWNICTWO POLSKIE, 1931)

JAZON BOBROWSKI

Über allen Gipfeln ist Ruh!

Goethe

Sukcesja! O słodki wyraz! Ideał marnotrawców i próżniaków, smaczny kąsek dla wierzyteli i urzędników, marzenie ludzi zdolnych i ambitnych, literatów pragnących zostać redaktorami dziennika, bankrutów i nędzarzy.

Tak, każdy z nich byłby upojony radością po otrzymaniu telegramu o zgodnie starej ciotki lub bezdzietnego stryja, snułby najzuchwalsze projekta, a w każdym razie nie miałby tak znudzonej i obojętnej miny, z jaką pan Ksawery Bobrowski czytał pewnego letniego wieczora list zwiastujący mu o śmierci panny Heleny Bobrowskiej, dziewicy pięćdziesięcioletniej, rodzonej siostry jego ojca, po której pozostałe ruchomości i nieruchomości do niego wedle prawa należą.

Zachodzące słońce wdzierało się przez otwarte okna domu i oświecało, jaskrawo, ciemną ogorzałą twarz właściciela i ubogą, pustą wielką izbę.

Był to człowiek młody jeszcze, znać zmęczony upałem, pracą, troską gospodarczą czy życiem. Oczy jego ciemne spod szerokiego czoła przebiegały machinalnie papier, rysy miały wyraz przykrości.

Na co mu ten spadek? Czy miał sumiennie prawo do niego, on, co swej ciotki nie znał, nie odwiedzał? Może odbierał go komuś, co ją kochał, osładzał jej starość, co dla niej pracował?

Rzadką może była ta delikatność, lecz pan Ksawery był

tak niepodobny do swych rówieśników! Syn utracjusza, a kochał pracę i od lat najmłodszych, w pocie czoła, sam zdobywał naukę i chleb. Przykład ojca, kolegów, życie w stolicy, młodość, nic go nie zbiło z raz powziętej drogi, szedł wciąż naprzód z jakimś cichym, kamiennym uporem, dopóki nie dobrnął do celu. Zdał egzamin na adwokata, znalazł klientów, sprawy. Odetchnął, zapomniał w krótkim czasie o niedostatku i trudach. Życie uśmiechnęło mu się na małą, krótką chwilkę; młodość upomniała się o swe prawa — był szczęśliwy.

I znowu zgasło wszystko, jak spadająca gwiazda. Ojciec mu umarł zostawiając mnóstwo długów, procesów, największy bezład w rachunkach, chaos interesów, wśród którego Ksawery rzucał się jak ryba w sieci, aż w końcu z dóbr został mu jeden folwark, gniazdo rodzinne, okruchy magnackiego mienia.

I na tym zostały długi, i to mu radzono sprzedać. Zmilczał; lecz po jakimś czasie zwinął swe bagaże i wyjechał z miasta do tego szmatu rodzinnej ziemi, który mu obowiązek kazał ratować dla idei narodowej, ratować choćby kosztem własnych upodobań, kariery i szczęścia.

Milczał żegnając stolicę i życie swe dawne, milczał też, stanąwszy na dziedzińcu Wysokiej Woli; lecz od tej chwili nic nie zostało mu z optymizmu młodości: sponurzał, zdziczał, nie uśmiechnął się nigdy.

W Wysokiej Woli znalazł dwa koty, bociana, parę jaskółczych lepianek i miriady myszy a szczurów rozwielnionych w mieszkalnym domu. Budynki nie miały strzech, płoty popalone ze szczętem, narzędzia gospodarcze, okna, nawet drzewa w sadzie pokradli sąsiedni chłopi. Woda nawet powysychała w studniach. Odtąd minęło lat ośm i nikt by nie poznał owej rudery.

Jakby cudem zjawiły się wysokie słomiane dachy i pługi na zachwaszczonych ugorach, i kosy znów dzwoniły po łąkach, i pieśń żniwiarzy niósł wiatr od łąków zbóż. Podwórzec zarósł, zaszumiał, bocian klekotał na pełnej stodole, jaskółki świergotały radośnie, nawet szczury uznały nowego, godniej—szego nad nie pana i wywędrowały z domu.

Tak, był to cud pracy jednego człowieka. W kraju naszym, tak nawykłym do ruiny i licytacji, ludziska z jakąś czcią zabobonną patrzali na ten fenomen samodzielnego dźwignięcia się z upadku. Przed panem Ksawerym chylono czoła, proszono o radę w każdej kwestii, noszono go na rękach prawie.

On szedł naprzód z żelazną wytrwałością. Z miastowca nie zostało w nim i wspomnienia: odzież nosił samodzielną, strawę jadł czeladną, ręce nierzadko chwycyły kosę lub pług; a gdy mu czasem zamajaczą! obraz przeszłości, to uciekał odeń jak od pokusy, w pole lub do książek.

Lokaj, Mazur, zbytek stolicy, i stara baba, zarazem ochmistrzyni, kucharka i praczka całego dworu, oto było towarzystwo, które zastawał po mozolnej dziennej pracy na progu domostwa.

Miał jeszcze psa, Oresta, i ulubioną klacz, Brawurę, którą Mazur uparcie nazywał „Farfurą”, i tak żył zasklepiony, jak muszka, bojąc się wyjrzeć za granicę powiatowego miasteczka, żeby go nie napadła nostalgia za zerwaną przeszłością i nie kazała mu zapomnieć o obowiązkach.

Łatwo sobie wystawić jego uczucie niechęci wobec perspektywy podróży dalekiej, nudnej, w jakąś zapadłą okolicę wołyńskiego Polesia, w czasie właśnie kosawicy,

po spadek starej ciotki składający się zapewne ze starych, wyszłych z mody sukien, kota czy pudła faworyta, kapryśnej sługi, srebrnej tabakierki i odwiecznych modlitewników. Nigdy nie słyszał, by stara panna posiadała coś więcej.

Co się zaś tyczy domu, ogrodu, słowem nieruchomości, była to zapewne rudera na wydmie, zupełnie mu bezpożyteczna, a nawet kłopotliwa, o dwadzieścia mil od majątku, w okolicy, gdzie brak nabywców i kapitału.

To coraz smutniejsze rozmyślanie pańskie przerwał Mazur Walek wnosząc jakiś preparat kucharki, zaprawny cebulą i tłustością, mieszaninę kartofli i grochu, bez nazwy w sztuce kulinarnej.

Pan Ksawery złożył list, zapalił zagasłe cygaro, dowodzące swym kształtem, że Hawanny nie widziało nigdy, i rzekł krótko, zwracając się do swego factotum:

— Walek, jadę jutro na parę tygodni. Ton był rozpaczliwej determinacji.

Ospowata, opalona na brąz twarz Mazura rozszerzyła się beźmiernym zdziwieniem.

— Dlaboga, a to gdzie? — spytał.

— Gdzie? Czekaj — rzucił okiem raz jeszcze na list — do „Dworzyszcza”.

— Eee! a gdzie też to?

— Nie wiem. Podobno na Wołyniu.

— Jakże pan trafi, kaj pan nie wie? A po drugie, jakże pan odjedzie, kaj nam żniwo za pasem?

— A ty?

— Aha, ja! Ta ja se zostanę. A czymże pan pojedzie?

— Ano, końmi i węgierskim wózkiem.

— Ech, to chyba Farfurą, bo juści koni od brony brać nie wypada.

Na ten argument pan zamilkł pokonany. Jadł milcząco swój wieczorny posiłek i wyglądał przez okno na bydło wracające powoli z pastwiska.

— Niech będzie Brawura — mruknął wreszcie. — Osiodłaj mi ją przed świtem, upał prześpię gdzieś w drodze, a na noc ruszę dalej.

— Ino niech pan weźmie liwolwer i Chorestę. A może lepiej poczekać do soboty, bo w piątek chrześcijaninowi jeździć nie ładnie — zawyrokował Waldek wychodząc z pokoju.

Tej nocy nikt nie spał w Wysokiej Woli. Służba czekała końca świtu, nie pojmując jak pan bez nich, a oni bez pana obejdą się przez trzy tygodnie, a pan żegnał swój dom tak uroczyście, jakby szedł na śmierć pewną. Można śmiało zaręczyć, że pisał testament, bo noc całą tłukł się po swym pokoju jak dusza pokutująca.

Brzask wschodu zastał go siadającego na koń. Wydał ostatnie rozporządzenia i słuchał cierpliwie poleceń swego Mazura.

— Niech pan patrzy na walizkę za siodłem, a niech pan nie poi gorącej klaczy, a niech pan psa karmi, a niech się pan nie postrzeli liwolwerem i pieniądze lepiej schowa. O rany! i pan myśli z tą brodą nie ogoloną jak opryszek jechać! Niech pan zaczeka chwilczynę, ja migiem przystawię lusterko, brzytwy i mydło.

Tu się wyczerpała cierpliwość pańska. Burknął coś bardzo energicznie, zebrał cugle i wskoczył na klacz, i uciekł od owych obiecanych brzytw i mydła wyciągniętym kłusem, gwizdząc na psa.

Walek jeszcze biegł i lamentował, i o coś prosił, aż mu pan zniknął na zakręcie polnej drożyny, i został po nim tylko ślad kopyt na rannej rosie i głuchy tentent, i radosne

skomlenie psa. Mazur wybiegł jeszcze na wzgórze i przysłoniwszy dłonią oczy od jaskrawej zorzy, widział sylwetkę jeźdźca, jak dobiegł gościńca i zawrócił na szlak wołyński, na wschód. Wówczas zszedł z pagórka i kiwając głową ruszył ku domowi.

I taki uparty! Pojechał nie ogolony i ani dba!

Nieokreślone było rozmyślanie Bobrowskiego, gdy tak gnał prosto przed siebie, niepewne jak szary świt, puste jak bezmierny piaszczysty gościniec, na którym sarnie nóżki Brawury nie podnosiły nawet odrobiny kurzu. Ile mil przejechał, nie wiedział do chwili, gdy klacz zwolniła biegu. Spojrzał na nią. Biedne zwierzę! Odpowiedziało godnie swej nazwie. Cała w pocie, z dymiącymi bokami, gryzła munsztuk biały od piany i wyciągała swą pyszną suchą główkę rżąc, jakby się żaliła i prosiła o coś. Słońce białe, gorejące stało nad głową, paląc ogniem; chciała pić, a oczy dostrzegły w dali żurawia studni u karczmy przydrożnej.

Bobrowski zaklął w wąsy samego siebie.

Wszak to Czerwonka! Pięć mil gnałem nieszczęsną. Co by na to Walek powiedział!

Karczma nie była pustą. Bryczkę jakąś smarował woźnica, a w progu stał mężczyzna i palił cygaro, patrząc na zbliżającego się jeźdźca.

Bobrowski znał go dobrze. Był to Filip Prowicz, dawny jego gimnazjalny kolega, trochę hulaka, trochę artysta, trochę gospodarz, natura bujna, niecierpliwa, niezdolna do niczego stałego, ale dobry towarzysz, zawsze wesół, zawsze żartobliwy bez obrazy, chochlik całej okolicy, ulubieniec starych pań i marzenie młodych panien. Żaden jarmark, żaden zjazd, imieniny nie obeszły się bez

Prowicza; niezbędny był tam na równi z winem szampańskim i kapelą.

Gospodarzył nietęgo, lecz majątek był piękny, a służba pamiętała rygor dawnych czasów. Właściciel zawsze śpieszył ze zbiorem i sprzętem, a gotówkę wywoził do Warszawy, skąd naturalnie nie wracał i szeląg.

Tam to spotkali się z Bobrowskim, przypomnieli dawne koleżeństwo i Prowicz odwiedzał odyńca, jak go łaskawie przeważ; odwiedzając śmieszył, wyciągał w sąsiedztwo, częściej drwił z niego i drażnił bez końca.

— Ładnie trafił — mruknął do siebie pan Ksawery — prosto w szpony tego paliwody. Nawet mi zasnąć nie da.

Naturalnie Prowicz o wiorstę już wrzeszczał i machał rękami:

— Witam, witam! Co to za wyprawa? Do Ziemi Świętej na krucjatę? Biedna Farfura! Pójdź tu, Orest! Czy się twój pan wściekł? Jakąś ma minę szczególną...

Zatrzymał się przed Ksawerym i patrzył mu impertynencko w oczy, nie racząc wyjąć cygara z ust.

— Już zaczynasz, Prowicz! daj mi spokój! Chcę spać, jeść i wypocząć.

— Mało co ty chcesz! Gadaj od początku. Gdzie jedziesz w ten sposób?

— Na Wołyń! — rzucił na odczepne, wprowadzając klacz do stajni i krzycząc na Żydówkę o owies, by zagłuszyć potok conceptów i zapytań. Uciekł do izby, zgadzając się na jaja i piwo, którym uprzejma gospodyni chciała go uraczyć, lecz i tam znalazł go utrapiony towarzysz.

— Jak to na Wołyń? co to Wołyń? dlaczego Wołyń? — dopytywał się chodząc za nim krok w krok.

— Za wiele pytań naraz — odparł wreszcie

zniecierpliwiony Ksawery, zapalając papierosa i rzucając się na pierwszą pustą ławkę. — Jadę, bom wziął spadek po ciotce; bliższe szczegóły znajdziesz tutaj. Ja chcę spać.

Prowicz porwał podany mu urzędowy papier, przeczytał i ukłonił się komicznie.

— Zatem udajesz Jazona, jedziesz po złote Runo do Kolchidy! Strzeż się, by ci jaka Medea nie przybyła do spadku. Oto moje zdanie! Co do snu, to radzę ci dać za wygraną. Wstawaj, upał wypędził ci całą krew z ciała do twarzy, jeszcze dostaniesz apopleksji. Wiesz, że ja tydzień temu byłem w Warszawie.

Przymknięte powieki Jazona podniosły się nagle. Prowicz znalazł słabą strunę i grał na niej.

— Tak — ciągnął dalej, siadając na stole i bawiąc się długimi uszami Oresta — tak, byłem w Warszawie i mam ukłony dla ciebie. Zgadnij od kogo?

Ksawery już siedział na ławie, coś niby uśmiech błysło około jego poważnych ust, wyraz zmęczenia znikł z twarzy.

— Ktoś bardzo piękny — drażnił Prowicz dalej. — No, domyślaj się.

Zamilkł patrząc ze śmiechem na przyjaciela i zanucił przez zęby:

*Jaki to chłopiec piękny młody,
Jaka to obok dziewczica?...*

— Daruję ci ten koncert — przerwał Bobrowski — ja wiem, kto mi przysłał ukłony.

— Ja wiem, ty wiesz, ona wie! Wszystko w porządku. Czekają tam na ciebie.

Ksawery się zamyślił. Bał, muzyka, światło gazu i wśród

mnóstwa osób jedna twarzyczka czarnooka. Stał przed nią. Uśmiechnięta figlarnie, nucąc odrywała pąsowy goździk od bukietu przy staniku i pochylona wkładała mu go w klapę fraka. Tylko tyle. Wir walca ich unosił. Kochali się cały karnawał, potem on wyjechał; pąsowy goździk i Prowicz wiedzieli tylko o tym.

— Brednie! — oburzył się pan Ksawery na swe młodzieńcze szaleństwo, pogrzebane od dawna, i na gadulstwo przyjaciela. — Dawajcie jeść!

Gospodyni, wezwana do porządku gromkim tonem rozkazu, przytoczyła się z jajami i piwem.

— Kędy tu na Wołyń? — zapytał.

— Daj pokój tej czarownicy — ofuknął Prowicz — od czegoż ja tu jestem! Mam krewnych w tamtych stronach. Jakże się zowie majątek twojej ciotki?

— „Dworzyszcze” podobno czy coś w tym rodzaju.

— Pewnie się pomylił, bom tej nazwy nigdy nie słyszał. W jakim powiecie?

— A kat go wie! Wszakżeś czytał list.

— Dobrze jesteś poinformowany, nie ma co mówić! Nad Styrem czy nad Horyniem przynajmniej?

— Nie wiem.

— Ślicznie, Ksawerku, w piętkę gonisz, mój chłopcze. Jazonie, Jazonie! jeżeli tak dalej będzie, to musisz się pożegnać z nadzieją ujrzenia Kolchidy. Nie mówię już o Medei, boś tej nie wart, i przeczuwam, że wasz piękny ród wygaśnie bezpotomnie.

— Milczcie wreszcie z tą Medeą! Mądry by był ten, co by wynalazł jedną rozsądną myśl w twym mózgu. Zabierasz mi darmo czas.

— Ruszajże więc na Sitkowce do Łęcznego. Jeżeli nie utopisz się na mostach, co ich nie ma, i karku nie skręcisz

na groblach z okrągłaków, to marsz lasami Woronieckimi aż po Młyńskie. Znajdziesz tam tęgą, rwącą strugę, stary, dziurawy bajdak i pijaka młynarza, gotowego zawsze dla złotówki topić się z tobą, przeprawiając na drugą stronę. *Capisco?*^{*1}

— Dziękuję. Jeżeli się utopię, przez wdzięczność przyjdę ci się pokłonić w czarnym pokoju, o samej północy.

— Mocno ci będę obowiązany, jeżeli zamiast tej głupiej farsy przywieziesz Medeę do Wysokiej Woli. Słowo daję. Z naszych pań można robić wystawę koczokodanów. Ożeń się, Ksawerku, jak mnie kochasz, a ja ci obiecuję zbałamucić żonę. *Cela va te jouetter le sang*^{*}. A tak, to postarzejesz przed czasem.

— Co ci znowu po głowie chodzi? Jeżeli się nie ożenił w Warszawie, to basta. Daj pokój bredniom.

— Aha, piękna była Amalka, co? Szkoda ci jej! A tak się rumieni, wspominając ciebie, choć ma pawiana męża, jakby to wczoraj oddawała ci swój goździk i serce.

Ksawery wstał i poszedł płacić do szynkowni. Przyjaciel nie widział jego wyrazu twarzy, choć był dość ciekawy, co myślał skryty mizantrop.

— Jeżeli mu żal owego serca — mruknął sam do siebie — to się do tego nie przyzna. Ladaco, skryty jak trufla.

Mylił się dowcipny pan Prowicz. Bobrowski patrzył na chmury i myślał o deszczu i o pokostach siana w Wysokiej Woli.

Parę nazwisk, zacytowanych przez gadułę przyjaciela, powtarzał sobie ciągle biedny sukcesor podczas tej mozolnej podróży. O południu drugiego dnia dojechał

¹ *Capisco?* (wł.) — Rozumiesz?

^{*} *Cela va* (fr.) — To cię ożywi.

zaledwie do Łęcznego. Tu była granica innego świata. Przed nim leżał kraj pusty, głuchy, zadymiony, bez dróg bitych, poczt, wszelkiej cywilizacji, porznięty śladami wozów dostawiających smołę, potaż lub dziegieć do rzek, pokryty sosnowymi borami, wśród których gdzieniegdzie pocięte tryby i poręby wskazywały, że przedsiębiorczy ruch germański i semicki dostał się aż w to pustkowie.

Chłop spytany o drogę, uchylając sukiennej rogatywki odpowiadał: „Prosto”, lecz dla obcego ta wskazówka była dalszym ciągiem labiryntu. Błądził na oślep, kierując się często na dym lub łoskot siekier, nic więc dziwnego, że po czterech dniach takiej włóczęgi, przerywanej noclegami po kurnych chatach lub niechlujnych karczmach, w dymie i brudzie, prawie o głódzie, nawet tak flegmatyczny człowiek, jak pan Ksawery, przeklął wreszcie i ową sukcesję, i kraj, i podróż, i mało brakło, by na powrót nie wrócił. Na domiar nieszczęścia klacz zakulała, Oresta srodze poturbowały pokurcze chłopskie i deszcz ulewny chłostał biednego Jazona.

A Kolchida dotąd egzystowała tylko na urzędowym papierze w kieszeni mokrej, zmiętej, płóciennej kurty smutnego jeźdźca.

Wtem las się rozrzedził, rozbiegł na obie strony drogi i cofnął się wstecz. Gościniec się rozszerzył, dzieląc dwa łany dojrzałego żyta; chłopski wóz, zaprzężony parą wołów, włókł się po nim leniwie.

— Daleko stąd do Horynia? — spytał Bobrowski drzemiącego wieśniaka.

— Mila — była zwykła stereotypowa odpowiedź.

— Nie znacie „Dworzyszcza”?

— „Dworzyszcze”? a ot przed wami. To już dworskie pola — odparł zagadnięty, podnosząc się na łokciu i

końcem kija wskazując gromadę drzew w oddali.

— Bałwan! — mruknął niezbyt grzecznie Ksawery — to pyszne zboże miałyby być starej panny. Nonsens! w jej ogrodzie nie ma tyle kolb kukurydzy, ile tu będzie kóp za parę tygodni.

Tymczasem dwór tajemniczy występował coraz wyraźniej ze wzgórza, panując nad okolicą. Ogród zbiegał aż do samej rzeki — był to Horyń, Ganges Wołynia.

W oddali mięscina jakaś świeciła czerwonymi dachy, baniastymi kopułami cerkwi i smukłą wieżycą kościoła; kraj cały aż do borów ciemnych na horyzoncie falował płowiejącym zbożem, rzeka roiła się kłodami drzewa; szerzej tu było dla płuc, weselej dla oka, raźniej dla duszy.

Pan Ksawery, zapatrzony, dał się kierować instyktowi klaczy, rad był, że się z puszczy wydostał, marzył o noclegu w miasteczkowym zajeździe, o wypoczynku i bliższych wiadomościach z geografii „Dworzyszcza”. Wtem klacz stanęła w miejscu.

Podniósł oczy. Był przed enigmatycznym dworem. Wysoki parkan dębowy, otaczający szczelnie całą posiadłość, kończył się potężną bramą, okutą, głucho zamkniętą. Przez nią wyglądał front domu biały jak cacko, i gąszcz girlandowych róż w pełnym rozkwicie; cisza panowała głęboka, uroczysta a urocza.

— Hej! — krzyknął swym potężnym głosem Bobrowski — hej! jest tam kto?

Ciekawość przemogła wrodzoną dzikość. Siedziba go intrygowała, chciał poznać właściciela, może zajrzeć do wnętrza i wypocząć choćby na białej ławce gankowej. Na chybił trafił postanowił zapytać, czy to nie „Dworzyszcze” czasem.

Za trzecim zaledwie razem wołanie jego odniosło

skutek. Ozwał się straszliwy rejwach psów, potem sprawcy tego ukazali się, jak spod ziemi, w postaci dwóch olbrzymich żółtych buldogów, a za cerberami mała, otyła, niemłoda już kobieta wynurzyła swą baniastą figurę zza różanych krzaków i toczyła się ku bramie, podzwaniając pękiem kluczy zawieszonych przy sinym fartuchu u pasa.

— Cóż to za wrzask! — krzyknęła opryskliwie, biorąc się pod bok, jakby występowała w *Córce pani Angot*. — Czego chcecie?

Jegomość okurzony, na zhasanym koniu, z kulawym psem, ubrany w płócienną kurtkę i zabłocone buty nie zasługiwał, wedle jej zdania, na tytuł pana.

— Czy to jest „Dworzyszcze” panny Heleny Bobrowskiej? — spytał Ksawery grzecznie, uchylając nieco białej swej czapki.

— Ano tak? To i cóż? Mogliście spojrzeć na drogowskaz przy zawrocie, zamiast tu jechać i odrywać ludzi od roboty!

— Więc to istotnie „Dworzyszcze”, ten dwór, pola i łąki? „Dworzyszcze” panny Heleny Bobrowskiej, czyście tego pewni?

Kobieta spojrzała na niego jak na wariata i poczerwieniała, jakby ją ze skóry obdarto.

— Jak to czy wiem? Mogłam wszakże się dowiedzieć, żyjąc tu i służąc nieboszczce pani przez lat dwadzieścia! Wasan pijany czy idiota?

— Ani jedno, ani drugie tymczasem. Otwórzcie mi, moja kobieto, bramę; jestem synowcem waszej zmarłej pani. Od pięciu dni szukam tego „Dworzyszcza” po waszej przeklętej ziemi. Jestem głodny i zmęczony haniebnie! — zawołał wesoło spadkobierca, podjeżdżając pod samą bramę.

— A któż to wam kazał jechać do tej przeklętej ziemi?
— zapiszczała przeraźliwym dyszkantem kobieta, nie myśląc wcale o wykonaniu prośby. — Trzeba było zostać, gdzieście byli. Taki z was synowiec mojej świętej pani, jak ze mnie chińska królowa. „Moja kobieto”! widzicie no go! Jak bym nie była Stefania Sobótkowa, żona rządcy, klucznica i apteczkowa, ale jak bym była jakaś włóczęgą spod szatry cygańskiej. „Otwórzcie bramę”! Jeszcze czego! Każdego obdartusa mam puszczać na nasz dziedziniec! Jeszcze nawiezie choroby; karbunkuł grasuje wokoło, a ta szkapa wygląda, jakby zdychać miała! Ruszajże mi zaraz stąd! Nie po to policja popieczętowała wszystkie drzwi mieszkania, żebym je miała otwierać pierwszemu lepszemu. „Moja kobieto, otwórzcie bramę”! — mruzczała jeszcze, oddalając się tak szybko, jak jej krótkie nóżki zdołały.

Za nią, poszczekując, pobiegły psy, i u zamkniętej furty Kolchidy został nasz bohater samotny, nie wiedząc czy kłać, czy bramę wysadzać, czy śmiać się.

Ostatnie przemogło. Komizm tej sceny wzruszył nawet jego flegmę. Śmiał się z całego serca, zawracając zawiedzioną Brawurę spod niegościnniej bramy.

Teraz jestem Jazon po formie, monologował jadąc po miasteczku, miałem rozprawę ze smokiem. No, złote runo bezpieczne pod tą strażą; bez pomocy policyjnej nie spocznę na laurach w tym różanym Edenie! Hm, moja ciotka...

Nie miał czasu dalej snuć myśli, bo stał przed domem na rynku, na którego froncie wisiała olbrzymia tablica, szyld naczelnika „stanu”!

Wiele godzin upłynęło, zanim ta powiatowa władza, w zatłuszczonym mundurze i krzywych butach, z czerwonym

nosem i pierzem w czuprynie, zrozumiała, czego żądano, i po długich ceregielach, przypominających dość żywo Niebieskie Państwo*, wydała potrzebne dokumenta. Sekretarz ze swej strony poty guzdrał się z papierami, aż zobaczył bankowy papierek; potem szło już migiem!

Biedny Ksawery! Oddałby wszystko, co miał, byle się raz uwolnić! Dość powiedzieć, że mrok padał, gdy dosiadał słaniającej się na nogach Brawury. Całą złość swoją, spotęgowaną głodem, sennaścią i politowaniem nad stanem ulubionej klaczy, zadedykował pani Stefanii Sobótkowej.

— Nikczemna istota — mrucał wlokąc się, jak Don Kiszot, na powrót pod dwór — żeby nie ona, już bym spał, niegłodny, a na formalności byłby czas innego dnia, po wypoczynku. Już ja jej odpłacę pięknym za nadobne! A to szatan! To tylko szczęście, że mnie w tej chwili Prowicz nie widzi; byłbym syt drwin i konceptów do samej śmierci! No, nareszcie znowu ta brama przeklęta! Hej! otwierajcie! Hej!

Tym razem los był dla niego litościwszym.

Zamiast buldogów i cerbera w siwym fartuchu ukazał się człowiek łysy, szczupły i bez słowa wziął w swe ogorzone ręce podany stemplowany papier.

Przysięgnę, że czytać nie umie! zawyrokował Ksawery po pilnym egzaminie twarzy i postaci nowego urzędnika „Dworzyszcza”.

Człowieczek raczej wyglądał na niemego, bo nic nie mówiąc schował papier w zanadrze i jał otwierać bramę.

— Czy jest tu stajnia? — spytał nowy dziedzic oglądając się wokoło.

Człowiek zamykał bramę na powrót, lecz to pytanie

* Niebieskie Państwo — Chiny.

zmusiło go spojrzeć na jeźdźca dość niepochlebnie dla jego inteligencji i otworzyć usta.

— A jakże by stajni nie było, jasny panie.

Stara kurtka i kulawy pies robiły na nim widocznie odwrotne znaczenie niż na pani Sobótkowej.

— Każcie więc zabrać moją klacz i dopatrzeć jej starannie! — rzekł zsiadając „jasny pan”. Tytuł ten uspokoił go ostatecznie; myślał też, że daje mu on prawo wymagać co najmniej wiecerzy!

— Ja sam ją odprowadzę! Jasny pan raczy pofatygować się do domu. Żona moja przyjmie tam tymczasem...

Ksawery, dumny jak po odniesionym zwycięstwie, wkroczył na dziedziniec. Gwizdał z wielką fanfaronadą i objął prętem główki traw, gdy nagle we drzwiach Edenu ujrzał groźną postać pani Sobótkowej. Tamowała mu przejście swymi arszy—nowymi plecami, nie myśląc wcale o odwrocie.

Musimy wyznać, że nasz bohater nie miał miny zuchwałej i wyzywającej, z jaką podczas drogi wspominał cerbera. Przeciwnie, obejrzał się dość zakłopotany. Ganek ten, wzniesiony nieco, biały, przewiewny, opleciony kwitnącym powojem i dzikiem winem, z widokiem na róże dziedzińca, wydał mu się nagle dostatecznym dla wypoczynku.

Usiadł na białej ławce, zdjął czapkę, otarł spocone czoło, pogładził psa łąszącego się doń, wreszcie dobył cygaro i zapalił. Do gwizdania stracił jakoś animusz. Stara przypatrywała mu się spod oka, nieufnie, wciąż stojąc na miejscu i przebierając drutami pończochy, przy tym od czasu do czasu rzucała jakieś rozkazy i łajała snującą się służbę folwarczną.

Hm, te druty... baba gotowa ich użyć jako broni

zaczepnej; fe, dotąd miałem je zawsze za tak niewinne, prozaiczne narzędzia, monologował Ksawery.

Perspektywa nie była zbyt obiecująca; szczęściem zjawił się sukurs w osobie małego człowieka spod bramy. Niósł na plecach jego podróżną walizkę i nie wyglądał wojowniczo, co było najmiłym w jego aparycji.

— Cóż klacz? — zagadnął Ksawery.

— Szpetnie się podbiła i straciła dwie podkowy, z resztą zdrowa. Czy jasny pan każe znieść rzeczy do pokoi pani, czy do gościnnej stancyjki od ogrodu?

— Zostawcie tymczasem w stancyjce. A teraz jeszcze jedno. Kto tu jest rządcą, ekonomem czy pisarzem?

— Ja, jasny panie, Jan Sobótka do usług. Przesłużyłem nieboszczce pani lat dwadzieścia z żoną.

Smutek jakiś brzmiał w tych słowach. Ksawery domyślił się powodu. Ludziska przywykli do miejsca, do otoczenia; wyobrażali sobie, że nowy dziedzic odprawi ich może i znowu trzeba będzie szukać kawałka chleba na świecie. To ich nie nastrajało wesoło.

Nagle znikł z serca Ksawerego gniew i uraza do pani Sobótkowej, zapomniał niegościnnego przyjęcia i ulegając szlachetnemu popędowi, wyciągnął dłoń do małego człowieka.

— Słyszałem, żeście nie byli sługą, lecz przyjacielem mojej ciotki. Bądźcie teraz i moim, panie Janie! Niech w spadku po niej wezmę i waszą życzliwość! — rzekł serdecznie.

Ekonom poczerwieniał i zbladł jak gromem rażony, chciał pocałować podaną rękę, lecz ją Ksawery cofnął żywo i uścisnął poufale poczciwca.

Gdy podniósł oczy — osłupiał. Gdzie się podziała dawna pani Sobótkowa? Pończocha ze złowrogimi drutami

leżała na ziemi, szeroka twarz czerwona była od łez. Cerber uśmiechał się, patrząc jak w tęczę na nowego dziedzica.

— No, wszak i my się zaprzyjaźnimy, pani Stefanio — zawołał żartobliwie — tylko nie pierwej, aż mnie nakarmicie. Tak, musicie odpokutować za grzech odpędzenia głodnego od bramy, bo to stoi w katechizmie. Pozwólcie mi zjeść z wami wieczerzę tu na tym ganku i pogawędzić trochę.

— Ach! Chryste! cóż ja zrobiłam, nieszczęsna! ach, pan głodny! ach, gdzież to klucze! Hanna, Franek, Iwaś... A tu na wieczerzę nawet mięsa nie ma! Pan przebaczy starej... zaraz podam, co jest, a za pozwoleniem pańskim nakryję też i dla naszego chłopca...

Dygając, cała czerwona ze szczęścia, rozpromieniona, spokojna o los rodziny, wytoczyła się za drzwi w głąb domu, hałasując jak trzmiel w ulu.

— Macie syna? — pytał Ksawery ekonoma.

— A tak, proszę pana. Pani go do szkół oddawała, a teraz jest nadleśnym, cały panicz z niego. Nudzi się w borze, a młode to i strasznie zapalone do miłości, więc go matka pilnuje jak oka w głowie. Przychodzi z leśniczówki co wieczór.

Rozmowa powoli przeszła na tor gospodarstwa i interesów. Wielkość majątku, ilość zasiewu, finanse — o wszystko się dopytywał zaciekawiony Bobrowski. Słuchał dziwów. Każdy dział w najdrobniejszych szczegółach przedstawiał zegarowe urządzenie. Nigdzie braku, zaniedbania, usterku.

Na parę dni przed śmiercią, jakby ją czując blisko, panna Helena pokończyła rachunki, rozporządziła robotą, zostawiła Sobótce pieniądze na najem i sprzęt, a potem usnęła cicho.

— Znaleziono ją rankiem bez duszy. Umarła czytając jakąś książkę — kończył ekonom, ocierając oczy rękawem swego samodzielnego surduta.

— Pochowaliśmy ją w Jasięcach, w grobie rodzinnym, jak sobie tego życzyła; potem policja popieczętowała drzwi i posłano po pana.

— Dawno to już?

— Już przeszło miesiąc od pogrzebu.

Gospodyni przerwała rozmowę, wtaczając się z nakryciem i chlebem. Za nią służąca wniosła dymiącą wazę zupy mlecznej.

Ksawery westchnął głęboko.

— Pamiętam czasy — rzekł — gdym objął majątek, żyliśmy rok cały kartoflami i cebulą, zapomnieliśmy smaku mięsa i chleba. Ale pono nigdy tak głodny, jak dziś, nie byłem.

Pani Sobótkowa przestała nalewać zupę i spojrzała niespokojnie na mówiącego.

— My trochę dawniej wiedzieliśmy o panu. Pani wspominała czasem Wysoką Wolę. Ale pan powiada: „żyliśmy...” Pokornie przepraszam za ciekawość: czy pan czasem, broń Boże, nie żonaty?

— Jak to „broń Boże”, pani Stefanio? a cóż by w tym było strasznego? Mam lat trzydzieści i jeszcze parę podobno.

Nagle Orest zaszczekał. Wszyscy podnieśli głowy. Na progu ganku stał młody przystojny chłopak w strzeleckim odzieniu, z blachą leśnego strażnika u pasa, z dubeltówką przez plecy. Pies porwał się od nóg pana i obwąchiwał pilnie dwie zabite kaczki przy torbie.

— Otóż i Stefan nasz, proszę pana — ozwał się Sobótko.

— To nowy dziedzic twój, chłopcze — dodał zwracając się

do syna.

Nadleşny się skłonił z uszanowaniem, zdjął broń, oddał matce zwierzynę i, wezwany skinieniem Bobrowskiego, zajął miejsce przy stole.

W pół godziny gronko to, tak sobie obce niedawno, gwarzyło poufale, swobodnie, żywo.

Dziedzic zachwycił wszystkich. Stefan znalazł w nim zapalonego myśliwca, Sobótka wytrawnego gospodarza, a pani Stefania łatwego, delikatnego, łagodnego człowieka.

Złotym runem Kolchidy było tej nocy dla Jazona wygodne posłanie w pokoiku pachnącym lawendą i czystością; a co było w tym najcudowniejszego, to to, że je słał smok we własnej osobie, smok łagodny i uśmiechnięty dobrodusznie, życzący przyjemnych snów i wypoczynku, gotów usypiać najeżdżęc jak dziecko.

Co mu się śniło? Ha, może Medea, jako laur najwyższy wyprawy. Pan Ksawery zachował to jednak dla siebie. Prowicz nie darmo mówił, że był skryty jak trufla.

Dzień następny był dniem jakby wyjętym z baśni o ziemi zaklętej. Niby senny, osłupiały, nie wierząc oczom i uszom.

Ksawery błędził po folwarku oglądając konie, budowle, narzędzia, zapasy, ład, dobrobyt i tę ciszę patriarchalną, unoszącą się nad dworem ze stadem białych gołębi i czarnych jaskółek.

Byłże snem, czy fatamorganą ten skarb niespodziany? Czy . istotnie on miał prawo do tego?

Dziwnie podrażniony, niespokojny, smutny prawie wziął po południu z rąk gospodyni pęk kluczy od mieszkania ciotki. Zajmowało ono całą stronę domu, zwróconą na ogród i rzekę, ścianę okrywały białe, pnące róże.

Pierwsze otwarte drzwi od sieni wskazały mu śliczny

jasny salonik, z lśniącą jak lustro posadzką, z wyjściem na ganek ogrodowy.

Małe pianino stało zamknięte ze stosami nut muzycznych, po stołach pyszne ilustrowane dzieła, na ścianach kilka rodzajowych obrazków; a róże białe patrzyły na to, oplótszy okno koronką zielonych pędów i śnieżnych kwiatków, jakby się dziwiły, że ich nikt nie pielęgnuje od miesiąca.

Stamtąd na prawo wszedł do jadalni, nieco mrocznej od ciemnego obicia i dębowych mebli; za nią był kredens dotykający mieszkania Sobótki i duża spiżarnia.

Zawrócił się wstecz. Krok jego rozlegał się głucho po tym mieszkaniu, które śmierć pozbawiła duszy ożywiającej; przypomniał sobie swe przybycie do Wysokiej Woli. I tam była pustka, lecz jakże inna od tej samotni cichej, wonnej, z kwiatkami u okien, błyszczącej wdziękiem i czystością.

Otworzył przeciwległe drzwi salonu. Była to biblioteka. Szafy pełne książek oprawnych jednakowo, jakby ubranych w liberie właściciela, otaczały ściany wokół. Środek, wysłany olbrzymim perskim dywanem, zajmował potężny stół wsparty na rzeźbionych lwich łapach, otoczony kanapami obitymi skórą. Popiersia marmurowe uczonych i mistrzów, oświetlone w pełni zachodem słońca, zdobiły szczyty szaf; na stole wśród stosów dzienników i broszur leżała książka otwarta, jakby czytający odszedł przed chwilą i miał wrócić znowu, książka poznaczona czerwonym ołówkiem, wytarta długim i częstym użyciem.

Spojrzał na tytuł: *Myśli* Marka Aureliusza; przeczytał ostatnie podkreślone wyrazy: „Śmierć to ziarna ofiarnych kadzidel przeznaczonych dla ołtarzy; jedne wpadają wczesnej do ognia, drugie później nieco — zresztą nie ma

różnicy”.

A dalej, dalej nie widział już liter, bo się zamyślił nad tą duszą, co w chwilach wypoczynku zatapiała się w poważne dzieło cezara—stoika. Kim ona była istotnie, ta dziwaczka, pustelnica, przedmiot żartów i plotek okolicznych? Czy mu czas rozwiąże zagadkę? A może księgi biblioteki, które obiecywał sobie często odwiedzać, wskażą kierunek tej natury, jej zasady, cele, ideały... Ze złości położył książkę na dawnym miejscu i ruszył przed siebie. Przesząpił próg sypialni.

Tu nic nie doszło z wykwintu i elegancji salonu; przeciwnie, panowała, przesadna prawie, skromność klasztorna. Oprócz hebanowego krucyfiks podłoga, sprzęty, łóżko, klęcznik, były sosnowe, nie malowane nawet, białe, czyste, ale nieledwie ubogie. Na ścianach żadnego obrazka, tylko nad wielkim staroświeckim biurkiem, w którym sterczący klucz był raczej godłem porządku niż nieufności względem bliźnich przekraczających siódme Boże przykazanie, wisiała kolorowa miniatura młodej, bardzo pięknej dziewczyny, jak to uznał nawet pan Ksawery, po nieco za długim przeglądzie jak na człowieka jego usposobienia.

Dla wynagrodzenia straconego tak bezużytecznie czasu spieszenie minął pokój, pobieżnie obejrzał obok leżącą kancelarię, stosy gospodarczo—rachunkowych ksiąg, wielką szafę apteczną pełną słoików i flasz, i znalazł się powtórnie w sypialni, rozglądając się uważnie. Śliczna dubeltówka stała w kącie za biurkiem, z oszklonych szaf białe zapasy płótna i bielizny, na gwoździu u drzwi wisiał czarny płaszcz i kapelusz filcowy, zwykły, jak słyszał, strój dziwaczki, gdy wychodziła z domu, dalej pęk ziół leczniczych i woreczki ogrodowych nasion. Na stoliku przy

łóżku, obok ciemnych okularów, zegarka i pierścionka z wielką czarną perłą, leżała owa książka, z którą zastano nieboszczkę po śmierci.

Znowu Ksawery pochylił się ciekawy.

Było to *Nazajutrz po śmierci* Figuiera.

Ha, cóż dziwnego, że konała z uśmiechem na ustach, z wiarą w ideę ciągłego doskonalenia się, bezustannego *excelsior**. Może cierpiała i spodziewała się nagrody tam — za grobem.

— Kim ona była? kto mi wytłumaczy? — zamruczał siadając u biurka i otwierając pierwszą lepszą szufladę. Sam nie wiedział, czego szuka; zajrzał zamyślony do wnętrza. Szuflada była pełna papierów powiązanych w osobne paczki z napisami na wierzchu. Przerzucał je niedbale, machinalnie, gdy własne nazwisko dostrzeżone przelotnie wśród innych zwróciło jego uwagę. Przeczytał napis: „Listy z plenipotentem moim, Imć Panem Damazym Dobrosławskim, w interesach brata mego, Antoniego Bobrowskiego, i jego sukcesora”.

— Szczególne interesa, o których ja nic nie wiem — mruknął wznosząc brwi z wyrazem niedowierzającego zdziwienia i rozwiązując pakiet.

Zawierał kilkanaście listów. Wziął na chybił trafił pierwszy i czytał:

Jaśnie Wielmożna Panno Dobrodziejko!

Wedle udzielonego rozporządzenia, użyłem przysłanych mi 5000 rubli na zniszczenie długu ś. p. pana Antoniego Bobrowskiego, należnych Żydowi Mendlowi Rubinowi, zamieszkałemu w miasteczku R. guberni X. powiecie X.

* *Excelsior* (łac.) — najwyżej.

Wexel załączam wraz z upewnieniem Mendla Rubina, że sprawy tej ani jednym słowem nie dotknie wobec syna pana Bobrowskiego.

Pozostają itd.

— Co? — wymówił tylko pan Ksawery, patrząc na papier jakby się spodziewał, że mu zniknie z rąk lada chwila, a treść zejdzie po prostu do rozmiarów sennej halucynacji.

Lecz papier został i drugi list stanął przed oczami Jazona, równie dotykany jak jego poprzednik.

Jaśnie Wielmożna Panno Dobrodziejko!

Poruczony mi interes załatwiłem. Pan Sylwester Mataszewski ustąpił trzecią część z należnych mu od ś. p. pana Antoniego Bobrowskiego 30000 rs., i zdjął natychmiast areszt, położony już, jak to J. Pani wiadomo, na folwarku Wysoka Wola.

Pozostają itd.

Weksel zwrócony był w liście, jak i w poprzednim.

Dopiero teraz wyjaśniło się Ksaweremu wiele zagadkowych punktów z historii zmartwychwstania Wysokiej Woli. Zrozumiał, dlaczego Mendel Rubin, choć stał na liście wierzycieli, zaparł się, że nigdy ojcu jego nie pożyczał; dlaczego pan Sylwester Mataszewski nie zgłosił się po pieniądze, a proszony listownie o uregulowanie interesu, odparł wymijająco i nie wspominał o tym nigdy więcej.

Wówczas nie miał czasu na badanie zagadki, wiedział tylko, że mu Bóg oszczędził głodu i biedy; i począł na

nowo wierzyć w cuda.

Teraz stało mu się jasnym, że w roku jego przyjazdu dłoń nie znanej ciotki usunęła mu najcięższe głązy z drogi, że wybrała długi ciężące na Wysokiej Woli, jakby w rozbiciu i ruinie chodziło jej o utrzymanie starego gniazda, jakby tego jednego folwarku, w którym się może urodziła, żal jej było.

Dalsze listy były o wiele starsze. W jednym donosił pan Dobrosławski o śmierci żony pana Antoniego w Paryżu, o ciężkich kłopotach finansowych i zaraz w następnym zawiadamiał, że wedle rozkazu wysłał do Paryża panu Bobrowskiemu 2000 rubli; dalej zdawał rachunek z zapłaconych za Wysoką Wolę zaległych opłat rządowych, wreszcie w ostatnim znalazł dokładną wiadomość o samym sobie.

Zacny, skrupulatny plenipotent uznał nawet stosownym załączyć fotografię owej latorośli rodu Bobrowskich i wypisać szczegółowo godzinę rannego wstawania i wieczornego spoczynku.

Ten list był bezstronny, ale bardzo przychylny. Na tym kończyła się korespondencja.

Ksawery związał na powrót pakiet i wsparłszy czoło na rękach, zatopił się w myślach.

Późno już było, zmrok zalegał pokój, roztaczając na znajdujące się w nim przedmioty niepewną, szarą zasłonę.

W cieniu tym zdawało się jego podrażnionej wyobraźni, że widzi stojącą przed sobą postać starej ciotki, uśmiechniętą z dobrotliwym szyderstwem, jakby mówiła: Jechałeś po pudła, tabakierkę, po wyszłe z mody suknie i kapryśną sługę. Nie spodziewałeś się tych papierków, nieprawdaż?

Czemuż to było widzeniem tylko? czemu nie będzie

mógł paść jej do kolan i przeproszać, i dziękować, i czcić, i kochać, jak tego warta była!

— Proszę pana, wieczera stygnie od godziny, ażem się ośmieliła przyjść tu — ozwał się za jego plecami głos pani Stefanii.

Porwał się żywo.

— Wybaczcie mi! Zamyśliłem się nad tą moją ciotką. Musieliście ją bardzo lubić, pani Stefanio?

Kobieta milczała chwilę.

— Lubić, pan powiada? Nie. Świętych się nie lubi, pasie, lecz się do nich modli.

Głos starej, gdy to mówiła, był inny niż zwykle. Może spostrzegła to sama, bo się zwróciła szybko i poszła na drugą stronę pokoju.

— Za pozwoleniem pańskim — zaczęła zwykłym tonem — trzeba te szafy otworzyć i przewietrzyć. Pani sama to robiła, a teraz zdałaby się tu żona pańska.

— Taak?... Zatem bielizna i płótno zbutwieją ze szczeniem, jeśli będę czekał na tę opiekę.

— Czy pańska żona jest wielka pani? — spytała stara posepnie, nie patrząc na niego.

— Albo ja wiem.

— Jak to pan nie wie?

— Bo jej nie mam, pani Stefanio, jestem stary kawaler.

— Uf! — Pani Sobótkowa odetchnęła jak ktoś, co się z wody wydostał; twarz jej była w tej chwili poprawną drugą edycją szerokiej pełni zagładającej przez okno do pokoju.

— Pan kawaler! — powtórzyła tak pieszczotliwie, jak zapewne wymawiała imię Jana Sobótki przed trzydziestu laty, i ukryła rozpromienioną fizjognomię w stosach bielizny.

— Czy pan zna naszą panienkę? — spytała

niespodzianie, prostując się i patrząc na Bobrowskiego.

— Co? jaką panienkę? Myślał, że nie dosłyszał.

— Ano, jakąż? Pannę Janinę Jasieniecką, kochanie nasze i naszej pani.

— Nigdy o niej nie słyszał nawet. Może to jej portrecik nad biurkiem?

— Aha! już go pan widział, a właśnie to mi przypomina, że panienska ta była na parę dni przed pana przyjazdem i pytała, czy może odebrać moniturę swoją.

Miało to znaczyć miniaturę zapewne, lecz Ksawery nie poprawił błędu.

— Czy to jaka krewna mojej ciotki? — badał ciekawie. Pani Stefania zdawała się być rada z tego interrogatorium.

— Chrzestniaczka tylko. Ale ją pani hodowała, uczyła i kochała jak własne dziecko. Ach, bo też to i cudowne stworzenie, a śliczna jak cacko! Nieprawda, panie?

— Nie wiem, od lat blisko trzydziestu nie miałem do czynienia z cackiem, zapomniałem, jak to wygląda.

— Ee, pan sobie kpi tylko, ale niech no pan nie żartuje tak bardzo ze mnie starej. Da Pan Bóg doczekać, zobaczę jeszcze na panu kozaczy śmiech. A co wtedy będzie?

— Kupicie mi lalkę, pani Stefanio.

— Eee, dałby pan pokój! u nas lalek nie ma i nie warto ich nawet wspominać w tym mieszkaniu. Wieczera stygnie, a moje mleko jeszcze nie zlane; szafy mogą zostać tak przez noc, jutro przyjdę tu zrobić porządek, czekając, aż pan sobie tam na Litwie lalkę kupi.

Wyszła nie racząc dygać jak przedtem. Był to zły znak, jak się o tym przekonał Bobrowski. Smok cofnął mu swe łaski od owego wieczora i niewczesnego żartu. Prowicz wytłumaczyłby mu, że się wdał w nie swoje rzeczy. Ksawery to uznał w duchu, złorzecząc „moniturze”,

niewinnemu powodowi chmur na horyzoncie jego życia.

Podczas wieczerzy musiał się zadowolić tylko jedzeniem; bo zły humor smoka działał zaraźliwie na resztę towarzystwa. Jan, bez żadnej potrzeby, dla przerwania milczenia chyba, ucierał nos co chwila. Stefan, oberwawszy połajankę za to, że przyszedł za późno, może poczuwając się do cięższych win, siedział jak mysz pod miotłą, odpowiadając tylko monosylabami. Z niemymi trudna rozprawa.

Ksawery wyrzwał oknem.

Hm, zbyt tu wiele elektryczności, pomyślał. Oberwał Stefan, oberwie Jan, a jutro, w braku kogo innego, smok gotów mnie nadgryźć na śniadanie. Co robić? Wyjechać wszakże niepodobna, bo moje bydłota nie są w możliwości czynnej służby, i w domu zostać niebezpiecznie.

— Stefanie — zagadnął nadleśnego — są tu gdzie kaczkę czy cietrzewie?

— Miliony, panie, na ługach Jasienieckich.

Ksawery czuł się w obowiązku chrząknąć przy ostatnim wyrazie, bojąc się, by nie doleciał ucha smoka i nie rozjuszył go na nowo.

— Wyśmienicie. Obudź mnie jutro raniutko, powalęsamy § się trochę. A strzelbę jaką macie, panie Janie?

— Jest, panie, stara skalkowa, pamięta... Odsiecz wiedeńską, pomyślał Ksawery.

— Pamięta dużo dzików, ba i niedźwiedzi, ale się teraz trochę zjeżdżyła. Ależ toć jest u pani w pokoju fuzyjka nowego systemu.

— Widziałem; a patrony?

— Muszą być, proszę pana. U naszej pani wszystko było pod cyfrą i miarą. Może w szafce w murze?

— Poszukam. Dobranoc.

Zapalił świecę i poszedł prosto do sypialnego pokoju. Szafkę w murze znalazł, lecz, niestety, bez klucza.

Pewnie jest w biurku, pomyślał.

Nie chciał przyznać, że ciekawy był, jak też przy świetle wygląda nieszczęsna „monitura”.

— Medea — szepnęła półgłosem po chwili wpatrywania się i, jakby w odpowiedzi, zdało mu się, że usta na obrazku, nieco dumne i poważne, przybrały wyraz drwiący.

— Cacko! — mruknął jakby na przekór samemu sobie i w tejże chwili mignęła mu przepowiednia o kozaczym śmiechu; ze złością odwrócił oczy od portreciku i począł zażarcie szperać w szufladzie.

Była to podręczna kasa nieboszczki.

Moneta miedziana i srebrna, pogatunkowana paczkami do dziennej opłaty, sakiewki z numizmatami oraz kwity różnej barwy stanowiły jej zawartość obok grubego pugilaresu, w którym znajdowały się kontrakty propinacyjne*, kopie sądowych dokumentów, bilet na broń, stary paszport zagraniczny, inne tego rodzaju papiery i paręset rubli asygnatami.

Biały kruk spółczesnej młodzieży patrzył na to obojętnie z piedestału przebytej nędzy i zapracowanego dobrobytu. Wszak on nie pieniędzy szukał w tym biurku, lecz klucza w znaczeniu dosłownym i metaforycznym.

Los mu nie sprzyjał. Trafił na szufladę z narzędziami rymarskimi i ślusarskimi, potem na formalny magazyn perfum i mydeł, wreszcie ostatnia szuflada wynagrodziła

* propinacja — prawo wyłącznej produkcji i sprzedaży alkoholu, które przysługiwało Panu feudalnemu w obrębie jego dóbr; obowiązek zakupienia przez każdego chłopą pańszczyźnianego w dworskiej karczynie określonej przez pana ilości piwa albo wódki w określonym czasie.

jego trudy. Nie było w niej jednak klucza od szafki w murze. Leżał tylko na dnie samotny rewolwer w towarzystwie małej szkatuleczki, rzeźbionej, z różanego drzewa, szczelnie zamkniętej.

Po chwili daremnego pasowania się z misternym zameczkiem, przypomniał sobie, że poprzednio zauważył przy zegarku ciotki wśród pęku breloków miniaturowy kluczyk.

Przyniósł go; rzeczywiście zgadł; wieko odskoczyło i twarz Bobrowskiego pokrył wyraz rozczarowania.

Sprzęcik zawierał dukaty, lśniące w promieniu świecy, a na wierzchu tego złota, rzucona niedbale, leżała stara, wytarta, zszarzana książeczka notatkowa.

Ją to porwał Ksawery, tknięty nagłym przecuciem, że tu odnajdzie duszę i myśli samotnicy.

Otworzył na chybił trafił. Była to kartka gęsto zapisana fioletowym atramentem. Pamiętała dawne lata, atrament zbladły dawał ledwie poznać litery.

...Dziś, dnia 18 Marca, objęłyśmy z matką, po powrocie z Ems, nasz mały mająteczek. Drobiazg to, trochę zrujnowany, jak stara kamea, nabyta u ulicznego profana, bo bajecznie tanio. Pusto tu tylko po gwarze poprzedniego miejsca pobytu, i mnie czegoś tęskno!

Czegoś! — nie lubię ogólników równie mrocznych, lecz inaczej usposobienia swego określić nie potrafię.

Pracujemy na wspólnie z matką nad urządzeniem naszej domi—ny; meble i obicia już nadeszły, i nolens volens musimy prawie same wszystko robić, bo w tym kraju tak się znają na tapicerstwie, jak w Laponii na teatrze; domek robi się prześliczny, mamę to rozrywa i bawi, a mnie daje możliwość skakania, biegania, śpiewu i śmiechu, dopóki mi sił i głosu starczy.

Ach, dwudziesty rok, to straszny buntownik! w duszy wre, kipi, rzuca się, szaleje! Piosnka powiada, że za to się łzami odpowie! czy to prawda? ...

Łzy, smutek — czyż na nie jest miejsce wśród tej bujnej natury, wśród tej ciszy łągów Horyniowych, gdzie nawet ptactwa nic nie płoszy?

Bobrowski przerzucił parę kartek i drgnął na widok jednej stroniczki, przechylając się ku świecy. Był to naszkicowany lekko portrecik młodego mężczyzny. Twarz o ostrym, cienkim profilu, blada, mizerna, z parą pięknych zamyślonych oczu, twarz nosząca, zda się, wypisane na czole piętno rychłej śmierci i wieczystego spokoju. I może ten wyraz właśnie nadawał jej ten urok pociągający i myśl głęboką. Usta, pełne powagi i dobroci, uśmiechały się smętnie, może za życiem ulatującym zbyt wcześnie? oczy marzycielskie ściagały może jakie widmo, już nie ziemskie, lub żegnały tu kogo na świecie, z nadzieją innego życia, przez wieki.

Szkic ten mistrzowski nie nosił żadnego podpisu ani nazwiska, tylko obca ręka nakreśliła pod nim parę wierszy pędzlem i czarną farbą.

Słowa te odpowiadały wybornie:

*Über allen Gipfeln ist ruh',
In allen Wipfeln spürst du
Kaum einem Hauch.
Die Vöglein schweigen im Walde,
Warte nur — balde
Ruhest du auch!*

Na odwrotnej stronie pisała panna Helena:

...Tak — balde ruhest du auch — on mi to mówi ze swą

tęskną boleścią, bo mu już teraz żal życia, żal świata, żal młodości, żal mnie!... Ludzie, czy kto z was zaznał miłość bez) uśmiechu, bez szczęścia i bez nadziei, gdy w oczach łez zabraknie i słów na skargę, i krwi w sercu na ból, gdy pieszczocie, jak I widmo, staje biała szyderska śmierć, drwiąc z ludzkiej rozpaczy!...

Ach, ludzie, jeśliście tylko słyszeli o tym, szczęśliwi, nie odczuliście, co to marzenie—tortura, co uśmiech—kurcz, uczucie—rozpacz, sen—zmora. Miłość wy śnicie na różach, ubieracie w cudne formy greckiego efeba i z piosenką idziecie przez życie, rozdając wokoło uśmiechy.

Ach, ludzie! was Bóg ukochał, obdarzając taką miłością!

...

Kartka się urwała, może łzy ją kończyły.

Ksawery gorączkowo przerzucał notatki, rozciekawiony coraz mocniej; nagle natrafił na bukiet suchych kwiatów, poszarpany, wybladły, istny szkielet, a pod nim stało kilkanaście wierszy nierównego pisma:

„...Masz twe kwiatki, Helenko”, powiedziała mi matka, wracając wieczorem do domu.

I nic więcej — bo to i wszystko moje teraz, te kwiatki i grób, wielki dół czarnej ziemi, gdzie pogrzebała młodość i miłość, i szczęście — jego!

Kwiatki i grób — o! nie, nie one same; zostało ze mną wspomnienie i ból, pustka i straszniejsze nad to wszystko życie przed sobą.

Pustka, to nie chaos, nie obszar, to głaz ciężki, co mi na piersiach leżeć wciąż będzie, cięższy, niż ten, co jemu na grobie położą...

Ukochany mój! Tyś mi był dźwignią i duszą bratnią, wszak prawda? Duch nie zna rozstania, i ty mnie teraz nie rzucisz, nie dasz się złamać, skarlec, stać się ciebie

niegodną? Ach, nie! ty mi będziesz wzorem po śmierci, jakeś był za życia, i nie dasz mi zdradzić niczem, że rozkoszą moją jest zgon. Pustka — naucz mnie ją pracą zapelnąć; rozpacz — naucz ją goić rezygnacją; złamane serce — każ mu żyć dla tych, co również cierpią. Czy zdołam? Ach, dziś nie, i nie jutro, ja tylko boleć mogę, i myśleć o tobie. Kochanie moje, żegnam cię!...

...Nad szczytami spokój tylko, a jam jeszcze taka nędzna i słaba...

Ksawery wszystko pojął. Kwiatki te zeschnięte były symbolem życia samotnicy. Może w chwilach tęsknoty otwierała starą książeczkę, a oczy jej, wiekiem i pracą strudzone, wpatrywały się w portrecik zmarłego, by w tym wzroku tęsknym, w tych ustach łagodnych szukać siły do dźwigania jarzma i znaczenia swej bruzdy do końca.

Aż dnia jednego skołatana duszę uspokoił Bóg na wieki; cichą ofiarę serca poniosła w inny, lepszy świat, pracę rzuciła za siebie jak ciężar już niepotrzebny, nie troszcząc się nawet, kto z niej owoce zbierze.

Poza tą kartką wyblakłą nie było już słowa o ukochanym przez nią człowieku ani nazwiska, ani imienia, żadnej daty i szczegółów. Dalsze notatki treści rozmaitej zawierały wzmiankę o śmierci matki, kilka uwag o Jani, zapewne o tej panience, którą wspomniała Sobótkowa; z resztą były tam genealogie koni, gospodarcze spostrzeżenia, adresy, rachunki itp. pobieżne rzeczy.

Ile godzin minęło nad mozolnym odczytywaniem pamiętnika, spostrzegł Ksawery za ledwie, gdy mu świeca dogorywająca zgasła nagle, pogrążając pokój w przezroczyście cieniu letniego brzasku.

Oczy go bolały, myśl znużona dopiero po chwili odnalazła powód pobytu; porwał się żywo, zamknął biurko

i rozejrzał się po sprzętach.

Zapukano do okna.

— Kto tam? — spytał.

— To ja — ozwał się wesóły głos Stefana. — Pan mnie wyprzedził, choć wstałem o świcie. Czy pójdziemy na kaczki?

— A jakże — odparł Bobrowski, otwierając okno i wciągając z rozkoszą wonny kłęb powietrza w płuca. — Szukam klucza od szafki w murze.

— Może to ten na ścianie, koło kapelusza.

Pan Ksawery poczerwieniał ze wstydu. Istotnie klucz pasował i wisiał przed oczami jego noc całą, a on przerzucił ośm szuflad w mozolnym poszukiwaniu.

W szafce, obok spodziewanych nabożów, spostrzegł z okrzykiem radości zapas tytoniu i papierosów.

Zaciągając się dymem, po raz pierwszy istotnie rad z sukcesji, wyszedł do czekającego Stefana.

Wschodzące słońce i obszarpany kundel spotkały ich na skraju lasu, pod leśniczówką Sobótki juniora.

Na hasło szczekania drzwi domostwa otwarły się szeroko, na Progu stała smukła hoża dziewczyna, ubrana trochę z miejska, jak Mazurki okoliczne.

Skłoniła się nisko panu, poza plecami jego zalotnie pokazała białe zęby leśniczemu i wprowadziła obu do wnętrza chaty.

Było tu bardzo porządnie, biało, czysto. Ksawery usiadł na ławie, rozmyślając mimochodem, czy państwo Sobotkowie wiedzą o istnieniu tej piękności w domu syna? Było to mocno wątpliwe.

— Maryś, daj nam co na obiad do torby — komenderował Stefan, krzątając się około swych nóg, które odziewał w lipowe, rzemieniami ściągane chodaki.

Para podobnegoż obuwia ozdobiła po chwili i pańskie nogi. Ksawery wyznał w duchu, że był podobny w tym stroju do Jadźwinga.

Widząc, że Stefan ociągał się nieco, ruszył sam przodem ku rzece wdzierającej się w tym miejscu aż pod sam las prawie i tylko z daleka widział czule pożegnanie u wrót zagrody strzelca ze śniadą, piękną dziewczyną.

Stefan złączył się z nim po chwili, zdyszany, dźwigając wiosła i strzelbę na ramieniu.

— Czy to matka wybrała ci ją za gospodynię? — spytał wesoło Ksawery.

Leśniczy spojrział mu w oczy smutno i westchnął.

— Pan myśli, że matka byłaby przeciwną! Tak, jużem prosił rodziców o pozwolenie na małżeństwo; i cóż? ojciec zagroził batogiem, matka złażała, dziewczynę obgadali tak na budkach, że ją dzieci psami szczyły. Wtedy przysiągłem, że jej nie opuszczę za świat cały, dlatego że ją kocham nade wszystko i dlatego, że cierpiała przeze mnie. Sierota ona, ma mnie jednego, uciekła dwa dni temu z budek do leśniczówki; długo nie zabawi, bo panienska z Jasieniec bierze ją na służbę. Rodzice zabronili się żenić, posłuchałem; ale kochać mi zabronić nie mogą i nie zmuszą też do małżeństwa z inną.

— A czy ona warta twojej miłości, Stefanie? Tyś chłopiec roztropny, w szkołach byłeś. Czy ci wystarczy hoża towarzyszka tylko? Wszak ona ani myśleć, ani ciebie zrozumieć nie potrafi.

— Ja ją kocham, panie — szepnął Stefan.

Ksawery ruszył ramionami. Z zakochanymi trzeźwemu nie ma rozmowy. To „kocham” drwi sobie z całej logiki, rozumu i doświadczenia.

Ostatnia łuna zachodu świeciła na małej, opuszczonej gro—belce wśród ługów. Wieczór był cudny, a tak cichy, że słyhać było po wsiach za rzeką śpiewy pastuchów i ryk bydła, i monotonne dźwięki fujarek.

Na mostku na wpół zawalonym, pod gałęzmi wierzby w wieczór ten letni siedział Ksawery, niedbale spuściwszy swe zmęczone nogi nad czarną wodą ruczaju, w rękę trzymał strzelbę i z palcem na cynglu, ze wzrokiem podniesionym w jasne, błękitne niebo czekał na stadka kaczek, ciągnące o tej porze zwykle z jednego żyrowiska na drugie.

Orest, zziajany pracowitym dniem, spał na dnie czołna wsuniętego pod mostek, pilnując zabitej zwierzyny.

Stefan, ukryty także przed wzrokiem ptasim, leżał na mostku i dyszał zmęczony upałem, pieszą wędrówką i kilkogodzinnym wiosłowaniem.

Mniej zajęty niż Ksawery, wreszcie przekonany, że dość ma trofeów na dziś, chłopak więcej zwracał uwagi na otaczające przedmioty. Wciąż leżąc nie patrzył na kaczki, lecz na dwóch jeźdźców zbliżających się stępa do mostku.

— Oho! — mruknął po chwili — panienka z Jasieniec i pan Stanisław; może pan nierad będzie się spotkać, proszę pana? — zainterpelował głośniejszo.

— Cicho! — odburknął Ksawery.

Stefan pokręcił głową w niemej desperacji. Spadkobierca panny Heleny był w najlepszym razie podobny do ścierki kuchennej. Obłocony po pas, osmalony od upału i prochu, spocony, w poplamionej płóciennej kurtce i w czapce na głowie, która niegdyś była może białą, ale obecnie nie miała pretensji nawet do popielatej barwy.

— Aj! — jęknął Stefan po przeglądzie i wstał, bo ów pan Stanisław był już o dwa kroki, podczas gdy panienka

pozostała trochę w tyle.

Leśniczy zdjął czapkę z uszanowaniem przed szeroką, opaloną, dobroduszną fizjognomią młodzieńca na gniadym, pięknym koniu.

Jeździec niedbale dotknął swego kapelusza.

— A ty co tu robisz, Stefanie? — zagadnął nie spostrzegając jeszcze Ksawerego.

— Kaczki strzelam — odparł zapytany.

— Na Jasienieckich ługach! Czy u was w „Dworzyszczu” mało zwierzyny?

— Mam pozwolenie; jeszcze za życia nieboszczki pani paniątka mówiła, że nasz dwór i Jasieńce nie mają granicy — odparł śmiało Stefan.

— Tak, za życia nieboszczki, ale teraz granica jest, mój drogi, nie zapominaj o tym.

— Cóż tam, Stachu, czemu stoisz? — zabrzmiał nagle tuż za Ksawerym głos tak dźwięczny, że zapomniał o polowaniu i obejrzał się nieznacznie.

Na białym jak śnieg koniku jechało młode dziewczę znane mu z portreciku. Wierzchowiec, snadź żywy, kręcił się i szarpał; powstrzymywała go od niechcenia, z pewnością siebie wytrawnej amazonki.

Nie wiadomo, co Ksawery dopatrywał w postaci tej i twarzy tak wdzięcznej i uroczej, co go zmusiło wykonać straszne salto mortale. Ostrożnie złożył broń na mostku, spojrzął pod nogi, zsunął się na sam brzeg drzewa i — chlust! znalazł się po ramiona w błotnistym ruczaju; za sąsiadki miał kilka wielkich żab, za dach — obrosły grzybami spód mostu, za świadka — przebudzonego nagle Oresta, pod nogami muł jakiś bezdeny, w który jego chodaki grzęzły coraz głębiej.

Ale nie zważał na to. Nastawił uszy i słuchał.

— Ach, to ty, Stefanie! — zabrzmiał z życzliwą radością ten sam śpiewny głos dziewczęcia — jakżem ja rada spotkać kogoś z mego kochanego „Dworzyszcza”. Cóż słyhać u was?

Ale Stefan miał w żyłach silnie zmodyfikowaną, lecz zawsze gorącą krew pani Sobótkowej.

Pan Stanisław obraził go śmiertelnie; na razie musiał wytoczyć mu proces.

— Proszę panienki — odparł — czy mnie już tu nie wolno polować w Jasięcach?

— A któż ci zabroni? — spytała zdziwiona.

— Panicz kazał pilnować się granicy.

— Musiało ci się coś przywidzieć. Jasięce należą do mojej matki i do mnie, tak teraz, jak i przedtem.

— Dziękuję panience — rzekł tryumfująco Stefan. Tryumf jego odnosił się również do nieobecności pana za wierzbą. Bystre jego oczy wnet dostrzegły zniknięcie; czuł się teraz pewnym siebie.

— U nas wszystko dobrze. Pana mamy już od tygodnia — ciągnął nadymając się jak żaba ze sposobności pochwalenia się tym nowym nabytkiem.

— Cóż to za jeden wasz pan? — spytał lekceważąco towarzysz panny Janiny.

— Żaden jeden, ale obywatel, młody, przystojny, grzeczny dla wszystkich, delikatny, rozumny... Matka, ojciec i cały dwór kochają go.

Efekt przemowy entuzjastycznej Stefana zginął marnie. Nikt nie słuchał pochwał i przymiotników nagromadzonych w takiej ilości. Pan Stanisław gwizdał przez zęby, panna Janina końcem szpicruty objęła niemilosiernie wierzbowe listki.

— Mniejsza z tym — przerwała po chwili — powiedz

mi raczej, Stefanie, czy ten wasz pan nie ma zamiaru sprzedać „Dworzyszczka”?

— Nie wiem, panienko.

— Jeżeliby szukał kupca, ja nim będę. Przy sposobności możesz mu to powiedzieć. Jemu pewnie nie chodzi o ten kawałek ziemi tak oddalony od majątku. No cóż, Stachu? czy się boisz przebyć pierwszy ten mostek? Bądź zdrow, Stefanie. Kłaniaj się matce ode mnie.

Kopyta białego konika zadudniły po deskach, obsypując głowę Ksawerego ziemią i kurzem; gniady rumak pana Stanisława podążył znacznie ostrożniej.

— Łotr! — burknął Stefan przez zęby, w kształcie grzecznego pożegnania. Tętent cichł i ustał.

Wtedy dopiero Ksawery poczuł wilgoć, zimno, swąd wody i obrzydzenie do żab. Klnąc wygramolił się na brzeg rowu. Naturalnie klątwy odnosiły się tylko do pana Stanisława, bo chyba potwór zdobyłby się na złorzeczenie ślicznemu stworzeniu o złocistych włosach i oczach szafirowych, takich głębokich, że wyglądały jak czarne.

Nie, Ksawery potworem nie był. Otrząsnął się jak pudel po przymusowej kąpieli, wylał żółć w paru wykrzyknikach i schylił się po strzelbę, komenderując odwrót Stefanowi.

Gdy podnosił broń, wzrok jego padł na czerwony przedmiot na grobelce. Wziął go do ręki i coś długo milcząco patrzył nań. Była to jednak tylko rączka koralowa trzymająca misterny srebrny sztylecik; służyła przed niedawnym czasem jako zakończenie szpicruty damskiej, czyjej, Ksawery wiedział dobrze, choć się znalezieniem jej nie pochwalił przed towarzyszem, tylko ją schował nieznacznie do bocznej kieszeni.

Źle zrobił Jazon. Sztylecik, choć zaledwie calowy, choć ujęty w koral, bywa niebezpiecznym w tak bliskim

sąsiedztwie serca i — Medei.

Stefan w drodze z powrotem musiał wiosłować, sterować, pilnować broni, zwierzyny i psa, bo pan był do niczego. Leżał on na dnie czajki zapatrzony w jasną dał, zmęczony czy smutny i nucił półgłosem jakąś tęską barkarolę neapolitańską, rozmarzającą jak plusk fali spokojnej.

— Co to za facet? — spytał nagle, bez żadnego wstępu, snadź dalszy ciąg swych myśli wyrażał głośno.

Stefan zrozumiał natychmiast.

— A to niby jej krewny — odparł z niechęcią — ludzie ich żenią z sobą. Od pewnego czasu łotr nie wyłazi z Jasieniec.

Trudno było przypuścić, aby złość Stefana pochodziła od sprzeczki na grobli. Był to człowiek spokojny i delikatny, zresztą zwyciężył w tym razie. Między tymi dwoma ludźmi musiał być inny, dawniejszy rachunek, o który Ksawery nie pytał, zbyt zajęty swymi myślami.

Nie rozweselił się przybywszy do domu, bo zastał panią Sobótkową w równie kwaśnym usposobieniu. Obrzuciła spóźnionych gości zimnym spojrzeniem, zatrzymała je dłużej nieco na stroju pana i bez słowa uwagi pozwoliła mu przejść do swej stancyjki, oglądając ze zgrozą ślady wilgoci, które zmoczone chodaki zostawiły w sieni. Huragan wybuchł, zaledwie drzwi się za nim zamknęły.

Ksawery przez otwarte okno słyszał każde słowo. Zaiste, zdolności pani Sobótkowej były zdumiewające. Znalazła sposób jednocześnie patroszyć zwierzynę, karmić Oresta, odgrzewać zastygłą wieczerzę, krzątać się nad przebraniem jedynaka i łąać go potokiem najdosadniejszych wyrażań.

Nie o syna jej jednak chodziło, jak się Ksawery wreszcie przekonał. Stefan był gamoniem, niedołągą, cebulą, nie

dlatego, że sam wrócił bez tchu i zablocony po pas, ale dlatego że taką „osobę” naraził na zmęczenie i zlanie wodą po szyję.

Wyraz „osoba”, wymówiony z namaszczeniem niesłychanym, stosował się do brudnego oberwańca za ścianą. No, Ksawery tego by się nie spodziewał.

— Ty wisusie, hultaju, ladaco! Co ty sobie myślisz? Wodzić taką osobę po tych szatańskich wertepach! Ani mi się waź próbować czegoś podobnego drugi raz; rozumiesz? a zasie! Siedzieć mi cicho w leśniczówce, pilnować szkody, porębu, fabryki; a jak cię kiedy jeszcze zobaczę z panem w chodakach, jak nieludzkie dzieci, to cię tak ogrzmocę ojcowskim batogiem, że kości nie policzysz! Czy ty wiesz, czym to pachnie taka wyprawa jak dziś? wiesz? Pan może zachorować, przeziębic się, dostać, no, dostać fluksji, na przykład.

Na tę konkluzję Ksawery parsknął śmiechem. Ale ze Stefanem rzecz się inaczej miała, dworzyskie, lecz łasząc się powitał wysiadającego Bobrowskiego.

Był to jedyny żywy okaz. Taras nie pytając o rozkazy odjechał w głąb, zapewne do stajni, a nasz bohater widząc, że nikt na spotkanie nie raczy wyjść, pchnął sam drzwi i znalazł się w dużej pustej sieni opatrzonej w troje drzwi równie szczelnie zamkniętych.

Już miał próbować szturmować do ostatnich w głębi, gdy mu się one same otworzyły przed nosem prawie i wypadł wyrostek w ciemnej siermiedze, pół kozak, pół lokaj, uśmiechnął się przyjaźnie, zdjął palto i rozwarł podwoje na lewo, wołając donośnym głosem:

— Pan Bobrowski z „Dworzyszczą”, proszę pani.

Skąd dowiedział się tak prędko o nazwisku gościa, tego Ksawery nigdy nie pojął, a do namysłu czasu nie miał, bo

stał już w eleganckim niewielkim saloniku i miał przed sobą o tyle starą, o ile małą i szczupłą figurkę zagłębioną po nos w staroświeckim fotelu, zajętą kładzeniem kabały.

Ponad okularami obejrzała go ciekawie, odpowiadając skinieniem na głęboki ukłon.

— Bardzo mi miło poznać pana dobrodzieja, bardzo miło... ale niechże pan siada. Taki upał okropny! Nie pojmuję, jak można odważyć się na przestąpienie progu. Zawsze to powtarzam Jani, ale czyż sposób mówić co młodym? Nigdy nie wytrzyma chwili w pokoju; ot i teraz poszli ze Stasiem w pole. Czy pan dobrodziej grywa w bezika?

Pytanie to było tak niespodziewane, że Ksawery spojrzał przerażony na starą sądząc, że ma do czynienia z obłąkaną. Ale nie, malutka pomarszczona twarzyczka była zupełnie w normalnym stanie, uśmiechnięta, niespokojna o rezultat pytania,

— Nieszczególny ze mnie gracz, ale służę szanownej pani — odparł, całą siłą woli powstrzymując śmiech.

Istotnie było to położenie zbyt oryginalne jak na pierwszą wizytę.

— I owszem, i owszem. Pan się wprawi. Zagramy partyjkę.

Nie było rady. Biedny nasz bohater z wzorowym poddaniem się fatalizmowi rozpoczął tę usypiającą grę. Od zachrapania ustrzegło go tylko wejście młodej pary, znajomej mu z grobelki na ługach. Wracali z przechadzki rozmawiając swobodnie.

Panienska wydała się Ksaweremu wyższą i smuklejszą w białej batystowej sukience. Upał zarumienił delikatną twarzyczkę, oczy spoczęły chwilę na rysach gościa, słuchając przedstawienia z ust matki.

— Staś Wardzyński, nasz sąsiad — recytowała dalej staruszka, chcąc wrócić do gry co prędzej. — Biję asa pańskiego, mam trzy damy.

Oboje nowo przybyli spojrzeli z politowaniem na nieszczęsną ofiarę bezikowej namiętności.

Jania uśmiechnęła się lekko; bawił ją zapewne spokój Ksawerego, biorącego karty z jakąś senną flegmą.

— Czy bardzo jest zamulony rów na grobelce pod granicą „Dworzyszczka”? — spytała niespodzianie bardzo poważnie, bawiąc się obrozą białego charta.

Ksaweremu nagle krew załała żarem policzki. A więc go widziała. Jego przymusowa kąpiel okryła go tylko śmiesznością. Zagryzł usta do krwi i nie zmrużył oka, patrząc prosto w śmiejące się przekornie ciemnosine źrenice dziewczęcia.

— Chcąc z błotnistych łąk tutejszych zrobić grondowe pastwiska i poprawić gatunek traw, należałoby przede wszystkim tamami uregulować wiosenne zalewy; muł po drobnych arteriach jest zabawką w porównaniu z tą masą wód psujących tak olbrzymią gałąź gospodarczą, jaką w tych stronach są ługi nadrzeczne. Mówił flegmatycznie, tym agronomiczno–przyrodniczym głosem, nie przestając grać.

Panienka obejrzała go uważniej. Okaz był rzadki zimnej krwi i cichego, niespodziewanego sprytu.

*Il est fin**! zaśmiała się w duchu.

— Pan gruntownie zna kwestię wodną naszych łąk i wybornie gra w bezika — ciągnęła dalej.

— Znam się równie dobrze na żartach, jak i na cierpliwości — odparł z nieznacznym uśmiechem.

* *Il est fin!* (fr.)— Ale sprytny!

— Tej ostatniej cnoty nabył pan zapewne obcując z panią Sobótkową.

— O nie. Istotnie pierwszego dnia odpędziła mnie od bramy i zaledwie wdanie się policji ułatwiło mi wjazd do „Dworzyszcza”. Odtąd jednak, z wyjątkiem małych chmur, żyjemy w przykładowej zgodzie. Istotnie mój dom obecny jest rajem w miniaturze.

— Pan zapewne bardzo rad z sukcesji — wtrącił milcząco dotychczas pan Stanisław.

— O nie, panie. Jest to spadek niezasłużony, a więc prawie przykry. Podjąłem z ziemi brylant nie mój i nawet nie dla mnie przeznaczony; z tego cieszyć się może chyba aferzysta.

— Pan ma dobra na Litwie?

— Dobra? Chyba tak trudno nazwać wielki, ale opuszczony folwark zostawiony mi przez ojca.

— Ach, pan się zna też na pokorze! — zaśmiała się panna Janina. — Wysoka Wola była opuszczoną, czas przeszły dokonany. Teraz ma być to cudo, jak mówiła ciotka Helena.

— Ciotka moja mówiąc to dała dowód, że zna się na pobłażliwości, „Wysoka Wola cudo” jest to, proszę pani, czas przyszły, jeszcze nie dokonany — odparł używając jej wyrażień.

— Bezik! — zawołała nagle z tryumfem staruszka, nie słysząc rozmowy — wygrałam! Ale niech to pana nie martwi; młodemu honor przegrywać.

Ksawery powstał i ukłonił się, dziękując za komplement i bezikową partię, ale staruszka nie widziała tego ruchu; zatopiła się cała w nowej kabale.

Myśli jej wszystkie były to te papierowe, kanciaste kartki z drukowanymi czerwono i czarno znakami; innych

już nie znała.

— Herbata podana — oznajmił w tej chwili kozaczek, ukazując się na progu dalszych pokoi.

— Podaj mi rękę, Stasiu — rzekła pani Jasieniecka i wsparta na ramieniu jasnowłosego olbrzyma podreptała naprzód, wzywając Bobrowskiego przyjaznym uśmiechem.

Kwadrans żmudnej gry zjednał mu dozgonną przyjaciółkę.

— Pani mi pozwoli zwrócić swą własność — rzekł korzystając z chwili, gdy zostali sami, dobywając z kieszeni koralową rączkę ze sztyletem.

— Ach! czy pan to znalazł na dnie rowu? — zaśmiała się przekornie.

— Nie, pani, na skraju tylko — odparł wchodząc do jadalni.

Zatrzymała się na chwilę w progu. Rysy jej spoważniały, spojrzała na niego smutno prawie.

— Czy mogę prosić pana o coś? — rzekła półgłosem.

— Rozkazuj, pani.

— Czy pan nie znalazł w bibliotece w „Dworzyszczu” starej, wytartej książki *Myśli* Marka Aureliusza?

— Owszem, znalazłem ją otwartą na stole.

— Dla pana ona nie ma żadnej wartości, dla mnie jest skarbem. Uczyłam się czytać z niej. Była to biblia ciotki. Proszę, sprzedaj mi ją pan.

Spojrzał na nią z wyrzutem swymi poważnymi, ciemnymi oczyma.

— Co by ciotka powiedziała, słysząc panią tak mówiącą?

Czy dlatego, że jestem obcy, masz pani prawo mnie ranić? Nie jestem spekulantem i pamiątkami nie handluję.

Spuściła oczy przed jego wzrokiem i zarumieniła się

lekko.

— Przepraszam — rzekła z cicha — i proszę, daruj mi pan tę książkę.

— O! pani jest dobra. Nie obrazi się pani więc, jeśli będę szczerą?

— O! nie. Kocham prawdę — odparła z mocą.

— A zatem nie tylko ta książka, lecz całe „Dworzyszcze” powinno do pani należeć.

Zarumieniła się lekko. Nie pierwszy raz zapewne słyszała te słowa.

— A teraz w zamian ja mam prośbę do pani. Na pojutrze, w sobotę, zamówiłem u proboszcza nabożeństwo za duszę ciotki.

— Będziemy, nieprawdaż, mamó? — spytała, gdy siadali do stołu zastawionego wieczorną herbatą.

Nie przemówiła już więcej do gościa; jakby znajdowała, że spełniła obowiązek do dna; zwróciła uwagę i rozmowę ku panu Stanisławowi.

Drażniła się z nim bez miłosierdzia.

Po godzinie Ksawery, syt gawędy z przygłuchą staruszką, widząc zresztą pod gankiem osiodłane wierzchowce młodej pary, pożegnał towarzystwo.

Zaledwie wyjechał za bramę, gdy panna Janina i pan Stanisław przelecieli koło niego.

Długo ją ścigał wzrokiem. Nagle drgnął, myśl jakaś rozjaśniła mu czoło i duszę; zrozumiał siebie.

— Medea moja — szepnął — tak, moja; ja bez niej nie wrócę do domu, choćbym miał jej posiadanie życiem przypłacić, jak Jazon grecki...

A tymczasem Medea jechała stępo obok kuzyna dziką drożyną ponad rzeką i nuciła z cicha *Pieśń wieczorną* Moniuszki. Woda Horynia, ptactwo i polne koniki

wtórowały jej rozgłośnie.

— Jakże ci się podobał Litwin, Janiu? — spytał pan Stanisław.

— Po-do-bał mi się — odparła podkładając słowa pod melodię śpiewu.

— Wzajemna sympatia widocznie, bo i on ścigał cię bezustannie oczyma. Ciekawym, co to za konfidencjonalną rozmowę prowadziliście we drzwiach jadalni?

— Mówił mi, nie chcąc zbyt pochlebiać twej próżności, że nigdy jeszcze nie spotkał tak inteligentnej fizjognomii jak twoja. Winszował mi szczęścia posiadania bystrego kuzyna. *Allons**, Śnieżek!

Na to wezwanie biały konik ruszył jak strzała.

Pan Stanisław nie widział drwiącego wyrazu twarzy dziewczyny. Nie przypuszczał, żeby to był żart; wszakże okolica cała miała go za najdzielniejszego reprezentanta dobrego tonu i znajomości świata.

Dogonił towarzyszkę na rozdrożu, skąd miał wracać do swego majątku, o miedzę od Jasieniec; spojrzała nań gniewnie.

— Słuchaj, Stachu — rzekła stanowczo — czy ci kiedy wyznałam, że cię kocham?

— Niestety, nigdy! — westchnął.

— Ty przeciwnie, powtarzasz mi to bez końca. Dotąd tolerowałam to, boś bliski krewny i stary mój towarzysz dzieciństwa. Ale to ci bynajmniej nie daje prawa ścigać mnie wzrokiem Otella i męczyć swą nudną zazdrością. Rozumiesz? Na to nie pozwoliłabym nawet temu, kogo bym kochała, tym bardziej tobie. Daję ci zatem do wyboru: jeżeli kiedy zechcesz wdawać się ze mną w podobną

* *Allons* (fr.) — Naprzód.

rozmowę, jak dziś, o Bobrowskim, *adieu bonjour**! możesz nie pokazywać się więcej w Jasieńcach; jeżeli obiecujesz poprawę, będę cię nadal znosiła. Niesłusznych pretensji nie lubię, nie znoszę, nienawidzę. A teraz bądź zdrow; czekam cię pojutrze w miasteczku na żałobnym nabożeństwie.

Nie słuchając odpowiedzi zawróciła ku domowi i po chwili myśl jej była daleką od wypadków dnia tego; rozwijała nić wspomnień tak bliskich, a już tylko wspomnień niepowrotnych. Nie wróca, nie, jak nie wróci już ta, która stanowiła ich treść, a która śpi już na wieki, pod sklepieniem grobu, niema, zimna — proch.

Obraz opiekunki, nauczycielki, powiernicy stał w oczach dziewczęcia łzami przyćmiony i było jej smutno i samotnie, gdy przestępowała próg rodzinnego domu, gdzie na nią czekały gospodarskie sprawy i bezik wieczorny z matką.

Sobota wzruszyła do głębi spokój „Dworzyszcza”. Już od świtu pani Sobótkowa krzątała się po dworze, wystrojona uroczyście w monstrialny czepiec z fioletowymi wstęgami. Służba biegła rozstrojona, Jan doglądał ekwipaży i koni. Stefan ukazał się także w dniu tak ważnym i w alkierzu matki stroił się w odświętne szaty; tylko Ksawery, gotów do drogi, przypatrywał się z ganku temu zamieszaniu, wybijając szpicrutą marsza na jakiejś zabłąkanej aż tu blaszanej polewaczce. Muzyka zaiste stanowiła wtór właściwy i dla ucha przyjemny.

— Prędeży! — odzywał się od czasu do czasu potężny głos pana, górujący nawet nad blaszanym bębniem.

Było to hasło do jeszcze większego bezładu, do

* *adieu bonjour* (fr.) — żegnaj, dobry dzień!

sroższego krzyku pani Stefanii, do energiczniejszego trzepania surduta Stefana.

Jak się tam skończyło z tym wybieraniem, tego Ksawery już nie zobaczył, bo niezdolny dłużej czekać, dosiadł Brawury i pognął jak wiatr, przypuścmy, że nie w jedynym celu wysłuchania godziniek śpiewanych chórem przez bractwo kalek. A jednak w rezultacie nic więcej mu nie przyniosła szalona jazda.

Urwis jakiś, któremu oddał w opiekę klacz, pokazał mu wprawdzie jasienieckie siwosze, ale na wstępie do kościoła spotkało go srogie rozczarowanie. W kolatorskiej ławce siedziała tylko malutka, zgarbiona amatorka bezika. Medei nigdzie nie było.

Ksawery przywitał staruszkę pocałowaniem ręki, co jej się podobało widocznie, a że był człowiek szczerzy i nie dyplomata, więc zaraz spytał o pannę Janinę.

— Imieniny, pan mówisz, a tak, dziś imieniny proboszcza. Na imię mu Inocenty — odparła wnrzając swój ostry nos w olbrzymią księgę z modlitwami.

Trzeba było poprzestać na tym objaśnieniu, i modlić się także, jak należy.

Trudno mu to przychodziło. Śpiew żebraków, spojrzenia ciekawe, skierowane na niego ze wszech stron, przybycie dworzyskiego towarzystwa, a nadto zmartwienie i brak jakiś niezrozumiały, wszystko to plątało mu słowa pacierza.

Ujrzał też pana Stanisława, lecz ten mu znikł zaraz z oczu, a wnet dzwonek u drzwi zakrystii oznajmił początek nabożeństwa.

Organy zabrzmiały poważną introdukcją i rozległ się z chóru śpiew — silny czysty, przepyszny, młody głos kobiety, który Ksawery poznał natychmiast i znalazł ład w

swych pocierzach i rzewny, rozkoszny spokój w duszy.

Ukrył twarz w dłoniach i nie podniósł jej aż po ostatnim dźwięku śpiewu, gdy solenizant dnia tego zaintonował basem *Anioł Pański*.

Wrażenie prysło, organy ucichły, a natomiast żebracy poczęli piszczeć najfałszywiej, w nadziei datku od stroskanej rodziny, i publiczność rzuciła się spieszenie do drzwi, uciekając od dziadowskiego koncertu. Ksawery przyznał tej dezercji zupełną słusność. Podał ramię staruszce i wyszedł też, szukając w tłumie złotej główki swego ideału.

Stała u drzwi chóru, wsparta na ramieniu pana Stanisława, blada, poważna, ze śladami łez w oczach. Ukłoniła mu się tylko, nie raczy wszy podać ręki, i poszła za matką do powozu.

— Janiu — szeptał jej kuzyn tak głośno, że każde słowo dochodziło uszu Bobrowskiego — jestem pewny, żeśmy o tym samym myśleli oboje w kościele.

— No, bardzo wątpię; powiedz wreszcie.

— Myślałem, czy mi prędko te organy zagrają *Veni Creator*, to jest mnie i tobie — odparł czule.

— Mylisz się w takim razie. Ja myślałam tylko o ciotce — odparła bardzo poważnie, wysuwając rękę spod jego ramienia i zajmując miejsce obok matki w powozie.

Ksawery zapiął fartuch, spojrzął na nią i został sam, patrząc z zawiścią na obmierzłego Stanisława, którego bryczka ruszyła w ślad jasienieckich siwoszów. Czuł, że nabiera dla tego człowieka Stefanowej nienawiści. Co się z nim działo? Jak lunatyk przyjechał do domu, jak lunatyk poszedł do mieszkania ciotki i padł na sofę w bibliotece, niezdolny do nikogo przemówić. Czyżby się on zakochał w lat trzydzieści kilka, przebywszy burzliwe dni młodości?

Myśl o żonie, o domowym ognisku często go nawiedzała w jego pustej norze, w pierwszych chwilach pobytu; często, wracając zmęczony do domu, wyobrażał sobie, jak by to miło było ujrzeć inną twarz obok ospowatej fizjognomii Walka; lecz była to utopia, zbytek dla nędzarza, odpędzał marzenie, aż nie wróciło więcej, zabite pracą i troską codzienną.

Teraz pragnienie znów się zbudziło, potężniejsze jeszcze, bo przywiązane do żywej kobiety; miłość ogarniała mu duszę coraz głębiej i szerzej.

Kiedy się zaczęła, kiedy wzrosła? Ba, kto to opisać zdoła? Gdy z wiosną giną śniegi, kto określi postęp budzącej się przyrody? Dziś jeszcze czarno i pusto, jutro już kwiecie się śmieje i ciepło nas ogarnia. Skąd się wzięło? kiedy wzrosło? jak zakwitło?... Jest i koniec.

Do tego logicznego wyniku przybiła wreszcie, po długim błędzeniu myśl Ksawerego, gdy ją nagle przerwał hałas jakiś na dziedzińcu i głosy kilku osób, którym naturalnie przodował pisk pani Stefanii.

Krzyk się zbliżał, otworzono po długim szamotaniu drzwi salonu, rejwach rósł do rozpaczliwych rozmiarów.

— Wynoś się, ty oberwańcze! Będziesz ty mi swymi bučkami podłogę brudził! Kiedy masz interes do pana, to czekaj w sieni.

— Puscaj, babo, bo cię zdiele! A to zatracona kobieta, kaj pijawka się cepia cęka! — ozwał się zaspany, ochryply, dobrze znany Bobrowskiemu głos Walka.

— Pokornie proszę iść sobie precz — dokończył cichy głosik Jana.

Ta pokorna prośba była widocznie poparta jakimś bardzo wyrazistym argumentem, bo hałas się oddalił i ucichł zupełnie po chwili.

— A ten skąd się tu wziął? — mruknął do siebie Bobrowski.

W innym czasie pośpieszyłyby na ratunek biednego Mazura, ale teraz nie wzruszyłyby go nawet wieść, że Wysoka Wola została porwana przez trąbę powietrzną.

Da sobie sam radę, zdecydował stoicznie, zamykając oczy, aby snuć dalej sen na jawie.

Pół godziny minęło we wzorowej ciszy, potem zaskrzypiały drzwi od ogrodu, ktoś na palcach przeszedł przez salon, otworzył bibliotekę i w szparze ukazała się przerażona twarz Walka.

— No, śmiało, chłopcze — zaśmiał się Ksawery.

Na ten głos Mazur podskoczył naprzód, wywracając sprzęty po drodze.

— Mój ty Jezu najśłodszy! A dyć pan zdrów i cały, a my już pana oplakali. Powiedzieli nam, co tu pana zabili — jękał z radości pocziwiec, obejmując kolana pańskie.

— Któż to powiedział?

— Pan Prowicz. Ta ja widzę teraz, że żartował po swojemu, a my sieroty uwierzyli. Przyjeżdża pewnego ranka. „Jest pan?” pyta. „Co ma być,” mówię płacząc. „To i nie będzie,” odpowiada i dobywa jakiś papier z kieszeni i czyta, co pana tu zabiła jakowaś panna i co ją wzieni do kryminału, i co pan przed śmiercią nas wspominał i żegnał, i co jemu zapisał Wysoką Wolę. Ta to łgarstwo było, proszę pana, ale jako on to czytał i potem począł łyzy ocierać, więc my w lament!... jak Boga kocham, płakał, kat go wie jak.

— Ze śmiechu naturalnie. A to niecnota, łobuz! Ale skądęś ty się tu wziął, Wałku?

— Jakaśwa się wylamentowali, powiada do mnie pan Prowicz, że jedzie na Wołyń, że z pogrzebem na niego

czekają! — wciąż płacząc, pyta mnie, czy ja nie chcę też pojechać, ciało nawiedzić i w grób położyć?...

— Jak to, więc z nim przyjechałeś?

— A jużci. Wyrzucił mnie wedle zawrotu, a sam pojechał dalej, obiecując, że jutro będzie; ja szedłem sobie pod dwór...

Nagle Walek ucichł w swej opowieści, rzucił okiem na drzwi i zrejterował za pana.

Strach był aż nadto uzasadniony; na progu stała pani Stefania i miała pończochę w rękę, tę samą, siną, z wielkimi błyszczącymi drutami.

— Już ty mi nic nie zrobisz tera! — wołał Mazur beczelnie, ufny w moc swej żywej twierdzy.

— Pani Stefanio, to mój lokaj z Wysokiej Woli — ozwał się Ksawery łagodząc groźną pozycję.

— To wariat, furiat, opętany! — wykrzyknęła patetycznie, wznosząc ręce z pończochą ku niebu. — Słyszał pan coś podobnego! Włazi przez płot jak złodziej i prosi mnie z płaczem, żebym mu pozwoliła pańskie ciało po śmierci nawiedzić! Chryste! bodaj mu język sparaliżowało! Złajałam go naturalnie, jak się należy, a on nic, prze się gwałtem do domu, miota się jak wściekły. Janowi oberwał dwa rękawy, mnie zwymyślał i błota naniósł na posadzkę.

— Za karę wywoskuje ją jutro — zaśmiał się Bobrowski — a teraz, gdy już ciało me nawiedził, dajcie mu co jeść; pewnie głodny.

— Od trzech dni ze zgryzoty ino łyzy połykałem — potwierdził Walek płaczkliwie, myśląc zapewne już nie o zgonie pańskim, lecz o własnym pustym żołądku.

— Trzy dni nic nie jadł z żalu — zamruczał ugłaskany smok Kolchidy cofając się majestatycznie.

— Więc pan Prowicz obiecał jutro przyjechać? — zagadnął Ksawery idąc z lokajem w jej ślady.

— A ino. Tak mi mówił przy zawrocie.

— Bodajby to było kłamstwo, jak i reszta — mruknął niezbyt grzecznie gospodarz.

Niestety, była to jedna z rzadkich prawd w ustach paliwody*. Nazajutrz zjawił się we własnej osobie i wysiadł z bryczki śmiejąc się jak szalony.

— *Salve**, Jazonie! Twoja Kolchida to raj, twoja Medea — cudo.

— Gdzieżeś ją widział? — wtrącił Bobrowski dość niezręcznie, wprowadzając gościa do domu.

— Gdzie? W twoich oczach! Czy nie ma tu gdzie lupy, żebym się lepiej przyjrzał? Walek, lupy! Rozumiesz? takiego szkła, przez które można poznać, ile człowiek panienek kocha.

— Eee, gdzie też! Pan sobie żartuje. Już mnie pan tera nie zwiedzie! — odparł Mazur i uciekł do Stefana, z którym poprzyjaźnili się przez wieczór.

— Widzę ją i tak — ciągnął Prowicz zaglądając w same białka przyjaciela. — Wysoka blondynka na białym koniku, w granatowej amazonce. Co, czy nie tak? Przy boku ma zapewne straż honorową z twego ramienia, wielkiego drağala, na apokaliptycznie wielkim koniu. Jazonie, czemuś na mnie nie zaczekał? ja bym się tak chętnie podjął tego obowiązku! — zakończył patetycznie.

— Nic ciębie nie rozumiem, bredzisz! — burknął zły Ksawery.

— I rozumiesz, i ja nie bredzę. Powtórz mi w oczy, że nie znasz panny Janiny Jasienieckiej i Stacha

* paliwoda - łgarz

* *Salve* (łac.) — łgarz

Wardzyńskiego.

— Spytam raczej, skąd ty ich znasz?

— A co, widzisz? Otóż, żeby cię uspokoić, objaśnię, że celem mej wizyty był właśnie Stach Wardzyński. Jest to mój krewny, miałem interes do niego, zarazem chciałem ciebie odwiedzić.

— Nawiedzić chyba — wtrącił Ksawery.

— Nie, to Walek tylko jechał w tym nabożnym celu. Otóż nie zastaję Stacha w domu, każę osiodłać konia i jadę sobie na spacer. W pół drogi spotykam zjawisko. Omal nie mdleję; ale po co ci opisywać te symptomata? Odbyłeś je sam, wyglądasz jak trzaska. Ach, co to miłość może!

Prowicz przestał, bo mu tchu zabrakło.

— O, jak tu u ciebie pięknie! — zaczął z innej beczki, oglądając się wokoło i wężąc — uhm, pachnie piżmem czy magnolią; a tam dalej co? mieszkanie?

Poszli tedy robić przegląd domu i dobra harmonia trwała dłużej niż zwykle między nimi. Pryśła dopiero wówczas, gdy Prowicz zaczął przymierzać odzienie ciotki Heleny i tańczyć kankana między szafami biblioteki. Szczęściem nie było pani Sobótkowej, ale Ksawery, uniesiony świętym oburzeniem, prosił łobuza do swej stancyjki.

Nic zeń nie dobył Prowicz. Tego, co czuł, nie wypowiedałby przed nikim, chyba przed pewną parą szafirowych oczu; lecz dzień ten kosztował go niesłychanie wiele. Stach War—dzyński zapewniał krewnego, że jest pewien serca i ręki pięknej Jani. Obcemu, nieznanemu przybyszowi nie zostawało ani odrobiny nadziei powodzenia. Obowiązki i konieczność powoływała go na Litwę; lada dzień trzeba będzie zerwać ten błogi sen, a potem...

Niežnośny Prowicz, powód tych czarnych myśli,

odjechał po kilkogodzinnym błaznowaniu. Ksawery wieczorem siedział zamyślony na stopniach ganku i słuchał półuchem szeptania Walka i mruczenia pani Sobótkowej. Byli tylko we troje. Mazurowi Polesie nie przypadło do gustu. Ledwie zjadł i przespał się, począł dopytywać, kiedy wrócić do domu.

Na nieszczęście jedyną rzeczą, która dotąd nie zatyła u pani Sobótkowej, nie licząc języka, były uszy. Słuch miała niesłychanie bystry. Szept Walka doleciał jej zupełnie wyraźnie. Zgoda i dobra komitywa poszła natychmiast w niepamięć na tę oburzającą myśl, że obrzydliwy, ospowaty chłopiec, zrobiwszy taki bezład w domu, chce im jeszcze pana zbuntować i skusić.

Porwała się zaperzona.

— A to znowu co nowego! Powracać! Jeszcze czego! Ja ci pokażę, pana nam odbierać! Widzicie go! Wracaj sobie sam do twojej Litwy! Pan tu potrzebny, będzie się żenić u nas! Rozumiesz, wisusie!

— Ja nie Wicuś, ino Walek Bzura. Gadacie, kieby po blekocie. Po kiego licha panu żona? U nas jest porządek, jak się patrzy, jest gospodyni, są kury, jendyki, kacki i wsyćko co obywatelowi potrza. — I wygłosiwszy w ten sposób swój pogląd co do zadania żony w życiu człowieka, Mazur zakończył tyradę mądrym streszczeniem: — Żona to kłopot i tyła.

— Skądże doszedłeś do tego przekonania? — spytał z uśmiechem Ksawery — wszakżeś kawaler, Walku.

— Abo co cłek ocu nie ma, prośę łaski pańskiej. Co ma złe zeczy na sobie próbować? ot tam, u nas, pan Oleksza się ożenił, wziął taką cudacną pannę, co to gada pięciu językami, i też przegadali bez pięć lat taki piękny majątek. Wie pan, ten, co to w nim pan kupił Farfurę?

Bobrowski skinął potakująco głową.

— A ten stary pan, co go marszałkiem tytułują, ożenił się z jamoru, z dziewczyną niby lalka. I cóż, myśli pani, a bo to dobrze było? Gdzie też! Mój jamiołku, jedźmy do kąpieli! mój jamiołku, kup mi jaksamitną suknię! I tak słowo od sukienki i bucika, aż majątek Żydy zabrali. Ech! co ta mówić po próżnicy dalej. Abo to mój pan taki głupi jak inni, co by to się jasnymi włosami dał oplatać?

Ksawery głuchym milczeniem przyjął tę swoją apologię; nie możemy zaręczyć, by mu zbyt pochlebiała; za to pani Stefania zaśmiała się jakoś dziwnie. — Zobaczmy — rzekła z miną tajemniczą Sybilli kumejskiej i wyszła, by zając się wieczszą.

Ach, tak! zobaczyli też wszyscy nazajutrz, jak bułanki powiozły pana Ksawerego do Jasieniec.

Walek, nie domyślając się niczego, sam powoził, ciesząc się z koni i zaprzęgu, i plotąc wciąż swym łamanym językiem aż pod bramę.

Nagle zwrócił się na koźle i pokazał kogoś na dziedzińcu końcem bata, pytając z cicha: — Czy to panienka tutejsza?

Ksawery głową skinął.

— A dychter podobna do tej pani, co to gadała sześciu językami.

Miła to dla mnie wróżba, pomyślał Bobrowski uważając przy tem, że od wczoraj lingwistyka owej pani wzbogaciła się jednym językiem. Musiała to chyba być córka Mezzofantiego, mruknął wyskakując z bryczki tuż przed panienką.

Stała ze spicrutą w rękę, unosząc zgrabnie długą swą amazonkę; furman oprowadzał konia; za nią skupiło się kilku włościan, ekonom, Żyd i Maria, owa piękność z

leśniczówki; wszystko czekało na rozkazy lub przyszło z prośbą do młodziutkiej gospodyni.

— Pani wyjeżdża? — spytał Bobrowski podając jej przywiezione *Myśli* Aureliusza.

— Wracam. Dziękuję panu za książkę. Widzi pan tę rzeszę. Czekają na otwarcie drzwi kancelarii z silnym postanowieniem nudzenia mnie do zmroku. Na dobitkę matka dziś chora obłożnie, a Stacha mi odebrał ten wesoły pan, pański sąsiad, jak mi mówił. Pan pewnie uzna to za straszne *shoking*, jeżeli pana przyjmę w kancelarii i zaniedbam nieco gościa dla tych ludzi.

— Naprawi pani owe *shoking* najzupełniej w moim przekonaniu, jeżeli będę mógł być w czymkolwiek pomocą u biura — odparł kłaniając się.

— Chodźmy zatem — rzekła wzywając interesantów. Poszli. Kancelaria była czysta, porządek wzorowy, ale nad to wszystko górowała w oczach gościa logika, spryt i szybkość kombinacji tej ośmnastoletniej dziewczyny. Pomocy nie potrzebowała wcale. Ksawery był tam tylko, by słuchać i podziwiać, i kochać coraz więcej. Niezdrowym mu był pobyt przy tym biurze obok niej; gdy zostali sami, nie pamiętał nie tylko żadnego obcego, ale nawet swego ojczystego języka.

Samotność we dwoje to sen letniej nocy między dwojgiem istot, które są pewne wzajemnego uczucia, które je już ustami wyznały, czy trwa ona godzinę, czy dzień, czy miesiąc, dla nich to jedno, jedno spokojne rozkoszne szczęście. Lecz nim to słowo czarodziejskie otworzy serce i usta, samotność we dwoje jest męczarnią; wątek rozmowy się rwie, milczenie jest niedozwolonym, a w głowie taki chaos, że myśli postronne nie tworzą łańcucha, lecz rozbite na ogniwa płaczą się niesfornie. Ani ich skuć, ani ich

porządnie wyrazić nie sposób.

W takim usposobieniu był Ksawery, nim się zdobył na głos i jakikolwiek frazes.

— Czy panią nie nuży to zajęcie? — spytał — kłopot niesłychany i przykrości bez liku.

Opuścili już kancelarię i zasiedli na ganku, a między nimi ułożył się biały chart, nieodstępny towarzysz Jani.

— Przykrości, pan powiada — rzekła po chwili milczenia, patrząc zamyślona przed siebie — gdzież ich nie ma? Mamy ich równą dozę w każdym obowiązku. Zapewne może się nam zdawać, że gdzie indziej jest ich mniej, lecz to jest tylko niepotrzebne targowanie się z życiem. Powinniśmy iść drogą nam wskazaną, nie szemrząc. Paskal słusznie powiedział, że pęta czujemy dopiero wtedy, gdy je targać poczynamy. Za życia ciotki pańskiej nie robiłam nic, żyłam jak ptaszek; lecz to przeszło już bezpowrotnie.

Zaśmiała się zmieniając poważny ton.

— Widocznie nabrałam gustu do nawału obowiązków, bom się wreszcie zgodziła i na małżeńskie jarzmo, choć w tym było dużo egoizmu, by zrzucić na szerokie barki Stacha ciężar agronomicznych trudów.

Ksawery podniósł na nią oczy i zdobył się siłą woli na uśmiech, choć go okropnie zabolalo w sercu.

Wstała i spojrzała na niego.

— Pan mi daruje, że wyjdę na chwilę matkę odwiedzić — rzekła przepraszając zarazem uśmiechem.

Pozostał sam. Posłał kozaczka z rozkazem zaprzęgnięcia i zapalił papierosa.

A zatem Jazon wróci bez cudnej królowny pod dach swój ojczysty, myślał z goryczą.

— Co za widziadła ściga pan w kłębach dymu! — ozwał

się za nim głos srebrzysty.

Drgnął, zerwał się i zdeptał nogą papierosa.

— Po cóż to? dym mi nic nie szkodzi. Stach nas wędzi po całych dniach! Niech pan pali, proszę, i odpowie na moje zapytanie, jeśli nie jestem niedyskretna.

— O, bynajmniej! Rozmyślałem nad smutną rzeczywistością powrotu do Wysokiej Woli. Tu, w „Dworzyszczu”, miałem parę tygodni rozkosznych wakacji. Tam znajdę chłód, pustkę i śmiertelne nudy.

— Ma pan pracę wszakże. Nie pojmuję, jak ktoś inteligentny nudzić się może będąc sam.

— Przykro mi bardzo zachwiać wiarę pani w moją inteligencję, lecz wyznać muszę, że jest chwila w życiu, gdzie nam nie wystarcza praca, książka i samotność. Jest to tęsknota za słońcem życia człowieczego, za żoną i rodziną, za towarzyszką pracy i wytchnienia, studiów i marzeń. Wedle tego, com słyszał przed chwilą, sądzę, że pani mnie zrozumieć nie może.

— Dlaczego?

— Tak. Mąż, zdaniem pani, jest narzędziem gospodarczym, bydłem pociągowym i niczym innym. Szczęściem, że pani kuzynowi rola ta odpowiada.

— A panu nie! — zaśmiała się opierając główkę o drzwi i mierząc go spod rzęs wzrokiem drwiącym.

— Naturalnie! choćbym kochał nad życie, dopóki bym w sercu kobiety grał tylko rolę ekonoma, nie ożeniłbym się z nią nigdy!

— Czy ten właśnie wzgląd przeszkodził panu w małżeństwie z panną Anielą W.?

— Jeszcze ważniejszy, pani, jeśli mam odbyć spowiedź szczerą. Bom się wtedy wcale żenić nie myślał. Lecz skąd pani zna ten jedyny erotyczny epizod w moim życiu? Pani

wówczas była dzieckiem,

— Ciotka pańska opowiadała mi rzecz całą.

— Ach, więc moja nędzna osoba była przedmiotem rozmowy pań! — zawołał zdziwiony.

Zarumieniła się lekko.

— Ach, otóż i bułanki pana! — przerwała jego wykrzyknik, podchodząc do koni i gładząc je pieszczotliwie, jak starych znajomych, ku wielkiej ucieście Walka, który z wyszczerzonymi zębami znalazł sposobność rozpoczęcia rozmowy.

Zanim Ksawery odział się w przedpokoju, Mazur był w lepszej komitywie z panienką niż jego pan.

— Czy to pański furman? — spytała uśmiechnięta przy pożegnaniu.

— Furman, lokaj, ekonom, niańka; jednym słowem Figaro!

— odparł wsiadając na bryczkę.

Po chwili znikł zaprząg w tumanie kurzu. Janina wróciła do domu, skąd dochodził suchy kaszel staruszki, a tymczasem na gościńcu Walek po długim milczącym namyśle spojrział niespokojnie w oczy pana.

— Dlaczego to mnie pan nazwał „cygarem” przed tą piękną panienką; po jakiemu to, proszę pana, czy po italiańsku, bo po nasemu to się tak ludzi nie woła, ino to znacy tytoń, papirus! Ksawery odetchnął na tę ciekawą kwestię; był pewien, że Walek będzie go męczył gawędą o panience. Szczęściem „cygaro” zaabsorbowało go kompletnie! Powtarzał je całą drogę z wszelkimi możliwymi modulacjami głosu i zmianami liter. W „Dworzyszczu” urósł z tego wyraz przystępny tylko dla mazurskich ust i gardła!

Tydzień minął dla Ksawerego w odrętwieniu i smutnych rozmyślach. Miał na czole swą dawną troskę poważną i snuł się milcząc po polach i dworze beczynny, a jednak o powrocie do domu nie wspominał nigdy. Znowu zastał go raz w wieczór samotnego w ciotki sypialni. Siedział u biura i patrzył na portrecik Jani, zrazu tylko oczami nieszczęśliwego kochanka, potem wzrokiem artysty i psychologa.

Gdzie on widział rysy do tych podobne? Może we śnie o niebie — nie, było to na jawie. Długo daremnie męczył pamięć, aż tak, przypomniał sobie wreszcie stary notatnik ciotki i podobiznę młodzieńca! Dobył książeczkę z ukrycia. Rzeczywiście, wyraz był inny zupełnie, lecz kształty nadzwyczaj zbliżone. Między Janią a tym młodym człowiekiem o marzących oczach, zmarłym przed laty, musiał istnieć jakiś łącznik tłumaczący uczucia panny Heleny dla dziewczynki — jaki? Tego w tej chwili nie wiedział Ksawery, lecz postanowił zbadać tę kwestię.

Gdy tak rozmyślając przerzucał raz jeszcze żółtkę kartki, nagle na ostatniej jego własne imię wpadło mu w oczy; począł czytać, a w miarę jak wzrok biegł po liniach, zdziwienie i radość występowało na chmurną twarz jak słońce promienne. Oto co kreśliła drżąca dłoń zmarłej:

A zatem rachunki moje z rodziną zamknięte. Dane matce i mnie przed laty rs. 40 000, poszły w całości na zapłacenie długów mego brata. Krwawy owoc oszczędności i pracy przez życie całe oddałam bez żalu. Kawał ziemi pozostał — to dla idei; kawał ziemi zdobyłam na własność — to dla siebie na grób, dla tych, co kocham — przytulisko, dla tych, co po mnie ją wezmą — jak dobra pamiątka. Nie znam siostrzeńca mego osobiście, lecz wiem, że zaznał głodu i upokorzeń co niemiara, że młodość mu nie dała

nawet spokoju i zapewnienia pierwszych potrzeb, że zna, co to upadek z dostatku do nędzy, co to zawiedzione nadzieje i żywot zwichnięty, i jarzmo do barków nie dopasowane!

Prawa zmieniać więc nie chcę, testamentu nie piszę, legatów nie robię. Wierzę mu i zostawiam swą samotnię w jego rękach, z ufnością w serce i szlachetność. Jeśli imię moje wspomni w modlitwie, pomyślę, że wdzięczny i dobry, jeśli spadek po starej ciotce ulży mu w życiu, błogosławiona ma praca! A jednak nie o tem marzyłam! Dzieweczkę mą ukochaną widziałam po śmierci swej wśród tych ścian, stroiłam je z tą myślą i wreszcie wyznałam jej swe życzenie! Odrzuciła je stanowczo — ach, j jak stanowczo! — wzdrygając się z przykrością.

Może to i lepiej. Dom ten nie dla niej stworzony. Duch, co tu żył, powinien jej obcym pozostać! Życie ją z cierniami zapozna, lecz niech to nie będą te, co mnie krwawiły, niech ją Bóg strzeże od mej doli! Przrzekła mi przecie, że serca nie zamknie z księgami i pracą, lecz mu pozwoli czuć i kochać, i wybierać, co warte na świecie miłości!...

Jeśli siostrzeniec mój, Ksawery, pokocha ją i zdobędzie to harde serce, biorąc Janie, weźmie na własność mój skarb największy; jeżeli i to marzenie moje nie ziści się, jak się inne nie ziściły — ha, ufam jej, że potrafi uszlachetnić i uszczęśliwić innego, każdego, jak mnie była szczęściem i osłoda!...

Mało już sił i życia. Psyche się wydziera w inne światy, bruzda wy orana, czas spocząć o zmroku po dniu upalnym — czas! Idź, duchu, wnet się z jarzma wyzwolisz, długoś czekał na swobodę — idź! „Ten, co cię wysyła, wolny jest od gniewu.” Über allen Gipfeln ist Ruh!...

— Walek, osiodłaj mi Brawurę! — krzyknął Bobrowski

następnego dnia, wychodząc na ganek.

Biedny Mazur teraz dopiero zasługiwał na nazwę cygara, bo wysechł i zżółkł z tęsknoty za Wysoką Wolą i z braku zajęcia, do którego był przywykł i przywiązał się. Spał i jadł po całych dniach, a pomimo to chudł i chudł coraz bardziej.

Głos pana przerwał mu poobiednią drzemkę pod krzakiem róż, przed gankiem; porwał się na równe nogi i kłusem pobiegł do stajni.

W niespełna kwadrans klacz rżała pod gankiem.

— To tak nieboracka myśli, co do swego złobu wraca — rzekł Walek wzdychając. — Panicu, a kiej my do dom pojedziem? — zaczął nieśmiało swą zwykłą zwrotkę.

— Idź do diabła! Nikt w piątek nie wyjeżdża. Sam to mówisz.

— A dyć to prawda — szepnął markotnie biedny Figaro, podciągając zębami nieco luźne popręgi — tylko ino...

— Prędzej! — przerwał pan głosem nie zachęcającym do dalszej rozmowy.

Miał rację Walek milczeć, bo w tejże chwili Orest, wybierający się z radością za towarzysza przejażdżki, dostał szpicrutą! przez uszy i schronił się, piszcząc żałościwie, pod nogi lokaja. I Usiedli obadwa ze smutnymi minami na ganku, rozmyślając nad czarną dolą wspólną i skarżąc się nawzajem.

— Sieroty my — lamentował Walek, pięść wtłaczając w suche oczy — był pan, ale już go nie ma; narwańca przywiezieni j do naszej Wysokiej; ani to Bogu ni ludziom; a czy jeszcze przywieziem? Ach, ach!

Orest wtórował desperackim skomleniem.

Ksawery tymczasem w bramie jasienieckiej spotkał Stanisława, szczęściem wyjeżdżającego.

Uklonili się sobie z daleka, obopólnie nie radzi z siebie; nawet Bobrowski nie był ciekawy dowiedzieć się ostatnich wiadomości o losach Prowicza.

Pierwszą osobą domową, którą spostrzegł, była Maria, tej zawsze po całym dworze było pełno.

— Gdzie panienka? — zagadnął Bobrowski.

— W kaplicy grobowej, proszę pana — objaśniła kłaniając się bardzo głęboko.

Ruszył we wskazanym kierunku.

Grobowiec leżał na skraju ogrodu, osłonięty gąszczem bzów i jaśminów. Była to budowla stara, mroczna, zawierająca, oprócz prochów rodziny Jasienieckich, szczątki panny Heleny.

Tu więc, u trumny opiekunki, miało się odbyć ich ostatnie widzenie. Tak, ostatnie — jeśli... jeśli... Ksawery nie chciał już myśleć dalej.

Wnętrze kaplicy, ponure i ciemne, oświetlała jedyna lampka przed ołtarzem i parę okien kolorowych; drzwi do grobów były otwarte. Ksawery zszedł na dół po omszałych kamiennych schodach; zaraz na wstępie spostrzegł Janie klęczącą u ostatniej trumny. Czoło wsparła na zimnym metalu i płakała cicho jak ten, co cierpi ból wielki, bo wstydlivy.

Bobrowski chciał się cofnąć dyskretnie, lecz dziewczynka na odgłos kroków podniosła główkę i wyciągnęła rękę ku niemu.

Zbliżył się więc, przywitał w milczeniu i ukląkł obok niej, pobłogosławił nas, ciotko, tak jak tu jesteśmy, razem, na życie całe. Ja ją tak kocham!... Niepodobna mu było znaleźć innej modlitwy; myśl uparcie wracała wciąż do tych słów.

Nagle wzrok jego padł na złocony napis trumny

sąsiedniej:

*Tu leży Jan
Jasieniecki
ur. 1825 †
1852
„Jam jest
zmarłych
wstanie i
żywot.
Kto we
mnie
wierzy, nie
umiera na
wieki,
a ja go
wskrzeszę
w ostatni
dzień”.*

Drgnął. Wiedziony dziwnym przeczuciem spojrzął na trumnę ciotki:

*Tu leży
Helena
Bobrowska
ur. 1830 †
1880*

Te dwie trumny zdały mu się bratnie, owiane jedną myślą, jak jednakowe były złożone głoski napisów.

— Czy to ojciec pani? — spytał z cicha Jani, która powstała w tej chwili.

— Nie — odparła patrząc mu w oczy bystro.

— Więc krewny? — badał dalej.

Wyszli z podziemia i stali w mroku kaplicy.

— To stryj mój — odparła po chwili namysłu — nie znałam go wcale; był malarzem. Lecz dlaczego pana ta właśnie trumna tak szczególnie zajmuje?

Teraz Ksawery zawahał się z odpowiedzią; przez ten czas oczy Jani nie schodziły z jego rysów. Zbrodnię by wyznał promieniom tych sinych źrenic, opowiedział więc wszystko.

— Pokaż mi pan ten notatnik — rzekła smutnie, gdy skończył — masz pan słuszność, stryj mój kochał ciotkę Helenę z całym zapalem artysty. Ożeniłby się z nią, gdyby był tylko zakochany w niej, lecz on ją kochał, a nie siebie. Czuł się skazanym na śmierć i nie chciał wiązać jej doli ze swym gasnącym istnieniem; myślał może, że — jak wiele innych — i ona przeboli jego stratę, i zapomni. Mylił się.

Młodość mu zesłała we Włoszech, w słonecznej malarskiej pracowni; choroba piersiowa, zwalczona klimatem, przygasła na jakiś czas. Wówczas przyjechał do Jasieniec, poznał ciotkę Helenę i już nie chciał powracać, pomimo nalegań rodziców i mego ojca.

„Wszak i ephemeryda ma prawo do paru godzin szczęścia, nim zgaśnie”, mawiał zwykle, „ja więcej nie pragnę”.

Dwa, lata gasł; zrazu nieznacznie, potem z błyskawiczną szybkością, bez skargi, z uśmiechem jakimś, nie ziemskim już, na ustach, aż wreszcie zasnął cicho, szepcząc imię ciotki Heleny.

I oto cała historia. Świat i ludzie mówili zrazu wiele o

nich, potem zapomnieli i ucichli. Co to ich obchodziło, że jedna istota nieszczęśliwa przybyła? Jest ich tyle na ziemi; to rzecz taka powszednia, zwykła, oklepana.

Jania zamilkła, wzruszenie odebrało jej głos.

— Pan się może dziwi, że płacząc — zaczęła po chwili. — Gdy to panu mówię, stanęła mi tak żywo w oczach ciotka Helena i chwila jedna z naszych podróży zagranicznych. Było to w Neapolu. Pracownia stryja Jana pozostała nietknięta, tak, jak ją był opuścił; ciotka opłacała komorne i stróża. Stałyśmy w niej przy oknie, same, zapatrzone w cudny wieczór włoski. Ach, jakie to urocze! Szafirowe fale zatoki, luna wulkanu, pod stopami ruchliwe miasto, w powietrzu barkarole rybackie i dźwięki dzwonów wieczornego *Anioł Pański*.

Milczałyśmy długo. Ciotka modliła się zapewne, zapatrzona przed siebie wzrokiem, co nie widzi otaczających przedmiotów, i nie wiem, jak do tego przyszło, lecz opowiedziała mi to, com powtórzyła panu przed chwilą.

Raz ostatni, może jedyny, dała się porwać na wskroś ludzkim uczuciom. W głosie i słowach drgał ból, rozpacz, skarga, potem tęsknota, smutek cichy, a wreszcie wielka, niebiańska rezygnacja. Gdy ją wspomnę teraz, to zawsze taką, jaką była przez tę chwilę małą; nikt jej nie znał, kto jej wtedy nie widział, więc też nikt tyle z nią nie stracił, ile ja.

— Proszę, zamknij pan te drzwi — rzekła przerywając długie milczenie. — Czas mi wracać już do życia obecnego.

Wyszła przed kaplicę. Ksawery, zawarłszy ciężkie drzwi podziemia, zastał ją siedzącą na kamiennych stopniach i zajął obok niej miejsce.

— Przepraszam panią za natrętność, lecz wyjeżdżam jutro — zaczął nieśmiało. — Obeszłaby się pani bez mego pożegnania, zapewne to pani myśli? lecz nie o pożegnanie tu chodzi, choć może nie zobaczę już pani nigdy w życiu. Znalazłem tu oto, w starym pamiętniku ciotki, słów kilka; niech pani raczy je odczytać.

Przysunął się ku niej, otworzył książeczkę i wskazał ostatnią stronicę.

Bezwiednie pochyliła się nad nią. Złote jej włosy dotykały czoła młodego człowieka; poczuł żar krwi na twarzy i wstał gwałtownie.

Czyżem ja zwierzę, pomyślał odstępując kroków parę. Jania podniosła oczy ku niebu i zamknęła notatnik.

— A zatem nie ma już teraz tajemnic między nami — rzekła uśmiechając się lekko.

— O, przeciwnie, pani. Tylko że teraz słowa niektóre ciotki dają mi pewne prawo spytać panią o coś, czego przedtem nie śmiałem. Czy pani kocha swego narzeczonego i kuzyna?

Spojrzała nań bardzo poważnie.

— Jest to kwestia trochę zawiła, ponieważ każdy miłość inaczej pojmuje. Nie jest ona też bynajmniej jedyną pobudką mego postanowienia. Idę za mąż za Stacha, bo mi potrzeba pomocy, zwłaszcza teraz, gdy matka wciąż słabsza i wymaga ciągłej opieki; winnam mu wynagrodzenie też za żarty i drwiny, i drażnienie się bezlitosne. On utrzymuje, że moja ręka ma go uszczęśliwić; tego mi życzy ciotka Helena, niech i tak będzie. Zresztą, panie Bobrowski, kwestia, którą roztrząsamy, to czas przeszły dokonany i takim powinien pozostać i pozostanie.

— Dziękuję pani za stanowczą odpowiedź. Mogę teraz ja prosić panią, abyś przypuściła, że za pozostanie nikt

ręczyć nie może i że w razie zmian, trosk, kłopotów i zawodów mnie masz pani na swe usługi z duszą i sercem, i pracą, i że stawię się wówczas, choćbyś mnie pani nie wzywała; bo takim było życzenie ciotki, więc mam prawo do tego. A teraz jeszcze ostatnia prośba. Jutro wyjeżdżam do Wysokiej Woli na długo lub na zawsze. Niech pani nie da upaść i rozwalić się samotni mojej ciotki. Myślałem... lecz mniejsza o moje myśli. Klucze są u pani Sobótkowej, a pani mi nie odmówi.

— Owszem, dziękuję.

Stali naprzeciw siebie i dziwnie trudno przychodziła obojgu ta chwila rozstania.

Ona czytała w jego duszy; on... ach, żeby on wiedział, co myślało dziewczę. Skądże miał wiedzieć? Rzuciła kości., cofnąć się nie mogła, więc po co zdradzać to, na co już nadziei nie było.

— Żegnam panią — szepnął wreszcie.

Podawała mu rączkę, usta jego dotknęły cienkich paluszków i nie było już ich przed kaplicą.

Jak automat odwiązał Bobrowski klacz od płotu i zniknął we mgle wieczoru.

I jemu zniknęło teraz wszystko. Dziś Jasieńce i nadzieja, jutro „Dworzyszcze” i poczciwe serca i twarze zapłakane. Znalazł się znowu sam z Wałkiem w pustym borze, co jak mur stanął między nim a Horyniem, zapatrzony apatycznie w ciemną leśną drożynę.

Biedny Jazon! Z Kolchidy nie zabrał ani złotego runa, ani cudnej królowny, tylko jednookiego podjezdka folwarcznego dla Walka, stary notatnik i portrecik Jani. Co powiedzą bracia greccy w osobie Filipa Prowicza na taki rezultat? Ta myśl nabawiała Ksawerego febrycznych dreszczy.

Podczas gdy pan frasobliwie milczał, Walek, rozpromieniony jak słońce, opisywał kwiecistym stylem rozkosze czekające na nich w Wysokiej Woli; prawil to Orestowi, Brawurze, sosnom, dzięciołom, bo pan ani słucał, ani slyszal. Spozrzegl wreszcie Walek zbytek monologu; zamilkł na chwile, poprawil sie na siodle, huknal, podrzucil czapke w gore i zaspiewal najniespodziewaniej z calych pluc ojczysta swa piosenke swadzby:

*Psyjechało dwóch na jednym koniu,
Pytali się o dziewczynę w domu:
Nie widzieliście jej to ta w polu?
Obierała konopie z kąkolu —
Z ką–ko–lu, hu, ha!*

I dalej poszly dnie, tygodnie, i zycie plynelo cicho, monotonnie, bez zmian nadzwyczajnych.

„Dworzyszcze” zapadlo w swój ruch zegarowy, przerwany na chwile pobytom dziedzica; Jan dogladal orki jesiennej, pani Sobótkowa gderala na sluzbe i zbierala skrzętnie plony ogrodowe, Stefan tylko coś niedomagal na zdrowiu. Smutny byl, milczacy, niekiedy goraczka wyzierała mu z oczu, lecz sie nie skarzył na nic. Matka poila go jakimiś odwarami, ojciec raz nawet przywiózł cyrulika na leśniczówkę i kazal chłopcu puścić krew na wszelki wypadek, i na tym sie skonczyło.

Gorzej sie dzialo za rzeka, w Jasiencach.

Staruszka dogorywala jak kaganek bez oleju. Choroba ja zdenerwowala ostatecznie. Zgryzliwa, stekajaca, z ta okropna obawa smierci, wlasciwa starym ludziom, zadręczala i zamęczala dom caly, a Janie nade wszystko.

Dzieweczka z czuwania, troski i znużenia wyglądała jak cień przejrzysty; dnie i noce schodziły jej w pokoju chorej, podzielone na godziny dawania lekarstwa, karmienia i usypiania.

Gdy się wreszcie udało uspokoić obawy staruszki, że sen to śmierć może, i gdy zdrzemnęła na chwilę, Jania wychodziła załatwić kobiece gospodarstwo i zobaczyć narzeczonego.

Znajdowała go zwykle zmordowanego całodzienną robotą w polu lub zajętego rachunkami. Spieszył do domu, nie znajdując w swej zmęczonej głowie treści i ochoty do gawędy z Janią nawet. Ach, co by dał Bobrowski za te wieczory sam na sam. Podjąłby się pracy dwa razy cięższej, byle tam być naprzeciw uroczej dziewczynki i słyszeć jej głos.

Nie zabrakłoby mu tematu.

Wardzyński nie miał daru zajęcia Jani. Gdy nie mówiono o roli, psach, koniach i polityce, milczał i ziewał, a Jania o tym nigdy nie mówiła.

Toteż rozmowa ich ograniczała się do uwag codziennego życia i konieczności, Zaręczyny, zamiast ich zbliżyć, wywarły na wskroś przeciwny skutek, aż chwilami Janie zdejmował strach, czy wytrzyma życie całe z tym Stachem, którego wszakże lubiła kiedyś, niedawno nawet. Co się stało, że teraz patrzeć na niego nie mogła? Wszakże on się nie zmienił wcale. A może ona?...

Pewnego dnia, na późnej jesieni, czując, że sama może zachorować z braku ruchu i świeżego powietrza, kazała osiedlać Śnieżka i wyjechała za wrota. O matkę była spokojna, mogła użyć przejażdżki. Myśli jej niewesołe zalegały główkę, mroczne, posępne, szare jak zbite tumany chmur na widnokregu zwiastujące śnieg i zimę.

Chłodno było. Otuliła się czarną, miękką burką i ruszyła na chybił trafił, gdzie ją oczy i koń poniosą.

I oczy, i koń, jakby przecuciem wiedzione, poszły za myślą, to jest aż na przeciwległy brzeg Horynia, do cichego dworu, pod ganek pokryty czerwonymi liśćmi dzikiego wina.

Zeskoczyła na ziemię, pozwalając Śnieżkowi orientować się własnym sprytem po znajomych dziedzińcach, i weszła do domu. Pusto było. Jan odbywał rewizję stogów po ługach Stefan rzadko teraz przychodził, tłumacząc się możliwą kradzieżą drzewa, ledwie odnalazła Jania panią Sobótkową w grodzie, zajętą ścinaniem okazałych kapuścianych głów. Przywitały się ze łzami — jedna drugiej przypominała tak żywo pannę Helenę.

— Panienska zmarła, niebożę, trzeba się ogrzać; ja herbaty zrobię, może wina? — troskała się pocziwa kobieta drepcąc po swej izbie, gdzie płonął potężny ogień na kominie.

— Nie zimno mi, pani Stefanio. Przyjechałam pobłąkać się trochę po starych, drogich kątach. Nie troszczcie się o mnie; wszakżem ja kiedyś była tu domowa.

— Jak Pan Bóg pozwoli, to jeszcze wrócą te czasy — przerwała pani Stefania obejmując postać Jani wzrokiem iście macierzyńskim i uśmiechając się filuternie. — Oto klucze od mieszkania; pan mi je oddał, żeby wręczyć panience, bo mówił, że może już nigdy nie przyjedzie. At, słowo mu się wyrwało tak z żalu; oj, bo był rozżalony mocno, ale na nikogo z nas tutejszych. Biedny pan, niechby choć na święta przyjechał; on sierota, jak palec sam na świecie; nie godzi się mu krzywdy robić, to nieładnie. A taki był smutny, jak odjeżdżał, że aż mnie starą serce bolało.

— Nikt go nie skrzywdził, pani Stefanio — rzekła smutno, patrząc zamyślona w ogień. — Do nikogo pretensji mieć nie powinniście.

— Co wiem, to wiem — mruknęła stara — ale mi strasznie żal nieboraka. To taki dobry człowiek, że wart złotej doli i nie lada jakiej miłości. Ach, otóż i śnieg, Chryste! a moja kapusta nie zwieziona.

Wytoczyła się za drzwi zostawiając Janie samą.

Mogła dumać snując się po pustych pokojach, gdzie co krok spotykało ją wspomnienie opiekunki. Ogarnęło ją jakieś nieznane, nieokreślone usposobienie.

U natur tak trzeźwych, poważnych i krytycznych serce i uczucie rozkwita rzadko jak kwiat agawy, a gdy się zbudzi, to ogarnia całą istotę smutkiem, tęsknotą, wiarą w ukochanego człowieka, pragnieniem wzajemności i zrozumienia.

Naturę taką w tej chwili można zjednać na życie całe jednym spojrzeniem, lecz także można zabić i stracić na wieki jednym szorstkim słowem, jednym niedelikatnym postępkem...

Wracała do domu o zmroku. Śnieg padał wielkimi płatami, zaciemniając do reszty widnokrąg; ostry wiatr wył ponuro, biały tuman tworzył się nad okolicą i nad listopadowym, posepnym wieczorem. Biały konik szedł stępo aż pod bramę dworu, gdy wtem Jania ściągnęła cugle i zatrzymała się przy ostrokole. Tuż za płotem na dziedzińcu słyszała jakiś szept. Pewnie kartofle kradną, pomyślała, gdyż kopce były nie opodał.

Zajrzała przez szczelinę w palach. Za ścianą długiej szopy zwróconej frontem do drogi dobrze jej znany białonogi pana Stanisława pobrzakiwał wędzidłem. Obok niego dwie osoby, przytulone do siebie w uścisku, stały

rozmawiając z cicha.

Jania wzdrygnęła się. Ręce jej opadły, usta zacięła nerwowo. Cały gmach marzeń, budowany przez drogę, runął jak domek karciany. Brutalna dłoń zerwała osłonę z życia. Tęsknota, uczucie, pragnienie, sny, poezja, szacunek ulatywały, zda się, od niej jak te zimowe, białe motylki, które wiatr porywał, targał, miotał, aż wreszcie ciskał na ziemię, gdzie nazajutrz będą błotem.

Ta myśl uprzytomniła Janie.

— Błoto! — szepnęła spoza zaciśniętych zębów z bezmierną, wzgardą i obrzydzeniem.

W tejże chwili czuła para pod ścianą skończyła swe pożegnanie. Pan Stanisław siadł na konia.

— Przyjdiesz tu jutro? — spytał głośniej.

— Przyjdem, paniczu — odparł głos Mazurki Marii.

— Korale możesz włożyć. Panienska, zajęta starą panią, niczego się nie domysli ani zrozumie. Gdyby cię kto spytał o nie, powiedz, że ci je Stefan dał — dodał śmiejąc się rubasznie z konceptu.

Każde słowo dochodziło wyraźnie uszu Jani, a jej się zdawało, że to zmora. Byłże to ten Stach nierozgarnięty a poczciwy, który jej przez lat cztery miłość przysięgał? Byłaż to ona, co się zgodziła zaprzysiąc mu wiarę i miłość do grobowej deski? ona? jemu?

Jeździec przeleciał obok niej, nie dostrzegłszy ośnieżonej, nieruchomej postaci pod bramą i gwizdząc jakąś karczemną piosenkę pognał przez pola do domu. Droga zesza nad rzekę samą, znaczna w tumanie po czarnych krzakach łozy, co ją obrzeżały z obu stron. Mijał je szybko, gdy nagle jeden krzak się zaruszał, błysło, rozległ się wystrzał zagłuszony wyciem wiatru, potem krótki krzyk i parskanie uciekającego konia bez jeźdźca.

Na szerokiej, śnieżnej równinie pozostał człowiek wyciągnięty bezwładnie, omdlały, broczący krwią i cień zabójcy niknący w tumanie nad rzeką...

Śnieg zasypał ślady uciekającego, nad leżącym czerniała głucha noc i pustka...

— Słuchaj no, żono, nie płacz, nie trap się, wszystko da się urządzić. Widzisz, nikt nie posądza Stefana. Na dwa dni przed wypadkiem był chory, każdy z naszych fernali to zaręczy, co tego dnia właśnie jeździli po drwa do lasu. Teraz ledwieśmy go uratowali od gorączki; komu do głowy przyjdzie, że to on strzelał? Pan Stanisław nie głupi przyznać się, jak się zdarzyło, kiedy nawet policji zabronił śledztwa, mówiąc, że się sam postrzelił przez nieuwagę. Złego tak bardzo nic się nie stało; wyliże się z rany, a że nasza panienka zabroniła mu przestąpić progu w Jasieńcach, to chyba z tego smucić się nie warto.

— Ależ Stefan nasz! Straszno patrzeć na niego.

— I ten się wyliże za pomocą Bożą, byle go stąd wyprowadzić na jakiś czas.

— Ale gdzie?

— Alboż nie mamy pana na Litwie? Miałem sam jechać do niego z pieniędzmi za zboże i kartofle i z raportem, to i nie pojedę, tylko list napiszę detaliczny o wszystkim, co zaszło, i Stefana z nim pošlę, niech mu tam nagada po swojemu i da roboty po uszy, a sam niech się śpieszy, bo coś mi się widzi, że tak nie powinno być. Ja, co prawda, daję sobie radę na dwa majątki, ale niech mi pan te Jasieńce zdejmie z głowy, to lżej będzie, a tu lada dzień stara pani skończy zapewne, to wtedy nie podołam sam jeden z tobą. Zobacysz, pan zaraz przyjdzie i wszystko dobrze będzie. Daj, no, serce, nowe pióro gęsie.

Po tej zapewne najdłuższej w życiu przemowie Jan Sobótko uroczyście nadział parę okularów, poprawił świecę i zabrał się do mozolnej piśmiennej pracy.

Kilka tygodni upłynęło od zamachu na Wardzyńskiego. Nazajutrz po tej strasznej nocy znaleziono Stefana w chacie bez przytomności. Odwieziono go do domu; długi czas leżał w malignie, lecz młodość przemogła chorobę wbrew wszelkim obawom.

Zwłókł się na ławę pod piec i siadywał teraz na niej po dniach całych na wpół martwy, obojętny na wszystko, milczący jak mogiła.

Zapytany, mierzył natręta wzrokiem szklanym, osłupiałym, idiotycznym prawie; pytania nie rozumiał, odpowiedzi znaleźć nie mógł i zapadał w zwykły stan półsnu czy odrętwienia.

Cóż dziwnego! Motor działa i człowiek żyje, dopóty trwa harmonia. Jeden popsuty tryb rozrywa maszynę w sztuki, jedna grubsza szruba sprawia zgrzyt i ruch nieregularny, jedna z władz duszy, której pozwolimy wybujać i zagłuszyć inne, pod której władzę oddamy inne, jej równe, jest ową szrubą, co zgrzyta, trybem, co rozrywa wreszcie.

Stefan dał tak rozszać się sercu w najnierozsądniejszej, najmniej pewnej z potęg duchowych. Zagłuszyła ona rozum, rozsądek, wolę, nawet jasność poglądów i praktyczną rzeczywistość.

Biedny utopista! Myślał, że znalazł perłę i wziął ją sobie, i tak kochał! Wydźwignął ją z nędzy i poniewierki, szanował, czcił, kształcił, znosił dla niej gniew rodzicielski i dałby swą krew wszystką z ochotą. Aż przyszło ocknienie straszne, druzgocące!

Pańskie korale, słodkie słówka, wielkie obietnice do

reszty popsuły lekkomyślną dziewczynę. Obyczaje, wśród których wzrosła, nauczyły ją wszystkiego. Wstyd, cześć, delikatność były to wyrazy i pojęcia niedostępne dla grubej natury.

Nie była to perła, lecz pospolity, podły krzemień drożny...

Ludzkie plotki, stwierdzone własnoocznie, odkryły leśniczemu tajemnicę. Rozpacz jest złym doradcą. Posłuchał jej, wziął broń nabitą i na wpół przytomny poszedł w łoży nadržeczne. Dalej nic nie pamiętał. Był to ostatni objaw życia i energii, ostatni sinawy błysk tej lampy czarodziejskiej zwanej miłością, ostatni kurcz serca.

U wielkich typowych natur po takiej chwili pozostaje w duszy bryła skamieniała, skrzepła, zastygła. Oby Stefan nie był typową naturą! Taka natura to człowiek, co się po burzy nie uśmiecha na widok cudzego szczęścia, to człowiek niezdolny do słodkich uczuć, zachwyków i radości, co mija obojętnie naj—pysniejsze obrazy, którego balsamiczna noc letnia nie upoi, a na ustach nie znajdzie się nigdy piosenka lub żart. Często, po latach, miejscem spoczynku staje się mu ława karczemna, pustkę swą i chłód zapełnia i ogrzewa alkoholem, a wówczas śmiech jego ma dźwięki wesołości błazna z *Marii Stuart* Schillera, zakrwawia nam duszę mimo woli. Może Bóg strzegł Stefana od podobnego rozbicia.

Chłopak nie wiedział, czego ojciec chce od niego, gdy zawołano go tegoż wieczora; oczekiwał może sceny wyrzutów i łajania, może wydalenia z domu, kto wie? Twarz ojca wyrażała głębokie zamyślenie nad z dawną zarzuconą kaligrafią; matka, zwiesiwszy stroskaną głowę, machinalnie łuskała fasolę. Pryskanie pióra, szelest suchych strąków i skwierczenie łożówki, a wśród tego od

czasu do czasu stłumione westchnienie pani Sobótkowej,— były to jedyne objawy życia w izbie.

Nagle matka podniosła głowę. Żal nad dzieckiem wezbrał jej w sercu i rozlał na twarzy wyrazem, którego pewnie nikt jeszcze na niej nie widział. Popatrzyła chwilę na syna—jedyńaka, łzy jej rzuciły się do oczu.

— Stefanku, chodź tu bliżej, do mnie! — wyjąkała z trudnością.

Chłopak postąpił krok, spojrział na matkę i, bezwiednie może, osunął się na ziemię kładąc swą zboląłą, gorącą głowę na jej kolanach.

I dalej skwierczała łożówka, tak jak przedtem, tylko szelest strąków ustał, westchnienia przeszły w cichy szept, spowiedzi czy pociechy, a pióro, o nieba! pióro pryskało coraz bardziej. Jan zapomniał już i ortografii, i sensu; tarł oczy, bo mu wciąż mgłą zachodziły; plątał coś bezładnie, powtarzał, przekreślał, ale wybrnąć z tego chaosu liter nie mógł w żaden sposób.

Wtem ruch jakiś zrobił się na dziedzińcu; rozmawiano żywo, zgrzytały sanie, wreszcie rozwarło drzwi do izby. Wszedł ośnieżony, zmarzły kozaczek jasioniecki.

Jan wstał żywo, matka i syn nawet podnieśli głowy.

— Co słyhać, Sawka? — zawołał ekonom.

— Żle! Stara pani umarła po południu — odparł sługa markotnie. — Panienska prosi, coby pani zaraz przyjechała. Sanki czekają.

— Zaraz będziemy oboje. Stefan, ubieraj się, żywo! Bierz najlepszą parę koni, ruszaj do pana. Prędzej, prędzej, niech przyjeżdża! Oto list, coś nie bardzo jasny, ale to nic; jedź, on już zrozumie.

I Sobótko rzucił się na wsze strony, ubierał siebie, syna, żonę, wołał na ludzi.

Ksawery nie poznałby w nim cichego człowieka, co mu bramę otwierał.

Po godzinie było pusto w „Dworzyszczu”... Zawieja szalała straszna pewnego wieczora, tłukąc śniegiem o okiennice starego domku w Jasięcach. W ciepłym małym pokoju oboje Sobotkowie gwarzyli z cicha, nasłuchując.

— Strzeż ich Najświętsza Panienko, jeżeli są gdzie w drodze! — mówiła pani Stefania przerywając na chwilę ruch kołowrotka. — Już tydzień jak Stefan pojechał; pan pewnie zważać nie będzie na zadymkę. Uchowaj Boże wypadku!

— Drogi ani śladu, do bramy trafić nie można — mruknął Jan zapalając fajkę. — A co panienka porabia?

— Płacze, niebożę. Żebyż to już pana doczekać, bo jej nikt z nas nie utuli i nie pocieszy.

Jak by na odpowiedź temu życzeniu drzwi od podwórza szarpnięto gwałtownie; dały się słyszeć kroki.

Jan rzucił o ziemię ukochaną fajkę, pani Stefania porwała świecę ze stołu, oboje wyjrzeli do sieni. Dwóch ludzi tam stało podobnych niesłychanie do śnieżnych bałwanów.

— Pan! Stefan! — zawołała z wybuchem szczęścia poczciwa
klucznica.

— My właśnie! — odparł głos Bobrowskiego. — Panienka zdrowa?

— Będzie zdrowa i szczęśliwa, kiedy pan tu.

— Dałby to Bóg, żeby tego tylko było potrzeba.

— Gdzie konie, Stefanie? — pytał praktyczny Jan.

— A nie ma — odparł lakonicznie zapytany.

— Jak to nie ma?

— Dwa zdechły w drodze — wyliczał leśniczy, bardzo

filozoficznie przyjmując ten fakt — dwa zostawiliśmy w jakiejś zaspie. Pewnie też z nich nic nie będzie. My już od trzech godzin bładzim piechotą. Chybaś się modliła, matko, żeśmy nie zginęli.

Chłopak ucałował jej rękę.

— Odwiozłem wam Stefana — wtrącił Bobrowski witając się też serdecznie — on wszakże poczciwy człowiek i wie co to ból. Więc mi obiecał, że wam go nie zrobi. Kochajcie go tylko.

— Ale konie, proszę pana — wtrącił Jan nieśmiało, pomimo to ocierając oczy rękawem.

— Zrobiły, co mogły. Warte korony męczeńskiej i nagrobka. Oznajmijcie panience, że jestem, i pytajcie, czy mnie przyjąć zechce? — zwrócił się do pani Stefanii.

— Niech pan się sam spyta — odparła uśmiechając się radośnie. — Albo to pan nie zna drogi do salonu? Ja muszę kolację przygotować.

Gdy Ksawery zamykał drzwi za sobą, usłyszał, jak Sobótko powtarzał frasobliwie:

— Ale te konie! Ja tak i wezmę parobków i pójdę ich szukać.

Szczególna ochota, pomyślał wchodząc cichutko do salonu.

Parę dogasających głowni na kominie stanowiło całe oświetlenie. Przy tym słabym blasku stęsknione jego oczy dostrzegły złotą główkę Jani wspartą o poręcz fotelu, wpatrzoną smutnie w ogień. Myślała o pannie Helenie, o matce, o ojcu, o wszystkich tych, co spali w kapliczce wśród pola tak twardo i ciężko, że ich nawet łzy sieroty nie obudzą i żal nie wzruszy, i prośba nie przywoła.

— Dobry wieczór! — ozwał się głęboki, łagodny głos tuż za nią.

Był więc ktoś, co się jej sieroctwa uzał.

Obejrzała się. Spotkała znane sobie ciemne, poważne wejrzenie, dziwnie rozpromienione i jasne. Wyciągnęła do niego rękę. Pochylony, podniósł ją do ust w milczeniu, a następnie zatrzymał, chwilę w dłoni.

— Przyjechałem dowiedzieć się, czym pani nie potrzebny teraz? — rzekł poważnie.

— Tydzień temu matka umarła — szepnęła.

— Wiem, pani, i wiem, jak to boli, bo i ja sierota.

Postąpił krok do komina, poprawił ogień, aż strzelił płomieniem w górę oświetlając jego profil poważny. Usiadł obok niej i oparłszy głowę na rękę milczał długo.

— Burza okropna — zaczął, a głos mu drżał nie wiadomo dlaczego — myślałem chwilami, że znajdę śmierć w jakiejś zaspie i że umrę nie zobaczywszy już więcej pani.

Wzdrygnęła się na te słowa.

— Dziękuję panu — rzekła cicho.

— Za co, pani? Szedłbym tak przez lądy i morza i umierałbym sto razy bez żalu. Pani mi duszę zabrała; przyszedłem spytać, co pani z nią zrobi? Po co to pytanie? Wiem wszakże, iż choćbyś ją pani odrzuciła od siebie lub obróciła na zabawkę, już ja jej nieodzyszczę nigdy i nie chcę.

Patrzył na nią i upajał się czarem ślicznej postaci; los jego zależał od jednego słowa. Milczała jednak, tylko dwie wielkie łzy stoczyły się powoli po mizernych policzkach — była to odpowiedź.

Bezwiednie osunął się do jej nóg, obie zimne rączki tulił do ust, oczy rozjaśnione, pełne miłości i prośby, wznosił ku niej.

— Co zrobisz z duszą moją, Janiu? — powtórzył cicho.

Spojrzała na niego przez łzy.

— Zachowam ją dla siebie, w sercu — szepnęła. Powoli złotą swą główkę złożyła, jakby zmęczoną, na jego piersi i płakała cichutko, słuchając z wół przymkniętymi powiekami tego, co jej szeptał, podczas gdy jego usta dotykały w delikatnej pieśczocie jej włosów, skroni i powiek gorących. Uspokajała się pod wrażeniem uczucia, z przeświadczeniem głębokim, że ta pierś męska, podnosząca się gwałtownie, będzie dla niej puklerzem bezpiecznym na życie całe. Podniosła główkę nagle.

— Wszak pozostaniesz już na zawsze? — spytała.

— Tak, skarbie mój złoty! pozostanę twoim do śmierci i życie dam, by cię uszczęśliwić...

— Cóż mamy więcej do powiedzenia?

Chwil szczęścia, światła, spokoju tak mało jest w życiu i tak są krótkotrwałe. Niech więc z tą jedną świetlaną chwilą skończy się nasza opowieść. Niech nam tak pozostaną w myśli...

Może potem przyjdą burze, szrony, co połamią dusze lub pomrożą serca... Teraz w tym ciemnym salonie żyje dwoje istot szczęśliwych, a ponad nimi może czuwa duch starej ciotki, patrząc z tęskną radością na tę parę przytuloną do siebie w tkliwej pieśczocie; może ręce widziadła kładą się w błogosławieństwie na tych dwóch głowach, wzywając dla nich pokoju i słońca...

I zadowolona wróci tam, ponad światy, daleko, daleko, poza kapliczkę wśród pola, gdzie prochom jej wicher śpiewa głucho... Do ziemi już jej nic nie wiąże, dziecko jej znalazło cel, miłość i opiekę — spuścizna po niej uszczęśliwiła człowieka.

PIERWSZA KULA

Dzień był szary, brudny, mętny, jak może być tylko piąty listopada na chłodnej Litwie. Niebo siwobure, gęste, bez śladu słońca rzucało z siebie w jesiennym darze drobny, przenikający deszczyk, wśród którego gdzieś tam mieszczą się gwiazdeczka śniegu.

Od dani tej ulice powiatowej miłośnicy poleskiej zmieniały się w otchłanie błota i swędu, a ludzie wyglądali zbiedzeni, posepni, jakby z nieba nie szedł deszcz i chłód, lecz mizantropia*.

Pod soborem, co wśród płaszczyzny błot, bagien i rzek świecił, na mil kilka widzialny, zielonymi kopułami, stał i głośno zawodził tłum kobiet wieśniaczek, mieszczanek i dzieci drobnych.

Z soboru, otwartego wyjątkowo w dzień powszedni i w porze popołudniowej, dobywał się szum i śpiewy; przedsiónek zapełniała policja miejska i wiejska, a za nią w głębi świątyni widać było tłum szary, zbity, milczący, zgnębiony, zda się, wielką uroczystością.

Nareszcie głuchy szmer ucichł, kobiety rzuciły się na przeciw drzwi, zabiegając drogę wychodzącym.

Wysypali się na plac przed sobór. Była to sama młodzież rosta, zdrowa, bezwasa jeszcze, i zaszumiała tysiącem głosów.

— Rekruty z przysięgi! — zaszwarzali Żydzi, zamykając spieszenie kramiki przed swawolą i gwałtem tej gromady podpitej, żadnej hulanki i choć chwilowego szału

* mizantropia — stronięcie od ludzi, niechęć do obcowania z ludźmi

przed pułkową subordynacją.

Policja ukończyła swe czynności i zostawiła im swobodę działania. Ponumerowani już byli, spisani, rozmieszczeni, złożyli przysięgę. Za kilka dni przywdzieją mundury i pójdą na miejsce przeznaczenia. Teraz niech się bawią!

Czuli oni tę swobodę, bo co chwila od tłumu oddzielały się gromadki i szły roztrącając przechodniów, zuchwałe, wyzywające, ze śpiewką na ustach, szukając awantury, napitku, choćby garści tytoniu.

Gdziegdzie odzywały się już tony ręcznych harmonijek i co chwila wśród błota więcej rozochoceni zaczynali szalonego kozaka.

Kobiety ciągnęły za nimi trochę z żalu i przywiązania, trochę w nadziei poczęstunku.

Jednym z ostatnich ruszył Marek Niczyporczyk, ale zamiast ku miastu, zawrócił do przystani rzecznej, co u stóp monasteru rozścielała się brudną płachtą błota przesiąkniętego wyziewami ryb, zgniłego siana i rogoży.

Za rekrutem nikt nie szedł; odłączył się od reszty i włókł się ociężale jak człowiek, który do nikogo i niczego nie śpieszył.

Na tle jesiennym wyglądał jak plama. Świtę miał szarawobu—rą, burą czapkę z podartym dnem i kawałkiem baranka, bure włosy i bure też oczy, bardzo wpadłe pod łukiem ciemnych brwi. Znać było na nim wymizerowanie ciężkie, zapewne rozmyślne, w celu otrzymania ulgi i uwolnienia, choćby zwłoki jednorocznej.

Nic nie pomogło. Wzrost miał herkulesowy, arszynowe piersi i plecy, ramiona centaury; wykarmiła go, wypieściła sobie na chlubę natura wioskowa pełna karmiących podmuchów i balsamicznych nektarów.

Od chwili gdy w izbie poborowej posłyszał wyrok:

„godny” — „przyjęty”, chłop zesmutniał, zmałał, zesechł i szerniał, i choć nikt wyroku tego nie przyjął żalem i łzami, jego chwytął za piersi strach i nuda!

Na twarzy jego, tak ciemnej jak ta ziemia, nad którą spędził młodość, nie było żadnego gwałtownego wyrazu, tylko martwota przykra i powaga łagodna.

Nie zaczepił nikogo ani pić szedł, a pozór miał tak uczciwy, że gdy przystanął przed sklepikiem u przewozu, Żydówka bez trwogi spytała, czego mu potrzeba.

Wziął tytuniu paczkę i odwinąwszy połę sukmany i kozuch pod nią, dobył szmatkę płócienną, w której rogu zawiązanych było kilka miedziaków.

Zapłacił bez targu i łajania należność, i wahająco spojrzął po wewnątrz kramiku.

Żydówka, coraz pewniejsza uczciwych zamiarów kundmana, rzuciła mu przed oczy wstążek garść.

— Kupcie, nowobraniec, dla swojej dziewczyny! Po cztery grosze łokieć, taki pański gatunek!...

Chłop głową przecząco pokręcił. Wydostał z zanadru fajkę, napelnił, zapalił i zabierał się do odejścia.

Spod oka spojrzął na wstążki, pomyślał, najczerwieńszą wziął w palce i, niepewny, to ją oglądał, to szmatkę z miedziakami.

Nareszcie czworaka położył na desce, obejrzał się, czy go kto nie śledzi, i szybko schował swe kupno za świtę i koszulę na piersi.

Deszcz ściekał mu z długich włosów, szklili się na szorstkiej odzieży, błoto skorupą oblepiło lipowe postoly. Wieczór się zbliżał, w mieście poczynał wzbierać i huczeć gwar rozbawionej młodzieży.

Nasz chłop popatrzył w stronę szynku, ale pożałował

reszty miedziaków i brnąc w szlamie i wilgoci, zeszedł do czółen długim rzędem stojących u brzegu. Większość była pusta, w jednym siedział stary kołtunowaty właściciel zajadając czarny chleb i głowę solonego śledzia. Marek przystanął.

— Czy wy zaraz do domu? — zagadnął.

— Zaraz.

— Zabierzecie mnie?

— Siadaj.

Rekrut wszedł po kolana w wodę, stamtąd w czółno, usiadł w końcu i wziął do rąk wiosło; stary otarł dłonie o kozuch, przeżegnał się i począł spychać łódkę na wodę. Przedtem jeszcze napił się z rzeki brudnej wody i otarł hałaśliwie nos. Ruszyli.

Czółenko wbiegło na wodę i skakało jak żywe; parła je fala smagana wichrem jesiennym; sunęło jak kaczka wzdłuż brzegu.

Naprzeciw sterczały szczątki dawnej grobli porosłej wierzbami, wśród drzew czerniało mnóstwo wielkich krzyżów. Mijając je Marek odkrył głowę i trzy razy się przeżegnał. Potem zaczął znowu wiosłować; grobla została w tyle; minęli przystań; wkoło nich rozeszła się dziczyna tataraków i szuwarów, i ponury wieczór listopadowy. Miasto zacierało się we mgle jak fantasmagoria. Zapanowała cisza.

— Marek, daj ty tytoniu — zagaił stary gawędę.

Młody podał kupioną paczkę i milczał.

Po chwili dwa czerwone punkciki zaświeciły na łódce.

— A co? przyjęli cię?

— Przyjęli.

— Aaa! A kto z tobą był?

— Pawluk.

— To on teraz, jak ciebie nie stanie, w „prystupy” do twojej macochy pójdzie...

— Aha.

— Na twoją gospodarkę?

— A jakże. Pójdzie.

— Aaa! A ty dopuścisz?

— A cóż! Ja pójdę na służbę. Żebym nie poszedł, inna rzecz, a tak — wszystko przepadło.

— Toż wrócisz za cztery lata.

— Jest taki, co wraca, ale nie ja. Nie z moim szczęściem wracać. Pójdę... ta zginę!...

Fale pluskały i gwizdał wicher Na skargę młodego towarzysz nic nie odrzekł, tylko głową pokiwał.

— Toż gadali, że ulgę masz? — zaczął znowu.

— Gadali. Po znachorach ja jeździł i bab się radził; zaklinali się, że nie wezmą. Czort na nich! Dwa miesiące tytko śledzie jadłem i ziela pił paskudne; myślał co noc, że ze słabości zorzy nie zobaczę, i nic. Dola taka! Tak wychudłem, że wiatr z nóg walił, a kość o kość grzechotała — i nic. Ja stanąłem do miary, poczęli naczelnicy i doktory, jak Żyd na koszer, a potem jednym głosem krzyczyć: „Do gwardii! do gwardii!” Myślałem, że mnie choć numer uratuje: cztery setki i trzydzieści cztery; ale jak zaczęli odrzucać jedynaków i z ulgami, tak i dopędzili do mnie. Ostatniego wzięli. Dola taka!

— Aha, dola różna bywa. Jednego karmi, drugiego morzy!

— westchnął chłop. — Mnie wczoraj byk padł i wnuczka febra trzęsie. Ryb coraz mniej, chleb przyjdzie od kołęd kupować! Ach, ach, ach! Dola! Co tobie narzekać, parobku? Włókę pola masz i chatę, i towaru (bydła) głów ze dwadzieścia! Co tobie za bieda!

— Bieda, dziadku, bieda! Gorsza od tatarskiej moja dola! — zamruczał parobczak. — Ni ojca, ni matki, ni żonki! Ot, jak ta łożina, sama sterczy i wiatr ją chyboce na wsze strony, a ludzie to tylko patrzą, jak ją na łyka drzeć! Zdeptali mnie w chacie jak postoła, a teraz całkiem wyrzuca!

— Durny bo ty, durny, Marku, żeś się tak zahukać dał. Ja bym dał macosze i jej dzieciom, oj dał! Mlełby ja ich mlonem!

— Nieszczęśliwy zawsze u ludzi durny! Mleł ja mlonem, ale chleb, a nie dzieci i babę. Serca takiego nie mam!

— Za to i zginiesz!

— Tak i będzie. Na co ja komu?

Noc zapadła i deszcz się powiększył. Wiatr nim ciskał w oczy płynących.

Posuwali się teraz przeciw prądowi, więc wzięli się tężej do wiosł. Trzeba było znać wyśmienicie okolice, by nie zbłądzić w labiryncie kanałów, strug i zalewów. Umilkli więc, pilnie dając baczenie na brzegi. Za drogowskazy służyły ich kocim oczom majaczące we mgle stogi, fantastyczne wiatraki, rzadko kontur małej nadbrzeżnej wioseczki. Posuwali się z wolna, już nie sami teraz, bo ich doganiały inne łodzie, wracające z targu i poboru. Odzywały się nawoływania, powitania, okrzyki; potem przez mgłę przedarła się żartobliwa piosenka — zapewne uwolnionego parobczaka:

*Danyło, Danyło, weźże mą córeczkę,
Dam ci wiano: byczka, wieprzka,
jałoweczkę.*

Niech cię licho porwie razem z twą

córeczką

*I z byczkiem, i wieprzkiem, i z tą
jałoweczką.*

— Mikita wdowi krzyczy — ozwał się stary — zaraz wesele będzie wyprawiał.

Marek nic nie odrzekł, przyglądał się łódce malutkiej, tak zwanej *duszohubce*, co jak widmo przeszliżnęła się koło nich. Jeden człowiek w niej stał i wiosłował.

— Zdaję się, pański strażnik z naszego dworu? — spytał z cicha.

— A on sam, czarownik, żeby jego choroba? — zaburczał stary niechętnie. — Miotły i biczyska nie da wziąć, a silny w pięści! Aby się dotknął, kości trzeszcza. Czort jemu pomaga.

— Chleba pilnuje swego. Kto do lasu nie chodzi, tego nie zaczepi. Sprawiedliwy człowiek.

— Ty chodzisz do niego? Pilnuj się, żeby złego się nie nabrać. On zna nieczystą siłę. Tfu...

Chłop splunął i przeżegnał się, a parobczak nad czymś posepnie się zamyślił.

Znowu dogoniła ich łódka, a z niej przeciągły głos zaśpiewał chrapliwie:

*Oj ty, dziewczyno, czarowniczeńko,
Przy czarowałaś moje serdeńko,
Przy czarowałaś serce i duszę,
Teraz ja ciebie miłować muszę.*

— Upił się Wasyl Szewc, oj, oj, oj! — westchnął stary.
— Pewnie i moje czoboty w Pińsku zostawił.

Wasyl, choć pijany, posłyszał zdanie, wyjrzał z łódki.

— Aha, ty stara *jabiedo!* twoje buty nie warte i kieliszka. Ty sam pijany, ja trzeźwy, oho!

Nieswarliwy Marek widząc, że się zanosi na kłótnię, kilku silnymi uderzeniami wiosła wyprzedził szewca. Za nimi pogonił chrapliwy głos:

*Czoboty, czoboty, wy moje,
Narobiłyście kłopotu wy mnie.*

Znowu zostali sami w szarym tumanie mgły, deszczu i wyziewów wodnych.

— Ot i połowa! — zauważył stary spoglądając w prawo na ciemny kontur domostwa — zaraz przybijemy. Pogańska pora!

Parę razy uderzył rękoma o boki i znowu sterował.

Marek wsunął od dawna zgasłą fajkę do kieszeni i westchnął. Pomyślał, że za trzy dni odbędzie znowu tę wodną drogę może ostatni raz.

Powoli, zrazu mrucząc, potem coraz wyraźniej zaśpiewał żalospną nutą chłopskiej, swojskiej piosenki:

*Dolaż moja dola, czemuż ty nie taka,
Jak ta dola cudza? czemu ty nie
taka?*

Głos przedzierał się z trudnością przez kłęby wilgoci i ginął bez echa urywanym jękiem.

*Cudza dola, gdzie idzie, tam wszystko
skacze;*

*Moja dola, gdzie idzie, tam wszystko
płacze!*

Przed nimi, jak widziadło, wystąpiła nagle ciemna gromada chat i stodół przypartych do brzegu rzeki. Ujrzeni swą osadę tuż dopiero wtedy, gdy otarli się prawie o pierwszą ścianę. Cicho było i głucho, jak zwykle bywa na wsi poleskiej nocą i jesienią; w oknach błyszcząły nieruchome czerwone punkciki, żółtą ławicą piasku zbiegał ku wodzie wodopój trzody i przystań zarazem, wkoło ani żywego ducha nigdzie.

— Dzięki Bogu! — odsapnął stary wpychając łódkę na piasek i biorąc wiosło na ramię.

I Marek zrobił to samo. Ruszyli razem w ulicę.

Na wstępie stała karczma, chłop cmoknął.

— Warto by wstąpić i wypić kieliszek — zauważył. — Jutro szuchta (febra) opadnie. Nu, żołdat, postaw, sokołyku, czarkę staremu za fatygę, na rozstanie.

Marek głową skinął. Weszli. Żyd drzemał w kącie, rachując przez sen i kiwając się z nawyknięcia. Rozbudził się na brzęk monety i podał skwapliwie blaszaną miarkę wódki.

Zaczął się wypytywać o nowiny i ceny targowe, ale Marek nie był pochopny do gawędy.

Zapłacił, zapalił fajkę i wyszedł zostawiając starego w ożywionej dyskusji.

Zbliżywszy się do jednej z ostatnich chat, wszedł na podwórze, otworzył drewniany skobel u drzwi i przez czarne sionki trafił do izby nareszcie.

W izbie przy łuczywie kobieta przędła, spało pstrokate prosię i plótl postowały chłopak wyrostek: w głębi widać było kilkoro jeszcze dzieci na ziemi, nad miską pieczonych kartofli.

Na skrzyp drzwi podnieśli wszyscy oczy. Niepokój

zaświecił na twarzach, podnieśli się na rogi.

— Puścili cię? — zawołała tonem zawodu kobieta.

On chwilę nie odpowiadał i rozbierał się powoli z przemokniętej odzieży.

— Puścili! Jeszcze by! — odparł wreszcie. — Wasze znachory lepsze od moich. Czegoście się tak przełękli? Pójdę, pójdę!

Stał już w bieliźnie szarej i grubej, i zawijał pas swój wełniany, czerwony na koszuli, spod której rysowały się muskuły atlety i przeglądała pierś ciemna, ozdobiona krzyżykiem.

— To dlaczego wróciłeś? — spytała kobieta niechętnie.

Chłop milczał.

— A gdzie Pawluk? — dodała po chwili.

— Pawluk? Został się — odburknął.

— Dlaczego się został?

— Pierścienie białe kupuje dla was.

Kobieta gniewnie rzuciła ramionami i przedła dalej.

Chłop zajrzał do stępy i, jakby nigdy nic nie zaszło, wziął tłok drewniany i zaczął nim uderzać w takt, to podnosząc, to opuszczając ruchem automatycznym żyłaste swe ramiona.

Robotę przerwano mu wezwaniem do poboru, wrócił do niej machinalnie z nawyknięcia lat długich.

W chacie zapanowała posepna cisza, wszyscy spod brwi rzucali mu wilcze spojrzenia, ale mówić nie śmieli, a on, jakby ich nie widział, patrzył przed siebie w próżnię i rozmyślał.

Całe życie tak robił: pracował i rozmyślał, nad czym, nie wiadomo. Ludzie mówili, że na starość znachorem będzie, bo i ojciec jego „coś znał” co go nie obroniło przecie od nagłej śmierci na flisach pod Pińskiem, gdzie Marek

postawił na pamiątkę wysoki krzyż za własne trzy ruble.

Łuczywo smolne tłało nieregularnie; upłynęła może godzina, gdy nagle parobek roboty zaprzestał, otarł czoło z potu i wyszedł do komory świecąc sobie drzazgą.

Świąteczna odzież wisiała na ścianach; odział się w najnowszą swiętę, włożył buty, świeży pas, drzazgę nogą zdeptał i nie zachodząc do chaty wyszedł na ulicę.

Wokoło ciemność panowała nieprzebita, ale chłop znał wybornie drogę do starej, darniną okrytej kuzienki, co stała na końcu wsi, trochę opodal chat, za wrotami, na torfiastej łące. Szedł tam szukać rozwiązania swych rozmyślań.

Kowalicha Cyganka przyjęła go sama. Kowal o zmroku wyszedł nie wiadomo gdzie, zapewne kraść konie i przemycać wódkę, co mu się lepiej opłacało niż rzemiosło we wsi zarzecznej, gdzie ludziska żelazo uważają za zbytek i głupi wymysł niemiecki.

Toteż na miejscu kowalskiego ogniska wiedźma, krzywa lak —tara wierzba, skwarzyła wieczorny posiłek, a na wierzchu miecha drzemał rudy kot, jedyny dobytek małżonków

— Aha, a co? Wzięli cię: — zagrzechotała baba głosem tykwy suchej, napęlnionej grochem,

— Wzięli. Skąd wiecie?

— Oj, oj, sokołyku, ja wszystko wiem.

Przestała obracać garnek, pięścią podparła brodę i wlepiła w parobczaka kolące oczki zmii.

— Wszystko wiem — powtórzyła — wzięli ciebie, taj pójdziesz daleko, aż strach, jak daleko!

— Pójdę, jakbyś słyszała, do Ochocka; tyś była w Ochocku? Musi to wiele mil od nas.

— I mil tych się nie doliczysz! Boże! co mil, co mil! Zajdziesz tam, sokołyku, ale nie powrócisz. Dalibóg nie

powrócisz.

— A czemu nie wrócić? Chłopcy nasze wracają!

— Aha! inne wracają, ale nie ty. Oj, nie. Mógłbyś ty wrócić, ale musi nie wrócić.

— A jak mógłby? — badał chłop.

Gorączkowy niepokój ożywił jego martwe dotąd rysy, wydzierał, zda się, wyrazy z ust wróżbiarki.

— Taki, co wraca, synku, inaczej odchodzi niż ty. Łzami go pokropią od złych oczu, rękoma obejmą od choroby, zawodzić będą i wzdychać, aż Boga wzruszą, obudzą... Pan Bóg zajrzy w dół i każe* takiemu, co żołdatów strzeże: pilnuj, sługo, tego żołnierzyka, bo on musi na świecie potrzebny i dobry, że za nim tak mi dokuczają i proszą. A sługa Boży pójdzie za żołdacikiem krok w krok, z miejsca na miejsce i pod namiotem z nim spać będzie, i na wojnie go nie odstąpi. I taki wróci, sokołyku, choćby mu służyć kazali i czterdzieści lat, choćby i dziesięć wojen odbył w szeregu, sługa Boży odprowadzi go z powrotem aż do samej chaty. Dalibóg!

Chłop zamilkł opuściwszy głowę. Długie włosy opadły mu na twarz.

— A ja co? — spytał nareszcie.

— Na ciebie czeka pierwsza kula!...

— Pierwsza... kula... — powtórzył przeciągle — czemu?...

— Tak sądzono. Przypomnisz sobie moje słowo, sokołyku. Pierwsza kula leci i szuka pustej piersi, pustej duszy, pustego człowieka. Leci i szuka, leci i szuka. A jeden jej mówi: nie bierz brata, a drugi: zostaw męża, a trzeci: mam siostrę sierotę, a czwarty: oszczędź, kulo,

* k a ż e (z ros.) — powie.

mojej dziewczyny. A sługa Boży za każdym stoi i nie daje. Taj kula idzie, idzie i gra do śmierci, aż wynajdzie takiego, co milczy, i tego bije, bo on niczyj, tylko jej. Aha, jej rodzony! A ty czyj?

— Niczyj — potwierdził Marek spokojnie.

— Nu, to tak i będzie. Pamiętaj!...

— Ja tak sobie i myślałem, bo to i sprawiedliwe. Ale to musi ciężko boli umierać od kuli.

— Boli, sokołyku, boli!

Chłop usiadł na pniu, co służył za ławkę, zwiesił ręce i głowę, rozmyślał.

— To już mnie od tej pierwszej kuli nic nie uratuje? naprawdę nic?... To ona jak wilk, czeka na mnie?...

— Czeka, oj, oj, czeka.

— I między tysiącami chłopów mnie pozna i znajdzie?

— Znajdzie. Prosto jak jaskółka przyleci.

— I zabije?

— Zabije, że i „Boże” nie krzykniesz.

— Czemuż to „mnie koniecznie, kowalicho?... Toż na świecie różni ludzie są; za co ja najgorszy!...

— Kto gada, że ty najgorszy? Broń Boże! Gładki i obrotny, „gdzie rzucisz, to kozak...”

— Nu, to za cóż mnie taki nędzny koniec ma czekać?

— Boś ty niczyj! Masz ojca?

— Nie ma, babo.

— Ni matki?

— Nie ma. I nie pamiętam!...

— Ni brata, ni siostry?

— Byli, lecz pomarli.

— A dziewczyny?

Chłopak tylko ramionami ruszył przecząco.

— Nu, dlatego i zginiesz pierwszy.

W tej chwili kot zgłodniały żałośnie zajęczał.

Marek podskoczył z miejsca i mimo woli przeżegnał się parę razy.

— Dziękuję wam, Kowalicho, za proroctwo. Nie inaczej ja sam w sobie myślałem, alem pewności nie miał. Teraz prawdę całą wiem. Doloż moja! To po cóż mnie iść tak daleko, żeby marnie przepaść?

— Czuj, Marko, a chciałbyś ty wrócić?

— To i co, jak bym chciał, kiedy doła inna!

— Ja tobie radę dam.

— Żeby żywym ostać?

— Aha.

— Nu, gadajcie.

— Kiedy to nie gadanie, ale taki sekret, co drogo kosztuje — odparła tajemniczo.

— Ile? — badał Marek sięgając w zanadrze.

— Daj białego rubla.

Chłop cofnął rękę, zaprzeczył ruchem głowy.

— Nu, to bywaj zdrów!

— Dam papierek! Gadaj!

Papierek przeszedł w kościste szpony czarownicy.

— Nuże! — naglił rekrut.

Cyganka zniknęła na chwilę w czarnej jamie za kominem i wyniosła stamtąd garść jakiejś suszonej trawy, korzonków, wśród których białą kosteczką drobno ptaszka, czyli nietoperza.

Chłop ciekawie zajrzał w jej dłoń; zabrał czary skrzętnie w róg chustki i schował na piersi, a ona, pochylona, szeptała tajemniczo:

— Pilnuj, sokołyku, bo to ceny nie ma! Raz na sto lat takie ziele wyrasta, a korzenie spod góry sto lat trzeba kopać! Pilnuj, pilnuj, niebożę!

— To nosić trzeba od tej kuli? — spytał.

— Ej, nie! To trzeba dać takiemu, co by ciebie więcej kochał niż siebie! rozumiesz? Ty dasz i powiesz, żeby ciebie okurzyli trzy razy, a potem popiół w wodę rzucić i wypić. To z ciebie los się zdejmie, a na tamtego przejdzie. Jak chłopiec — to on za ciebie się powiesi; jak dziewczyna — to za ciebie się utopi; jak stara baba — to wilkiem będzie chodziła! Słyszysz! Wilkiem — i wyć będzie! A ty staniesz się czysty i szczęśliwy!

— Tfu! — splunął chłop czerwieniejąc. — Czy ty się blekotu objadła, wiedźmo! Gdzież ja znajdę takiego! Tfu! Toż ja ci mówił, że nikogo ja nie mam, a ty mi głowę zawracasz. Idź do diabła z tym zieleń i radą! oddaj mi rubla! Nie chcę takiego ratunku! Panie Boże! Duszę cudzą wezmę, żeby swoją ratować! Idź do czarta! Nie chcę!

Rzucił chustkę z czarami na ziemię i chwycił babę za ramię.

— Oddawaj rubla! — powtórzył groźniej.

— Marko, sokołyku! Nie gniewaj się! Posłuchaj! Macosze daj wypić!

Chłop zastanowił się sekundę, ale i to go nie skusiło.

— Nie chcę! Niechaj ją Bóg karze, nie ja! Oddawaj rubla, babo!

— Och, och, och! jaki ty sierzysty! Oddam, oddam! puśćcie mnie! Za kominem zatknęłam.

Marek zdjął z jej ramienia ciężką prawicę.

Jak kuna wślizgnęła się w jakąś szczelinę i znikła.

Parobczak czekał chwilę, zawołał raz i drugi, wreszcie ruszył za nią.

Na wstępie potknął się i upadł na jakiś ruchomy przedmiot Rozbił sobie nos i potłukł kolana. Wstał klnąc. Omackiem obejrzał przyczynę swego upadku: była to spora

baryłka roztaczająca wokoło siebie woń alkoholu.

Kradziona wódka! pomyślą!. Cyganka gotowa zawołać ludzi i wmówić, że to ja złodziej. Niech ją choroba ciśnie! W ścianie dziura — uciekła i przepadła wiedźma nie chrzczone! Tfu, rubla jej nikt nie odbierze! Oj, dureń ze mnie, dureń!

Zawrócił i już był we drzwiach, gdy się znowu rozmyślił.

Schylił się, podjął czary z ziemi, chciał potłuc garnek z jedzeniem, ale się powstrzymał.

— Jeszcze mi co za to uczyni! — zamruczał i wyszedł.

Na drodze stanął. Myśl jego, strapiona chwilowo utratą rubla i oszukaństwem wiedźmy, wróciła do głównej troski. Proroctwo pierwszej kuli głęboko wwierciło mu się w mózg.

— To czegoż iść tak daleko! Głodu zaznać i męki tyle, żeby śmierć znaleźć! Och, doloż moja! Niechaj ten idzie, kto wróci, a ja nie pójdę! Dalibóg nie pójdę! Tu się zostanę!

Zamiast do chaty poszedł dalej, pod bór.

Rozmotał pas i trzymając go w rękę przyspieszał kroku, szamocąc się z wichrem, co mu odchyłał poły sukmany, zabijał oddech, przejmował chłodem pierś odkrytą, rzucał w oczy tumany drobnego deszczu.

Chłop nie dbał o nic, z gorączkową determinacją dążył do celu.

Pod borem stało domostwo strażnika pod opieką czarnych jodeł i olszyny. Świeciło się w chacie.

Marek dostrzegł to, zatrzymał się, odetchnął głęboko.

Pomimo chłodu potem był zlany i tchu mu brakło. Wiatr odbijał się o gałęzie jodeł i był bezsilny.

Na głowę parobczaka otrząsały gałęzie strumienie wody,

to mu przypomniało cel wędrówki. Podniósł oczy i począł przypatrywać się jedlinie.

Nie odpowiadała jego zamiarom, bo odpocząwszy nieco, ruszył dalej.

Za domem w rogu ogrodzenia stał dąb stuletni, na pół już z liści odarty, resztki żółkłe i zczerniałe osypywały się ze smutnym szelestem.

Marek stanął, podskoczył, ręką uchwycił najniższą gałąź, po chwili siedział już na niej i motał pas swój czerwony. Zdawało się, że przyrządza huśtawkę.

Gdy już umocował, związał, odmierzył wysokość, odsapnął z zadowoleniem, ulokował się wygodnie na gałęzi i dobywszy kapciuch z tytoniem, jął sobie najspokojniej nabijać fajkę.

Potem skrzesał ognia, zapalił i, zaciągając się ulubionym dymem, na końcu pasa zasunął ściaganą pętlę. Spróbował, wsunął w nią głowę, jeszcze raz pociągnął tytoniu, potem z fajką w zębach, z szyją w pętli zsunął się na dół.

Żał mu było nie życia, ale tej garstki machorki, bo, wpół wisząc, utrzymywał się jeszcze na jednym ramieniu o kilka stóp nad ziemią i palił zawzięcie.

Palce jego, utrzymujące całe ciało, naprężyły się jak stalowe. Przed oczami miał podwórze domostwa, o krok od niego czerniał żuraw studni.

Drzwi chaty ktoś otworzył. Marek przestał palić, wyteżył wzrok i słuch, ale nic nie widział, tylko usłyszał szczekanie psa i kroki ludzkie.

— Strażnik czy ona?... — zamruczał. Ramię jego słabło i stygło w naprężeniu.

Bał się ruszyć, by nie zdradzić swej obecności. W tej chwili nie chciał umierać; zaciekawiały go te kroki.

— Ona! — szepnął po chwili mozolnego badania

ciemności. „Ona” bieląca coraz bliżej. Szła z wiadrem po wodę. Rekrut tamował oddech, znieruchomiał w swej okropnej pozycji, nie czuł mdlejącego ramienia.

Zuraw zaskrzypiał przeciągle. Niesilne były ręce, co się z nim mocowały; słychać było ciężkie stękanie, pręt z wiadrem umykał nie posłuszny.

Gadzina strażnik! dziecinę pędzać po wodę! pomyślał wisielec. Piersi zerwie, ręce pokręci! Żebym ja taką miał, oj żeby!...

Ramię odmówiło posłuszeństwa, ale zamiast opuścić się w próżnię, dźwignął się do góry i przykucnął na gałęzi. Zrobił się ruch i szelest, pies rzucił się w tę stronę, ujadając.

To dodało sił kobiecie. Dobyła wody nareszcie, ruszyła z powrotem. Marek westchnął.

Zuzuloż ty moja, zuzulo! Kto ciebie weźmie? kto ciebie dostanie? Żebyż ci dał Jezus panowanie dobre! Już ja ciebie nie zobaczę!...

Wtem nagle się opamiętał.

Czy mnie tu szatan przyniósł! Toż ona jutro ze strachu zasłabnie, jak mnie na drzewie zobaczy. Boże! jeszcze ludzie ogadają biedną... Tfu!... zohydzą im sadybę! Trza głębiej w bór iść! Tutaj nie godzi się...

Prędko zdjął pas z gałęzi i zsunął się na ziemię.

Pies strażniczy czatował tylko na to, rzucił się zajadle do niego.

Przyparty do płotu, oganiał się od niego bojąc się odezwać.

— Kto tam? — zawołano z podwórza. Milczał, chciał uciekać chyłkiem.

— Huź go, huź, Łysku! — ozwało się znowu od chaty, już bliżej!

Psu zbliżał się sukurs. Uzuchwalony tym i nieśmiałością parobczaka, rzucił się obces na niego, szarpnął świętę, chwycił za ramię.

— Żeby ciebie wilki zjadły! — wyrwało się z ust chłopa.

— Kto tam? To wy, Marku? Na tu, Łyska! na tu! Czemu się nie odzywacie? Myślałam, że złodziej, a tatusia nie ma!

...

On wciąż milczał ogłupiały, a ona stanęła u płotu, zdyszana, z wielką pałką w dłoni.

Strażnika dziecko nie bało się nocy i łotrów.

— Skąd wy tu się wzięli o tej porze? — pytała dalej wesoło, widocznie rada ze spotkania.

— Przechodziłem мимо, taj pies opadł!

— To dziwo! Łyska was nie poznał. Musi wy coś złego myśleli? — zagadnęła żywo, wlepiając w niego iskrzące się oczy.

Zatrząśł się pod tym wzrokiem i pytaniem. Stał przed nią w rozpiętej i podartej świcie, z pasem w rękę; musiał wyglądać niezwykajnie, bo powtórzyła drugi raz:

— Co wam takiego?

— Nic! — odparł z cicha. — Pies napadł, przeląknęłam się...

— Wy! psa! Toż wam wstyd!

— I ukąsił nawet.

— Ukąsił! Nie może być! Pokażcie no! Rzuciła kij, pochyliła się naprzód.

On odwinął rękaw i pokazał ramię, rozdarte zębami. Trochę krwi sączyło się z ranki, obojętnie otarł ją dłonią.

— Głupstwo! — rzekł ruszając ramionami.

— Ach Boże, całkiem okaleczył! Chodźcie do chaty, to was opatrzę! — zawołała dziewczyna.

— Ej, czy to warto! Żalu waszego szkoda! Bywajcie zdrowi! Noc głucha i taki chłód. Jeszcze was febra opadnie...

— Oho, mnie! Jeszcze ja nigdy nie chorowała. Chodźcie żywo!

Wzięła mu z ręki koniec pasa i pociągnęła za sobą. Przeskoczył płot i dał się prowadzić.

— A gdzie wasz ojciec? — spytał.

— Poszedł do dworu. Wczoraj podsłuchał, jak Żyd z kowalem gadali o pańskich koniach. Nic nie mówiąc poszedł wartować.

— Dobry wasz ojciec dla pana.

— Oho, tak jak trzeba. „Na sprawiedliwość patrz, a o ludzi złych nie dbaj,” powiada.

— A jak jego te złodzieje zabijają? Dalibóg straszno! Ja mu skoczę na pomoc! — rzucił się żywo parobczak.

Stali naprzeciw siebie w chacie, ona spojrzała na niego z radością.

— Dziękuję wam za ofiarę! Wziął z sobą stróża i leśnika. Zdrow wróci! Pokażcie ramię.

W milczeniu odbył się opatrunek. Nie bolała chłopca rana i wcale o niej nie myślał.

Strażnika córka nieładna była wedle gustu chłopskiego, bo szczupła bardzo i smutna. Siły wielkiej nie znać w niej było, a twarz miała bladą i śniadą, bez rumieńca i kwitnących policzków.

I ruchy miała lekkie i żywe, nie takie, jak wioskowe dziewczęta. Jak kotka zwinna, biegała po chacie nie potrącając niczego, bez hałasu i stuku.

Takiej nie było w wiosce — ani jednej.

Dla kontrastu zapewne ten wielki, ciężki chłop pożerał ją oczami, zachwycony, zdumiały.

Gdy mu obwiązała ramię, zapomniał podziękować i nie ruszył się z miejsca.

Spojrzała nań, nie poznawała go.

— Co wam dzisiaj? — zagadnęła znowu. — Duru wam ktoś zadał czy co?

Westchnął głęboko i głowę zwiesił.

— Jeszcze ja was takim nigdy nie widziała! Po nocy chodzicie po borze i oczy macie krzywe. I Łyska was nie poznał! Coś u was w głowie złego powstało!

— Dobrego we mnie nigdy nie było, tylko żem cierpiał cicho, taj hody! A teraz tak przyszło, że i oczy zasnuło niby mgłą!

— Co wam takiego?

— A co? do wojska wzięli!...

— Moja doleńka! — jęknęła dziewczyna żałościwie, opuszczając ręce — do wojska wzięli! Ach, Boże!... Taj pójdziecie?

— Za cztery dni stawić się kazali i popędzą do pułku na skraj ziemi. Już się tam i zostaną moje kości. Nie zobaczą już nikogo z tutejszych moje oczy! Pójdę, taj zginę!

— Co wy gadacie! Czego macie ginąć?

— Taka dola. Pierwszego mnie kula ubije! Boja niczyj! Od nikogo nie odchodzę... do nikogo nie mam wracać. Za to i nie wrócę!

— Ach, Boże mój, Boże! Któż to wam mówił?

— Ja i sam wiem! Hodowała mnie dla siebie zła dola rękami macochy. Ni ja kiedy co miał, ni ja kiedy co uweselił. Ot, sam nie wiem, po co żył i pracował... dla tej pierwszej kuli, żeby się w ciepłej krwi wykapała.

— Przestańcie, bo słuchać nie można! Kto wam głowę zadurzył?

— Kowalicha gadała, a ona zna.

— Co gadała? — spytała niespokojnie.

On oparł się o róg komina i monotonnym głosem jął opowiadać proroctwo.

Ona stanęła naprzeciw niego, założyła ręce na piersi i słuchała z nateżeniem.

Kilka razy pobladła i z cicha westchnęła, pod koniec ogniem zapalały jej czarne oczy, a nozdrza rozdęte dyszały podnieceniem.

— A gdzież te czary? — spytała.

— Ot, są tutaj w łatce (szmatka).

— Dajcie mnie.

— Nie dam.

— Czemu?

— Jeszcze z nich na was złe przejdzie!

— To co? Dajcie! Nie lękam się.

— Nie dam! Na co one wam?

— Ja was okurzę... Dajcie prędzej.

Chłop cofnął się o krok. Wielkimi oczami popatrzył na mówiącą; myślał, że się upiła. Ale ona wyciągnęła rękę i mówiła coraz gwałtowniej:

— Dajcie, taj hody! Po co takie zawracanie głowy. Cyganka bresze jak rudy pies! A jej skąd wiadomo, że wy niczyj? Kto jej gadał? w czyje serce zaglądała?! Tfu! z takim proroctwem... Pierwsza kula niech bierze złodziei i szelmów. I bajka jej krzywa! Na dobrego człowieka Pan Bóg sam patrzy i ma go w pamięci, choć po nim nikt nie płacze. Tatusio mój sierotą był i srogie wojny odbywał, i różne złe dole go obsiadały, a ostał się, przeto że prawy chodził i śmiało oko przed światem miał! I wyście nie kradli, Marku, i nie obmawiali ani pomstowali, choć się wam krzywda działa! Mutnia (oszukaństwo) taka wróżba, mutnia, że wy niczyj! Bóg wie jeden, kto za wami

zapłacze, Bóg wie, do kogo wam wrócić trzeba. Taj wróćcie, ja wam mówię, że wróćcie. Ni pierwsza kula was weźmie, ni ostatnia.

Parobkowi zaczęły drżeć ręce i gorącość występować na lica. Żar bił z komina, a z oczu dziewczyny sypały się zużle. Stał otumaniony kompletnie.

— Kto wam mówił? — zagadnął niedowierzająco.

— Kto wam mówił? — powtórzyła powoli innym już głosem i tonem. — Mówiły mi te węgle na długich wieczornicach zimą, mówiły mi gwiazdeczki jasne latem, kukąła mi zuzula...

Przyjdziecie za pięć lat o tej porze zdrów i cały, bo jest taka moc, co was śmierci nie da, oj, nie da!

— Naprawdę przyjdę?...

— Przyjdziecie! Tak samo wiatr będzie chodził między jodłami i deszcz padał. Głodno wam będzie i chłodno, i tęskno...

— Jeśli wróżyć umiecie, to powiedzcie, gdzie ja zajdę najpierwej? czy do chaty?

— Nie, przyjdziecie do nas. Staniecie w progu zmoknięty, zdrożony żołnierz w szynelu i postrzyżony. Taj pozdrowicie po swojemu: „Niech będzie pochwalony!”

— A któż mnie odpowie? — przerwał chłop tamując oddech.

— A któż? tatusio i ja!

— Nieprawda! Was już nie będzie. U męża będziecie...

— Nieprawda! ja wam odpowiem: „Na wieki wieków!” Umilkli naraz oboje, nie wiadomo dlaczego. Dziewczyna cofnęła się nieco w cień i sięgnęła po kądziel; chłop skubał końce pasa, onieśmielony.

— Joheniu? — zagadnął nagle, podnosząc głowę.

— Czego chcecie?

— Ja by wam coś powiedział.

— Ta gadajcie.

— Na Jordan cztery lata będzie, jak ja was zobaczył w cerkwi.

— No, to co?

— I pokochał...

Fala krwi rzuciła się im jednocześnie do twarzy i znowu, po dość długim przestanku, chłop podjął:

— Prawią ludzie, co wy z Lachów! Prawda?

— Prawda.

— Nu, to wy mnie nie zechcecie! Dumał ja tak i milczał... teraz pójdę, taj zginę!

— Durny ty! — odparła lakonicznie i dobitnie. Żywość jej gniewała, nieśmiałość taka i niedomyślność. On zniósł to spokojnie, ale o krok postąpił jednak.

— Joheniu?... — zagał znowu.

— No czego?

— Ja by wam coś powiedział...

— No, toż słucham.

— Żeby wy poczekali na mnie.

— Czego?

— Może by ja czego się dosłużył, porozumniał między ludźmi. Ja by wam chciał panowanie dać! Ja prosty cham, ale ja was tak miłuję, że bez was całkiem zeschnę — i tak by was uważał, jak obrazek święty! Ja by was na rękach całe życie nosił. Strach, jak ja was miłuję!

— A na cóż wy czekali cztery lata?

— Śmiałości nie miał. Za nic nie odważył się. A dzisiaj...

Zająknął się i urwał.

— Cóż dzisiaj?

— Żebyście po wodę nie wyszli, tobym już nie żył...

— Czemu?

— Bom już wisiał na waszym dębie.

— Matko cudowna! — krzyknęła dziewczyna, obejmując wzrokiem jego potarganą szwitę i zbrudzony pas.

— Chłop najspokojniej ciągnął dalej:

— Mówiła Cyganka: zginiesz; więc myślę sobie: po co czekać tej kuli i iść tak daleko po nią... Nóg szkoda!... Więc zaszedłem pod dąb, popatrzyłem w wasze okna, taj pas założyłem na gałąź. Aż wyście przyszli przed studnię. Myślę: popatrzę trochę; a potem myślę: straszno wam będzie trupa, chciałem iść dalej. Aż tu pies wypadł i wyście się odezwali. Tak i zapomniałem...

Dziewczyna była biała jak kreda, oparła się o ścianę i zajęczała, załkała okropnym płaczem. Marek urwał przerażony.

— Czego wy płaczecie? — zagadnął. Wówczas i jego jakiś niepojęty żal ogarnął.

— Joheniu, zuzulo! — rzekł łagodnie — poczekajcie na mnie, aż wrócę...

— A cóż ja będę robić! — odparła niewyraźnie.

— Nie pójdziecie za nikogo?

— Za nikogo!...

— Ni za Lacha, ni za pana?...

— Za nikogo.

— By i kniaź przyszedł?...

— Nie pójdę... Tylko się wróć!

— To i lubisz mnie, hołubko?...

— Już cztery lata wyglądam co dnia! Panie Boże! dziś mnie tak coś trapiło! Jakby palec boski. Czemuś ty czekał! Czemuś ty nie przyszedł?

— Bałem się! Żebym ja wiedział!

— Jakiś ty głupi, Marku! Głupszego na świecie nie ma.

Ale chłop wracał uparcie do jednego pytania:

— Poczekasz na mnie sierotę? Zastanę ciebie?

— Zastaniesz.

— Nie dasz mnie wziąć tej pierwszej kuli?

— Nie dam. Oczy wypłaczę, a nie dam!

— Daj tobie Boże za to złotą dolę, zoreńko ty moja jasna! Wziął ją za rękę i pociągnął ku sobie.

— Ja bym na ciebie patrzył i patrzył ciągle!

Na piersi jej błyszczał krzyżyk posrebrzany i drgały szklane perły pod szybkim oddechem.

— Daj mi ten krzyżyk! — poprosił sięgając w zanadrze i dobywając nieśmiało jaskrawą wstążkę. — Jam ci to kupił. Weźmiesz?... — spytał prosząco.

— Dziękuję! — odparła z uśmiechem, zdejmując krzyżyk z szyi.

Gdy mu zawiązywała, uzuchwalił się do tego stopnia, że ją w pół objął i ogniście pocałował.

Jednocześnie na dworze rozległy się szybkie kroki i wesołe gwizdanie.

Łyska śpiący pod ławą wypadł, radośnie skomląc, a młodzi odskoczyli od siebie.

We drzwiach stanął człek barczysty, żyłasty, prostej postawy. Borsuczą torbę miał przez ramię, strzelbę na plecach, w rękę kij okrutny.

— Niech będzie pochwalony! — pozdrowił i bynajmniej nie zdziwiony obecnością parobka, ciągnął dalej prędkim i urywanym tonem:

— Zachodziłem dc twojej chaty. Nie ma, powiedzieli. Dobrześ zrobił, żeś przyszedł... A co? wzięli? Wiedziałem, że wezmą! Na dobre tobie wyjdzie służba! Chłopczyisko z ciebie pocziwe, ale nieobrotne i zahukane! Ho, ho, jak wrócisz, inny będzie rezon! Dońku, daj wiecezję!

Zmachałem się okrutnie'

Zdjął z siebie torbę, strzelbę, pas z blachą, otarł połą twarz i włosy, i siadł za stołem.

— A cóż, tatusiu, byli złodzieje? — zagadnęła dziewczyna podając mu misę kapusty i bochen chleba.

— Byli. Dostał się Cygan tylnymi drzwiami od rzeki do stajni, Żyd z dala czekał. Ja pod ścianą leżałem i wpuściłem go do stajni, a potem wypuściłem.

— Wypuściliście złodzieja? — dziwił się Marek. Strażnik zaśmiał się swobodnie.

— Wypuściłem, a on mnie na co! Drzwi otworzył, klacz wierzchową pana prowadził na uździenicy. Ja jedną ręką za uzdę, drugą za jego czuprynę i potrząsałem jak gruszą. Puścił cugle ze strachu, klacz wróciła do żłobu, a ja jego buch... w rzekę! I koniec, nie było co więcej wartować, więc poszedłem do domu!

— Aaa! — podziwiał Marek. Strażnik podniósł do ust łyżkę stawy.

— A jego nakarmiłaś? — spytał córki.

— Nie, tatusiu. Zapomniałam...

— O czymże myślałaś! Dawno przyszedł?

— Niedawno, będzie godzina!

— Aha, to niedawno? Cóżście robili tyle czasu, że głodu nie czuli? Siadaj, Marku, i jedz...

Parobczak posłuszny i snadź tego głodny, nie dał sobie dwa razy zaproszenia powtarzać.

Johenia też usiadła między nimi i tak we troje jedli z jednej misy, obyczajem chłopskim, milczący i skupieni.

Marek, co mu się nigdy nie zdarzyło, zagaił pierwszy rozmowę.

— Ja by was poprosił o łaskę.

— Aby ta łaska nie była z pańskiego lasu, to gadaj

śmiało.

— Na co mnie pański las! O wasze własne prosić będę. Żebyście córki nikomu nie dawali, aż ja wrócę!

— Oho, a jak ona będzie się napierała?

— Nie będzie, ona poczeka... Ja wam nierówny może, ale my przystali do siebie. Włókę pola mam, towaru sztuk piętnaście i klaczy parę...

— Aha, to wy i o tym gadali. No, co tam gadać? chcecie, to czekajcie! Ja niełakomy na twój dostatek, ale na twoją uczciwość i spokojność. Dobry z ciebie chłopiec, a jak ona ci sprzyja, to i owszem! Johenia, prawda?

— On mnie ze wszystkich najlepszy.

— No, to dajcie sobie ręce i dotrzymajcie!... Chwała Bogu! dobry dzień. Rano Huczka złapałem, jak łożę kradł, i coś tam mu żeber nadłamałem; potem w Pińsku tchórza sprzedałem za trzy ruble; Cygana wykapałem i córkę zaswatałem! Hej, hej, dobry kawał roboty! Teraz spać pójdę, bo kości bołą. Wy, jak macie co gadać, to gadajcie; ja wszystko powiedziałem już, co trzeba.

Wstał, pogłodził córkę po głowie, parobczaka obejmującego mu kolana uściśnął, że aż ten poczerwieniał, wgramolił się na piec i rozbierając się mruzczał pacierze.

Zostawił młodemu swobodę zupełną, z wiarą, że jej nie nad—użyją, i w niespełna pięć minut spał na laurach po trudach całodziennych.

Młodych sen nie brał. Johenia zaświeciła na kominie i przędła, parobek usiadł naprzeciw i gwarzyli z cicha.

Oboje byli więcej do marzeń skłonni niż do szafu, mało czasu mieli przed sobą do rozstania i smutno im było na sercach.

Po chwili strażnik poruszył się i przecknął.

— Marko! — zawołał.

— Słucham, ojcze.

— W kuble łyka mokną. Spleć mi, synku, postoly. Całkiem zapomniałem.

I znowu zasnął.

Parobczak wziął się do roboty ochoczo. Dziewczyna dorzuciła drzazg kilka na ogień i z cicha zanuciła:

*Pójdę ja, pójdę w lasy bujne,
Przyjdą i na mnie czasy trudne.*

A Marek z cicha również zawtórował:

*Pójdę ja, pójdę w jeszcze bujniejsze,
Przyjdą i na mnie czasy trudniejsze...*

I tak im noc zeszła. Kury piałły raz i drugi, a przy trzecich rekrut wstał i westchnął:

— Pójdę już, by mnie kto nie zobaczył. Broń Boże, złe języki cię zaczepią, zazulo, serdeńko! Bywaj zdrowa!...

Uścisnęli się na pożegnanie i patrzyli na się długą chwilę. On się uśmiechnął:

— Wiesz co? taki Cyganka prawdę powiedziała. To ty, Joheniu, pierwsza kula w sercu! To ciche było, a teraz skacze i boli, i zda się krwią płynie. Wzięła ty mnie, wzięła, aż do śmierci!

— Sokołyku mój! — szepnęła garnąc się do niego.

Kur znowu zapał i drzwi skrzypnęły. Ku wsi szedł chłop wyprostowany, szukając na niebie wschodu. Z oczu mu otucha patrzyła.

Szedł i dalej ciągnął zaczęłą pieśń dziewczyny:

Oj ty, dziewczyno, czarowniczeńko,

*Przyczarowałaś moje serdeńko,
Przyczarowałaś serce i duszę...
Teraz ja ciebie miłować muszę!*

Dochodził do kuźni, gdy mu drogę zastąpiła Cyganka.

— Czuj, Marko, nie spotkałeś gdzie kowala?

— Waszego?

— Aha. Powiedz, jeśli wiesz.

— Daj rubla, to powiem.

— Nie dam, bo nie wiesz.

— Nie dawaj... pożałujesz!

Ruszył dalej. Dopędziła go we wrotach chaty.

— Marko, powiedz, dam tobie lubczyku.

— Ja i sam wiem, gdzie on rośnie. Idź do czarta!

Cyganka, coś mrużąc, odeszła. Wolą rubla niż męża.

Zdała go na Opatrzność.

Z ulicy już zaczęła pluć i machać rękoma, ale Marek, czym innym zajęty, ani się obejrzał.

Na wschodzie jaśniało. Wsunął się do stodoły i, pogodzony z losem i dołą, twardo zasnął.

Za Bałkanami w Turcji pułk ochocki szedł do ataku.

Prażyły go kule jak grad. Co chwila ktoś się odrywał od szeregu, kładł na ziemi, zdawał broń.

Luka się zapełniała, następni szli z zapalem po trupach dalej, nie widząc nic wokół, objęci tumanem dymu i ognia.

Za nimi zostawał pomost z ludzi.

Piersiami do ziemi, rozkrzyżowany, leżał żołnierz.

Zdeptali go i poszli, a on długo się nie ruszał.

Nareszcie porwał się na klęczki. Miał czarną plamę na piersi, pod nią strumień ciepły i czerwony.

Szeroko otworzył oczy i w niebo je podniósł.

Widniał w nich podziw niemy, żal i smutne pytanie.

Rękoma rozdarł mundur. Spod niego błysnął krzyżyk biały na czerwonej tasiemce. Krew biegła i biegła, a on ją palcami zbierał, zatamować chciał, łała się przez palce.

Znowu spojrział w górę bez jęku, tylko z tym osłupiałym zdziwieniem i trwogą niemą.

Potem osunął się na bok i cisnąc ranę ułożył się spokojnie, jak do snu, i oczy przymknął.

W straży poleskiej czekano na niego. Nie wiadomo, czy wrócił.

NAD PROGRAM

Tyżeś to?

— Ano ja. Cóż w tym tak osobliwego?

— Widocznie, skórom nie wierzył karcie hotelowej i zaryzykowałem wyrzucenie za drzwi, byle się na miejscu o tożsamości przekonać... Cóż to, na karnawał się wybrałeś? Zapalasz pochodnie hymenu?

— Ja? Także gadanie! Kto ją raz w życiu zapalił, po to tylko żeby z chorą żoną objechać wszystkie bady*, kto ją pomimo to stracił, został z dwojgiem dzieci i gwoili ich wychowaniu ma teraz w domu dwie ciotki, bratową i siostrę niezamężną, ten, mój kochany, nie tylko nie zapala, ale pogasiłby wszelkie pochodnie, w których kobiety biorą współudział...

— Pyszna tyrada! To mi jednak nie wyjaśnia, co porabiasz w mieście podczas karnawału.

— Co mi do karnawału?! Naznaczyli mię przysięgłym na tutejszą kadencję z Iwanem Hrybkiem, Mikitą Seredniaczkiem i podobnymi im jedenastoma. Siedzę od tygodnia po dniach całych w sądzie i za kolegów muszę słuchać, bo biedakom głowy popuchły od natężenia i... śpią, a gdy ich gromki głos prosi o zdanie, odpowiadają z chwalebnią zgodnością: „Jak pan Bychowski, tak i my”. W rezultacie, korzystając z tego wpływu, mszczę się na złodziejach, podpalaczach i koniokradach, choć pośrednio za swoją krzywdę.

— To dobre! Więc to ty wydajesz wyroki? Winszuję. Słyszałem wczoraj mimochodem, że przysięgli uwolnili

* b a d y (z niem.) — uzdrowiska.

jakaś mężobójczynię...

— Bo rzetelnie niewinna.

— Winszuję raz jeszcze. Skłóciłem się dzisiaj o to z moją narzeczoną, która...

— Toś się zaręczył?

— Po to karnawał. W maju ślub.

— Z kimże to?

— Ano, naturalnie, z Józia Wojakowską.

— Naturalnie! Ostrzegałem cię od dawna.

— Ostrzegałeś, a sam się bawiłeś!

— Ja? Człowieku, opamiętaj się! Ja, w którego domu z powodu kobiet nigdy nie zamykają świątyni Janusa*?

— Co to ma do rzeczy? Jedna więcej może ją zamknie. Pamiętasz małą Myszkę Wojakowską? Miałeś do niej sentymencik...

— Temu lat pięć, gdy miała trzynaście i lubiła cukierki. Czarna, mała Myszka! Przecież nie sądzisz, żebym starając się o żonę myślał o kim innym.

— Trzynastoletnim, notabene! Wierzę, ale teraz warto, że byś zobaczył swoje mysz o pięć lat starszą, a moje Józię z turkusem na rączce!

— Bawią tutaj?

— Ano pewnie. Każdy, choć raz w rok, chce zrzucić pleśń i troski, i karnawałuje.

— Ze mnie bierz przykład, że się bez tego doskonale obejść można. Od pięciu lat, od wesela, nie bawiłem się nigdy.

— To też widać po tobie. Pleśni masz skorupę na trzy calle, a troski nabawiły cię mizantropii. Dwa lata jakem cię stracił z oczu, a ledwiem poznał.

* tzn. drzwi.

— Przez te dwa lata byłem gospodarzem, to jest doznałem suszy i powodzi, gradu i księgosuszu, nie mówiąc o pomniejszych. Dzieci przechodziły odry i szkarlatyny, ano... i mam cztery kobiety w domu. A tymczasem ty...

— Ja, mój drogi, jestem naczelnikiem dystansu i pobieram siedem tysięcy rubli pensji.

— Ciekawym za co? Jesteście jak te ptaszki ewangeliczne, co nie sieją i nie żną, i dalibóg nie wiem, jak was cierpi na ziemi Ojciec Przedwieczny za wasze podmyte planty, poprzewracane mosty i temu podobne tej pracy owoce!

— U mnie się nic podobnego, jako żywo, nie wydarzyło. A ty, choć twej miłej kasty zrzędzisz i narzekasz, słyszałem, że ci idzie jak z płatka.

— Aha, z płatka! Możeś słyszał, że mam proces o akcyzę*... o głupstwo: o trzy tysiące rubli tyłko.

— O, fe! To zaczyna być poważne. Cóżes tam sfiglował?

— Nic. Gorzelnia szła wedle wszelkich prawideł, wszystko było nowe, całe i opieczętowane. Gdy wtem, ni stąd, ni zowąd, koło talerzy zaczęło przeciekać. Nawet nie przeciekać, lecz kapać po kropelce. Tak sobie cichutko: kap, kap, kap i koniec. W głowie mi właśnie było jakieś tam marne kapanie! Żeby choć lunęło urzędownie, tobym może zameldował, ale takie kapanie!... Tymczasem paf! tną mi akt, oho! akt, mój bracie, z tragedii, po dziesięć chyba rubli kropelka. I jak mię widzisz, muszę teraz albo płacić, albo siedzieć w ciupie, albo procesować się sto lat.

— Istotnie te kropelki gorzkie i żaluję cię, mój stary,

* a k c y z a — podatek nakładany przez państwo na niektóre artykuły konsumpcyjne, przedmioty zbytku i usługi.

szczerze. Dałbym ci jednak radę na wszystko, żebyś się pozbył tej miny męczennika wbrew woli i posłuchał mnie. A po pierwsze: gdzie ty jadasz?

— Nigdzie. Dziwię się, żeś dotąd nie umarł. Od tygodnia tu siedzę i dwa pierwsze dni szło mi jako tako z tymi szkaradzieństwami. Potem dwa dni brałem lekarstwa, a oto trzeci żywię się herbatą i papierosami... Sam nie wiem, co dalej będzie. Mamy do sądenia jakiegoś pokątnego doradcę, w której to sprawie staje stu trzydziestu siedmiu świadków. Zazdroszczę kolegom widząc, jak po sesji zasiadają bez ceremonii na schodach, dobywają z sakw własny chleb, okraszają go nadpsutą słoniną, zapijają siwuchą kartoflaną i drwią z całego świata!

— Słuchaj, Agricolo! biorę cię w opiekę! Właściwie nie masz dziś ani sądów, ani interesów; mamy nadzieję, i do tego zapustną. Przypomnijmy dawne dobre czasy. Pamiętasz, kiedyśmy to kolegowali, niefrasobliwi o drogi żelazne i mosty, o gorzelnie i susze, ba! nawet o hymen wcale. He? pamiętasz ten ponczyk twego wynalazku? Co to w nim było? Trochę czerwonego wina, kawy, benedyktyнки i pomarańcz?

— Ależ namieszałeś!

— No, no, mniejsza z tym. Było to coś wyśmienitego i basta. Otóż, zobaczywszy się po latach, warto spotkanie uczcić czymś uroczystszym niż gawęda. Agricolo, bracie, zafundujmy sobie tego ponczyku. Co? Teraz karnawał!

— Ech! trzeba się ubierać, a na dworze szaruga. Gdzież znajdziemy ten poncz?

— Zupełnie blisko: na dole w restauracji. Gdym tu szedł, widziałem nawet przez okno prezesa sądu i okrężnego akcyzy. Znam tych panów! Wiesz, zaprosimy ich do ponczowej afery, gwoli twego gorzelnianego

kapania. Zobaczysz, że ci spotkanie ze mną ten padół nędzy zamieni w raj. Posłuchaj tylko: obiecuję ci na dzisiejszy wieczór umorzenie aktu, zwolnienie ze sprawy o stu trzydziestu siedmiu świadkach, dobry obiad, rozgrzewający, słodki truneczek, a potem, potem może tańce i piramidalną zabawę. Agricolo, możesz mię ucałować.

Obywatel, słuchający dotąd obojętnie, siedzący u stołu z papierosem w zębach, a miną niedoszłego samobójcy, na wzmiankę tę podniósł głowę i poruszył ustami, jakby lada chwila miał się uśmiechnąć.

— Trzeba się ubrać! — rzekł już weselej.

— A jakże! Przywdziej swoje sędziowskie szatki i marsz! Karnawał nie czeka na nas, ale znika, a okrężny może zginąć.

Była to skuteczna ostroga.

Obywatel się porwał jak oparzony i po chwili schodził już na dół, obydwu wyświeżeni.

We drzwiach restauracji inżynier coś szepnął służącemu, tonem stałego kundmana zamówił kolację, minął główną salę i wprowadził dawnego kolegę do mniejszej, gdzie zaczął się witać, śmiać rozmawiać, rozbijać jak szara gęś po niebie.

— Kaziu! — szepnął obywatel oszołomiony — ty naprawdę zdobyłeś sobie nie lada stosunki i sławę.

— To jeszcze nic. Poczekaj: steruję na prezesa i twego prześladowcę. Moje uszanowanie panom!

Prezes i okrężny powstali z ugrzecznieniem i po ogólnym przedstawieniu, ukłonach, suwaniu krzeseł inżynier nawę swą umieścił naprzeciw towarzyszków i rozpoczęła się gawędka.

Chłopak był jak skra żywy i dowcipny. Towarzystwo

zrazu rozproszone, powoli ściągnęło się do jednego stołu. Rozmowa stała się ogólną, dość wolną, najeżoną konceptami; chochlik karnawału ogarniał najstarszych, rozmarszczał nawet wątrobianą twarz okrężnego.

Prezes uśmiechał się wygolonymi usty, całe grono wybuchało od czasu do czasu grzmiącym śmiechem, a amfitrion plótł jak Piekarski na mękach. Jeden obywatel milczał.

— Stach! ty śpisz! — mruknął mu kolega.

— Jeść chcę.

— To jedz.

— Otruję się.

— Et, głupstwo!

— Pan ze wsi pewnie? — zagadnął okrężny, dosłyszawszy.

— A tak. W interesie przyjechałem.

— Na pognębiecie ludzi złej woli... — wtrącił prezes.

— Winszuję panu wpływu na włościan.

— Aha! — rzekł okrężny gładząc brodę — a ja winszuję wpływu na kobiety. Moja żona chodziła na sprawę tej mężobójczyni i chce panu zrobić owację!

— Wyznam, że słabość dla płci pięknej za daleko nas trochę uniosła... — uśmiechnął się prezes. — Pan pewnie działał pod wpływem pięknych oczu, których tyle było na sali.

— Uchowaj Boże. Ten człowiek ją bił...

— Wielka awantura! — lekceważąco machnął ręką okrężny.

— Wypędział ją na mróz, pastwił się nad dzieckiem, głodził, zmuszał do kradzieży, kazał żebrać...

— Umarły zawsze winien; ale nasze panie tonęły we łzach nad niedolą tej kryminalistyki, więc sprawa

skończona!

— Jak panowie w karnawał możecie mówić o mordach? Ja proponuję weselszą rzecz! — zawołał inżynier mrugając na lokaja.

— Sprawiedliwość nie zna ferii... — rzekł prezes.

— Ja jednak zaręczam prezesowi, że tu obecny wpływowy przysięgły jutro z musu urządzi sobie wakacje.

— Bardzo będzie to przykre dla mnie i dla jego kieszeni.

— A jeśli i prezesa nie będzie?

— Ech, to niemożliwe.

— Wszystko możliwe w karnawał. Czołem przed tobą, przybytku wesołości i zapomnienia!

Wstał i uklonił się uroczyście przed olbrzymią srebrną wazą, którą właśnie umieszczono przed nim.

— Poważna osoba! — zauważył okrężny.

— A oto specjalista! Dalej, Stach! do dzieła! Obywatel uśmiechnął się i powstał.

Po chwili błękitnawy płomyk ukoronował szczyt wazy, w gorejący płyn poczęły padać z trzaskiem i sykiem krople spalonego cukru.

— Czy tak było w twojej gorzelnii? — zaśmiał się inżynier.

— Pan pędzi wódkę? — zajął się okrężny.

— Uprawia ten proceder. Ma nawet proces i akt, bo tam coś ciekło.

— Ciekło? to ważna rzecz! A gdzie ciekło?

— Nie ciekło... kapało tylko. Klnę się na dzieci, że kapało... na godzinę kropelka... koło talerzy.

— To ważne miejsce. A dlaczego kapało?

— Skąd ja, panie łaskawy, mogę wiedzieć? Bogu ducha jestem winien. Jak grzechu śmiertelnego boję się wszystkiego, co kapie nie w miejscu. Ta gorzelnia to zhora

moich nocy, bo oprócz codziennej straty mam codzienną troskę. Żyda nie trzymam, sam się morduję, superata niewielka, koszt okropny, a teraz na dobitkę mam trzy tysiące rubli do tego procederu dołożyć. I za co? za te kropelki. Mówię panu, nie zebrałoby się tego nawet na kieliszek.

Inżynier napełnił płonącym płynem kieliszki.

— Zdrowie karnawału! — wniósł.

Zadźwięczało szkło radośnie. Okrężny otarł wąsy, poprawił się na krześle.

— Że pan Żyda nie trzyma, to się wam chwali — zawyrokował z powagą Minosa.

— Ten poncz przypomina mi studenckie czasy! — rzekł prezes. — I pan tam pewnie kunsztu się tego nauczył.

— Słuchałem prawa.

— A gdzie?

— W stolicy.

— Ha, to i ja tam pana poprzedziłem o lat dwadzieścia. Czemuż pan prawnikiem nie został?

— Zatrzymała mię w domu gospodarka i obowiązki.

— Zdrowie pana prezesa! — zagrział inżynier. Znowu szkło uderzyło wesoły akordzik, a okrężny, poprawiwszy się na krześle, spytał:

— Jakże się zowie pański majątek?

— Bychowa.

— Aha, słyszałem. Trzy tysiące rubli za wiele!

— Zdrowie okrężnego!

Obywatel poczerwieniał jak burak, a urzędnik ukłonił się wokoło i siadając dodał powoli:

— O kapaniu nawet wcale nie ma paragrafu. Jak ciecze, seriozna rzecz; jak kapie, pies się nawet nie obliże!

— Właściwie mam prawo odwleczenia posiedzeń na

dzień jeden — ozwał się prezes. — Brak jeszcze świadków.

— Stu trzydziestu siedmiu to stanowczo za mało! — wmieszał się inżynier.

— Prokurator mię dzisiaj na wieczór prosił. Powiada, że i on niegotów.

— Mój kolega chory, panie prezesie!

— Chory może nie zasiadać. Byle miał świadectwo.

— Zdrowie całego towarzystwa!

— Drugą wazę! — zawołał obywatel.

Oczy mu błyszczały, a na lica wszystkich zebranych występowały rumieńce i szerokie uśmiechy.

Upał rósł w sali, a z czupryn poczynano na dobre się kurzyć. Zdrowia szły jedne po drugich, coraz hałaśliwsze. Za dymem cygar i parą ponczu twarze prawie znikwały, przybierały pozór widziadeł.

Inżynier trącił kolegę.

— Pijanyś? — spytał.

— Tak, trochę.

— W sam raz zatem. Możemy się wynosić.

— Jak to? Obrażą się.

— Ba, a kto? Żaden już nie widzi dobrze, a raczej widzą podwójnie. Wyniesiemy się pojedynczo.

— Ale gdzie?

— Zobaczysz. Chodźmy!

— To mówiąc inżynier dał nurka w mgłę, utonął w niej, wynurzył się koło drzwi. Obywatel, trochę chwiejnie, szedł za nim jednak. Wydostali się na ulicę. Za nimi w sali restauracyjnej wrzało jak w kotle.

— A co? Kara umorzona, a prezes miękki jak rękawiczka. Możem nie dyplomata?! Słuchaj mnie, synu, a wyjdiesz na ludzi. Teraz zaprowadzę cię do

Wojakowskich.

— Człowieku! mnie w głowie się kręci!

— Będziesz dobrze tańczył.

Poszli, wspierając się wzajemnie, ulicą jasną od oświetlonych okien, gwarną od rozbawionego tłumu i muzyki. Chłód ich orzeźwił. Inżyniera owładnęła fala czułości.

— Żebyś ty wiedział, jak ja kocham moją Józję! — zagaił wznosząc oczy ku niebu i potykając się wskutek tego na chropowatych kamieniach. — Żebyś ty wiedział, jaka ona śliczniutka, milutka!... Tam do licha... leżę! Trzymaj, Stachu!

— Patrzaj bo pod nogi!

— Nie chcę! Kiedy o Józji myślę, do gwiazd się wydzieram.

Żebyś wiedział, jak ona ślicznie spoglądać umie! jak się pieści! a jak całuje! Padajcie na kolana! Mówię ci, pojęcia nie masz!

— Przecież i ja żonę miałem.

— Jaką tam żonę! Chorowitą i blondynkę. To, mój kochany, pigment limfatyczny. Żebyś ty wiedział, co to brunetka! jakie to żywe, wesołe, kapryśne a pieszczotliwe! Mówię ci, delicje! Jak się będziesz drugi raz żenił, bierz brunetkę. Pamiętaj, podziękujesz mi za radę!

— Niech mię Bóg strzeże! Słyszałeś, że mam cztery kobiety w domu.

— To nic... weź piątą. Weź, posłuchaj mię!

— Gdzie idziesz! nie trafisz!

— Ja nie idę, ja lecę do swojej Józji. Co to? leżę?!

— Daj za wygraną na dzisiaj odwiedzinom, a połóż się spać. Obrazisz narzeczoną!

— To nic! Ujrawszy ją, upoję się miłością, a

otrzeźwieję z ponczu. *Probatum est**. Obiecałem ci tańce, smaczną kolacją, piramidalną zabawę. Jestem człowiekiem honoru i słowa... Tutaj! na lewo; nie... na prawo. Otóż bo prosto i basta.

— Kaziu, bywaj zdrow! Nie myślę się kompromitować w twoim towarzystwie. Człowieku! co o tobie pomyśli narzeczona! Opamiętaj się!

— Ja jeszcze odkąd żyję, nie skompromitowałem mężczyzny. A żem wypił tochę za wiele ponczu, to twoja wina. Tak powiem Józi!

— Mocno ci jestem obowiązany — i wracam.

— Otóż nie. Obiecałeś mię słuchać i będziesz. He? Co to? Brama! dalibóg, jej brama!

Uchwycił towarzysza za rękę i wciągnął go do sieni prawie przemocą, a stamtąd na oświecone, wysłane dywanem schody.

Idąc potykał się i począł na dobitkę nieprzystojności podśpiewywać z operetki:

Ach, jakże mi też serce drży!

Ach, słabo, słabo, słabo mi!

Obywatelowi istotnie ze strachu i przykrości robiło się słabo.

— Czyś oszalał? cicho bądź! — perswadował,

— Nie oszalałem, ale jestem zakochany, więc mi wszystko wolno. Kto nie jest zakochany, ten osieł, i będzie miał ze mną do czynienia! Aha, dzwonek u drzwi mego raj! Dźwięcz, serduszko!

W mieszkaniu panował ruch i muzyka. Tańczono już. Po

* *Probatum est* (tac.) — to pewne.

chwil; drzwi się otwarły i wchodzący ujrzeli przed sobą osobkę drobną i szczupłą, z rumieńcem ożywienia na twarzy, z oczętami błyszczącymi jak diamenty spod gęstej, kruczo czarnej grzywki.

Usta jej wiśniowe rozchyliły się swawolnym uśmiechem i białe ząbki błysnęły spośród tych ślicznych purpurowych usteczek.

— Ach, to pan! Przeczuwałam i skoczyłam z pierwszą burą. Druga będzie od Józi, trzecia od mamy, czwarta znowu od Józi. To ładnie tak się spóźniać!

— Niech się panna Myszka nie gniewa, bo przyprowadziłem z sobą wielką osobliwość.

Dziewczynka tupnęła nogą.

— Co to za Myszka! Kto panu pozwolił tak mnie nazywać? Bardzo proszę! Kogo pan przyprowadził?

— Aha, ciekawość przeważa inne uczucia! Ktoś to jest bardzo przez pannę Myszkę kochany.

— Nieprawda! Nikogo nie kocham!

— Nieprawda! Bardzo kochany! Stach! poprzyj mnie! Inżynier odsłonił towarzysza i wciągając go do środka, zaprezentował.

— Nie żenujcie się, moje dzieci. Przed pięciu laty widywałem, jak panna Myszka skakała ci na szyję i wołała cukierków.

Panna Myszka, zaskoczona znieńska, zarumieniła się aż po włosy. Oblały się żywą krwią jej policzki, uszy, szyja cała, odkryta w balowej sukience. Oczęta zaświeciły podwójnym blaskiem, a takie rozradowanie biło z oblicza, że zdawało się, iż zapomniawszy o minionych latach poskoczy, jak dawniej, z dziecinną swawolą w ramiona przyjaciela.

— To pan! to pan! — zawołała i powstrzymując się

przez wzgląd na długą suknię, wyciągnęła do niego tylko ruchem serdecznym obie ręce pokryte aż za łokcie rękawiczkami, ozdobione złotym wężykiem.

— Jaki pan dobry, że przyszedł! — zawołała szczerze.

— Otóż masz! A jam, co go przyprowadził, niedobry!
— wtrącił inżynier.

— Nie zapomniała mnie pani? — spytał Stanisław ściskając podane rączki i przyglądając się powabnemu stworzeniu z uśmiechem.

To przyjęcie, tak szczerze serdeczne i swobodne, było mu niewymownie przyjemnym.

— Ej, nie! — odparła Myszka otwarcie, patrząc mu w oczy śmiało i głęboko swymi migającymimi oczkami. — Tak pana pamiętam, jak nikogo.

— Panna Myszka się oświadcza! — wybuchnął śmiechem inżynier. — Wynoszę się, by wam nie przeszkadzać.

Dziewczynka opamiętała się i skoczyła jak spłoszona sarna do drzwi, w głąb mieszkania.

— Ostro idzie! a i ty, wbrew zakłębciom, bierzesz się nie żartem do przewracania oczu! Ho, ho, wyglądasz mi na wilka w skórze jagnięcia! — śmiał się inżynier.

— Czyś się jeszcze nie wytrzeźwił? Byłby jednak wielki czas dać za wygraną niesmacznym konceptom.

— Czemu to, duszko, takim obywatelsko–nestorowym tonem nie rozmawiasz z tą rusalką? Mądryś! Zobaczymy, kto gorzej wyjdzie stąd pijany!

— Czy nie wejdziemy do salonu?

— I owszem, Jesteśmy!

Dziesiątek par wirowało w walcu, gdy wkroczyli do tego przybytku i ostrożnie lawirując dotarli do pani domu, która dobrotliwie pogroziła palcem przyszłemu zięciowi, a na

widok obywatela powitała go bezmiernym zdziwieniem.

— Ależ to niespodzianka! — zawołała uprzejmie. — Tyle lat nie widziałam pana!

Usiadł na opróżnionym krzeselku pod ścianą i po chwili zatonął cały w długiej opowieści.

Starsze panie otoczyły go wieńcem i słuchały z zajęciem historii choroby żony, kłopotów, ciągle zmienianych kuracji, groźnych symptomatów zakończonych wreszcie katastrofą.

Każda dorzucała pytanie, cytowała podobne wypadki, ganiła lekarstwa, narzekała na doktorów, dawała spóźnione rady; ubolewały wszystkie chórem. Skazane na całonocną drzemką beczynność i nudy, rozbudziły się i ożywiły, uszczęśliwione z powolnego słuchacza. On się nie wrywał do młodzieży i tańca. Oczy jego, o spojrzeniu spokojnym i smutnym, prześlizgiwały się obojętnie po rozbawionej rzeszy, wesołe tony muzyki nie rozchmurzały poważnego czoła.

Znać było, że pomimo lat młodego człowieka tego życie przybiło do ziemi, że domowe, może za wcześnie zwalone na barki obowiązki i nieszczęścia starły wszelką swobodę i żywość, a samotność obecna odstręczyła od ludzi.

Trochę pochylony, obracając w rękę kapelusz opowiadał kobietom o biedach rozmaitych i sierotach swoich w domu, z którego śmierć, daremnie zwalczana, zabrała matkę i gospodynię.

Nie zauważył, że między jego krzesłem a ścianą przesunęła się drobna osóbką, oparła się o poręcz siedzenia matki i słuchała, przez nikogo nie spostrzeżona, z miną bardzo zamyśloną i przejętą. Dopiero gdy skończył i słuchając ogólnej kondolencji, podniósł machinalnie oczy, spostrzegł utkwione w siebie te niewielkie, ale świetnie

szlifowane brylanciki i usłyszał dyskretny szept:

— Czemu pan nie tańczy? Uśmiechnął się mimo woli.

— Za starym już na to. Zapomniałem.

— Ej, to szkoda. Dawniej pan mnie uczył polki. Czemuż pan postarzał, a ja nie?

— Mógłbym być prawie pani ojcem.

— Ach, fe! Niech Bóg broni.

— Czemu? — zaśmiał się powstając.

— Ej, bo do czego by to było podobne! Za nic bym nie chciała.

— Ale dlaczego? Pieściłbym panią, zaręczam.

— Alboż to tylko ojciec pieści? Józia mi mówiła...

Urwała i wachlarzem zakryła usta i twarz nagle splonioną, potem swoim obyczajem pierzchła, sploszona swą własną nieuwagą.

Jak biały motyl, zgrabna i lekka, przefrunęła salę, zawirowała w przeciwległych drzwiach i znikła. Obywatel usiadł znowu i przerwana na chwilę rozmowa miała się dalej rozwijać, gdy zaczerwieniony, zakłopotany wypadł z tłumu inżynier.

— Chodź, Stachu — szepnął — Józia chce cię widzieć. Tam odpoczywa w gabinecie. Gniewała się na mnie przez cały kadryl i mazur, ale jakoś w walcu otrzymałem przebaczenie. Niezupełnie jeszcze, ale w polce mam nadzieję odzyskać resztę łask. Tymczasem ty szepnij słów parę za mną. To nie zaszkodzi.

— Widzę z przyjemnością, żeś wytrzeźwiał.

— Ale, od pierwszego jej spojrzenia, ze strachu.

Weszli do gabinetu, gdzie młodzież, rozsypana dowolnie, odpoczywała gwarząc i chichocząc.

Biała sukienka Myszkki migiała od grupy do grupy, a srebrny jej śmiech brzmiał swawolną kaskadą.

Obywatel, po obowiązkowych powitaniach i komplementach, pozostał koło narzeczonej przyjaciela.

— Zdawało mi się, że pana poznała na ulicy — rzekła panna Józefa — ale oczom nie śmiałam wierzyć. Więc to pan oswobodził tę nieszczęsną kobietę? Drżałam czytając sprawozdanie z sądów i wyczytawszy uwolnienie, zachwycona byłam tryumfem słabej.

— Ładna mi słabość, co morduje męża! — zaprzeczył ze śmiechem inżynier.

— Niby mężczyzna nie stokroć ciężiej morduje moralnie! — odparła narzeczona z wymownym spojrzeniem pod adresem swego przyszłego tyrana.

— Albo to prawda! — zadźwięczał swawolny głos Myszki.

— Józia mi onegdaj mówiła, że mieć narzeczonego to najwyższe szczęście i radość. Cóż dopiero męża.

— Myszko! — upomniała zgorszona siostra, a inżynier, składając głęboki ukłon, dodał sentencjonalnie:

— Bóg przemawia przez usta maluczkich!

— Jak to maluczkich? Jestem ogromna i zaraz pana przerosnę.

— Panna Myszka jeszcze rośnie. Dzieciaczek!

— Jak mi pan będzie mówił impertynencje, to ja także powiem głośno, co było wczoraj o szarej godzinie, jak mama chodziła do kościoła.

— Panno Myszko! Myszko! — zaprotestowali narzeczeni jednogłośnie, z widoczną trwogą.

Ale wtem na ich ratunek, w samą porę, muzyka uderzyła pierwszy takt.

Dziewczynka zwróciła twarz i uwagę na skoczne tony, podniosła się na palce, przechyliła główkę jak ptaszę i nasłuchiwała.

Potem podskoczyła, klaskając rękoma.

— Polka! polka! Moja ulubiona, najśliczniejsza. *Le premier baiser**!

— *Vous en êtes au deuxième?** — spytał narzeczony. Czy to przecucie, czy doświadczenie mówi przez usta pani?

— Dowiedziałam się od Józi! — zemściła się bez namysłu.

— Niebezpiecznie mieć panią za powiernicę! — wtrącił obywatel, ubawiony pomieszaniem osób interesowanych.

— Wcale nie. Umiem milczeć jak grób, ale gdy mi dokuczają, nie chcę być dłużną. Ach, polka! już tańczą!

Narzeczeni zemknęli pod pretekstem tańca i gabinet był pusty. Dziewczynka obejrzała się wkoło.

— Wszyscy poszli... To dobrze. Poproszę pana o coś, a jak pan odmówi, to nikt nie posłyszcy. Umarłabym inaczej ze wstydu!

— O co chodzi? Jestem na usługi.

— Ej, pan doprawdy okropnie się zmienił. Taki nudny i poważny! Nie rozumiem, dlaczego poznałam tak od razu. Ja zostałam taka sama? Nieprawdaż?

— O, bynajmniej. Wyrosła pani, wypiękniała...

— Ej, fe! To nie, ale spowaźniałam.

— Tego dotąd nie dostrzegłem.

— Żeby pan potańczył ze mną, to zaraz by się przekonał.

— O powadze?

— A tak. Tańczę majestatycznie teraz!

— Chciałbym wierzyć, ale... to trudno.

* *Le premier baiser* — Pierwszy pocałunek!

* *Vous en êtes au deuxième* — fr.) Czy to był pierwszy czy drugi (w pani życiu).

— Niech pan spróbuje.

— A jak nie potrafię pani poprowadzić i zmyłę tempo?

— To nic, ja pana poprowadzę.

— Majestatycznie?

— Ależ nie inaczej.

— Służę pani zatem.

Znowu przez sekundę takim radosnym blaskiem strzeliły oczęta dziewczynki, jakby zapominając pięciu lat przeszłych miała mu ochotę skoczyć w ramiona, ale nie darmo dźwigała długą suknię i lat ośmnaście. Zaśmiała się tylko z młodzieńczym szczęściem, oparła się o jego ramię, podała rączkę i wpadli między taneczników.

Po chwili, zarumieniona i zdyszana, spojrzała ku niemu.

— Tak dobrze z panem tańczyć! Byle bardzo długo...

— I owszem. Dopóki stanie muzyki — odparł.

— A pan mówił, że za stary na to. Kiedy pan tańczył raz ostatni?

— Przed czterema laty, na swoim weselu.

— Z żoną? Jak to zabawnie, że pan już miał żonę!

— To wcale niezabawnie, niestety, że już jej nie mam!

— Dawno pan ją stracił?

— Przed rokiem.

— To pan może z drugą się ożenić.

— Zapewne, tylko nie znajdzie się dość śmiała, by chciała pójść za mnie.

— Czemu?

— Mam dwoje dzieci.

— Więc cóż? To taka śliczna rzecz, dzieciaki!

— Gdy mają lat ośmnaście, ale nie taki drobiazg, jaki mi pozostał. Na to trzeba nie lada poświęcenia, którego zresztą nie śmiałybym wymagać, i dlatego żenić się nie myślę.

— Ej, to nie dlatego; ale kto stracił, co raz pokochał, ten

już pokochać raz drugi nie potrafi.

Spojrzał na nią uważnie. Miała minę bardzo poważną, a oczy stały się bardzo głębokimi i spokojnymi.

— Zapewne. Nieszczęśliwa miłość czyni człowieka dojrzałym przed czasem i hartuje niemiłosiernie.

— Ja myślę, że wszystkie miłości bywają nieszczęśliwe... — rzekła zupełnie serio.

— Ja myślę, że pani dusza nie doznała dotychczas żadnej, a kiedy dozna, będzie to miłość szczęśliwa.

— Dlaczego? — spytała ciekawie.

— Bo pani... — zaczął i przeraził się końcem pomyślanego zdania. — Bo pani wydaje się stworzoną na to, by jakimś szczęśliwcowi być śpiewem i słońcem przez całe życie.

Czy oszalał, układając podobny frazes, i skąd mu strzeliła myśl podobna? Czy był jeszcze pod wpływem ponczu? Szczęściem, że się w porę zatrzymał.

— Bo pani lada kogo nie pokocha, ale wesołego, dobrego chłopaka, takiego jak Kazimierz na przykład.

— Fe, za nic w świecie! Tak chciałam, żeby pan Kazimierz mnie się oświadczył, bo z początku więcej mnie asystował niż Józi. Układałam sobie, jak mu odpowiem: „Jak pan śmie mówić mi o miłości, kiedy antypatycznie pana nie lubię!” No i nie udało się. Oświadczył się Józi. Teraz jeszcze go mniej lubię za to.

— Bóg go ustrzegł przed haniebną klęską! — odparł Stanisław ubawiony rzetelnie tą szczerością.

Czuł, że dziewczynka coraz ciężiej opierała się na nim, że dyszała nierówno. Zatrzymał się w tańcu i podał jej krzeselko.

— Dziękuję panu. Ledwie żyję! — wyznała nareszcie. Rozłożyła wachlarz i chłodziła się gwałtownie. On, równie

zgrzany, wysunął się do męskiego gabinetu i zapalił papieros. Sam był przez chwilę. Stał u okna i zamyślony spoglądał na gaz i oświetlone okna przeciwległych domów.

Płynie czas jak woda. Przed pięciu laty w tym samym mieście bywał często, starając się o żonę. Miał złoty humor i złote nadzieje. Tańczył, bawił się całą pełnią ochoty, wypełniał bez przymusu ciężką pańszczyznę konkurenta, potem narzeczonego. Niósł z sobą i hojnie rozdawał ludziom swą radość i szczęście. Wzbierała bo mu ona w piersi.

Myszkę Wojakowską okarmiał łokciami, nazywał czarną kotką; z Józia przekomarzał się, kolegów gościł, ulubieńcem był starszych dam i szerokiego koła znajomych. Winszowano mu świetnego losu. Płynie czas jak woda.

Tylko pięć lat minęło, a oto został osamotniony i rozbitek z pysznej nawy. Odbiegła młodość i nadzieje, pozrywały się stosunki, rozpierzchły się znajomości. W domu puste gniazdo, w piersi puste serce, w myśli szara przedza trosk codziennych, bez żadnej już złotej niteczki.

Drogo się płaci za nadzieje i szczęście, i czy te lata, co biegną, długie i monotonne, warte już nazwy życia?

— Płynie czas jak woda! — wyszeptał sam do siebie, przesuając dłonią po czole ruchem zmęczenia.

— Po co się dał tu zaciągnąć, gdzie już nie jego miejsce, gdzie się ludzie, jak on niegdyś, bawią, kochają, zakładają rodziny! Komu on tutaj potrzebny?

— Pan się schował! — zadzwięczał głosik Myszkki z za nieco uchylonej portiery.

Odwrócił się żywo i rzucił papieros.

— Niech pan pali, i owszem! Chciałam spytać, czy pan po tańcu nie chce pomarańczy, bo ja bardzo.

— Zaraz pani przyniosę — ofiarował się.

— Nie trzeba. Jest, ale niech ją pan obierze, bo mi się nie chce ściągać rękawiczek.

Podawała mu owoc i szczebiotała dalej:

— Pan tu stanie koło drzwi i będziemy jedli na wspólnie; a gdyby który z panów się pokazał, to ja zemknę. Dobrze?

— Ofiaruję pani swą nieudolną pomoc.

— Byle kto nam nie przeszkodził. Tacy ci ludzie nudni!

W milczeniu obierał pomarańczę, a dziewczynka, wychylając swoją ruchliwą głowę zza portieri, przyglądała mu się z zajęciem.

— Czemu pan taki smutny? — spytała nagle.

— Minał już dla mnie wiek wesela. Odwykłem od śmiechu w domu, zapomniałem prawie rozmawiać.

— Alboż pan sam w domu?

— Dom pełny, ale ja sam.

— Biedny pan! — szepnęła cichutko, a usta jej drżały.

— Dziękuję pani za współczucie!

— Ja bym tak chciała, żeby panu było na świecie tak dobrze, tak dobrze, jak mnie dzisiaj.

Było tyle serca i ciepła w jej tonie, że mężczyzna, prawie nie zdając sobie sprawy, co robi, postąpił naprzód, rękę jej ujął i poniósł do ust.

Zamilkli raptem oboje. Ona zapomniała rączki w jego dłoni i patrzyła w dal półprzymkniętymi oczyma; on uczył nagle gorącą falę krwi w sercu.

— Odwykłem też od ludzkiego współczucia — zaczął mówić po chwili — a najmniej spodziewałem się go doznać tu, od pani.

— A to czemu? — przerwała obrażona.

— Bo pani bardzo młoda i nie zna bólów życia. Skąd więc litość dla mnie czuć pani potrafi?

— Ja także nie wiem skąd, ale mi okropnie żal pana! Często pana u nas wspominają, a ja pamiętam, że pan był dla mnie kiedyś bardzo dobry, i chciałabym się panu odwdziaczyć.

— Jeżeli pani zrobił kiedy przyjemność, odpłaciła mi to pani z lichwą dzisiaj.

— Ej, nie prawda! Toby pan wesół być powinien i tańczyć, i śmiać się jak wtedy.

— Postaram się dla dogodzenia pani.

— Dziękuję panu!

Oczy jej po dawnemu zabłyśły skrami swawoli. Pocałował znowu jej rączkę.

— W oczęta pani patrząc można odmłodnieć i trzeba być wesołym! — dodał z cicha.

Nagle odskoczyli od siebie, przestraszeni. Za nimi ktoś klasnął w dłonie i zaśmiał się.

— Przyjmijcie ode mnie pierwsze życzenie! — zawołał Kazimierz tryumfalnie.

Myszka w oka mgnieniu odzyskała przytomność i ciętą wymowę.

— Nikt nie kicha, więc życzenia pana zbyteczne... — odparła opryskliwie.

— Ja też zdrowia nie życzę, ale pomyślności, szczęścia i dozgonnej miłości. Panna Myszka tak dobrze jest poinformowana, cośmy robili wczoraj o szarej godzinie; czy mogę spytać, czym państwo się zajmowali przed chwilą?

— I owszem. To żaden sekret. Jedliśmy pomarańczę.

— Niewiele jej ubyło... — odparł drwiąco inżynier, patrząc na owoc niezupełnie obrany w rękę kolegi.

— Alboż pan da skończyć?... Ciągłe chodzi i szpieguje.

— Odpłacam się pani pięknym za nadobne.

— Przepraszam ja nie szpieguję. Nie moja wina, że mi się narzucacie na oczy.

— Nie mamy się z czym ukrywać.

— A ja tym mniej. Czego pan tu przyszedł? Pójdę, powiem Józi, że pan jest nieznośny.

— A ja powiem Stanisławowi, że pani złośliwa.

— Nieprawda. Pan Stanisław mnie lepiej zna.

— Odkądże to? Nie widzieli się państwo pięć lat, a dzisiaj nie było wiele czasu do poznania.

— Panu nic do tego. Czego pan tu przyszedł?

— Szukam Stacha do kolacji. Prowadzić będzie ciotkę Matyldę.

— Nieprawda! A mnie kto?

— Pannę Myszkę najładniejszy kawaler.

— Niech sobie prowadzi ten kawaler ciotkę Matyldę. Ja nie cierpię kawalerów.

— Tak? Odkądże to?

— Odkąd pana poznałam.

— I odnalazła pani Stacha?

— Panu nic do tego! — powtórzyła swoje, tupiąc nóżkami, a oczy jej nabiegły łzami rozdrażnienia.

— Kazimierz, daj pokój! — wmieszał się obywatel — jeśli nas tam czekają, to chodźmy. Dosyć tego!

Pociągnął przyjaciela za sobą w przeciwną stronę drzwi. Rzeczywiście czekano na nich. Pary się formowały i wkraczały majestatycznie do jadalni.

Widocznie ciotka Matylda była zmyślona, bo Myszkę po chwili usiadła do stołu obok Stanisława, już niegniewna wcale, lecz uśmiechnięta przekornie. Brzęk porcelany, szkła i sreber głośzył rozmowy sąsiadów. Kazimierz, siedzący naprzeciw, daremnie łowił uchem dźwięki głosu przyjaciela — nic nie mógł dosłyszeć. Uważał tylko, że

obywatel stracił resztę sztywnej posepności, a Myszka z niebywałą, stałą uwagą słuchała go. Bawili się widocznie bardzo dobrze we dwoje. Pod koniec, wśród rumoru odsuwanych krzesel i chwilowego zamieszania, przecisnął się do nich.

— Czy panna Myszka tańczy kadryla?

— Tańczę.

— I białego mazura?

— Tańczę.

— A ty, Agricolo, co porabiasz?

— Tańczę.

— Cieszę się, że ci sądy i proces o kapanie w gorzelni nie zatrąły zupełnie humoru.

— Bynajmniej. Jeżeli przegram, mam nadzieję dostać od losu wynagrodzenie.

— W formie?...

— Józia na pana zerka niezbyt uprzejmie... — wtrąciła Myszka ze śmiechem.

Tańce rozpoczęły się ze zdwojoną ochotą. Inżynier śledził pilnie jedną szczególnie parę.

— Poczekaj, chochliku — mrucał do siebie. — Dokuczałaś ty nam żartami, przedrzeźniałaś każde czułe słowo i spojrzenie, prześladowałaś śmiechem i drwinami! Poczekaj! chyba nie ja będę, jeśli cię dzisiaj nie dopilnuję i oddam żarty z procentem setnym! Poczekaj!

Para tancerzy, jakby przeczuwała jego złe zamiary, była wciąż na oczach i w pełnym oświetleniu salonu. Konwenanse były zachowane jak najściślej.

Ach, jacy oni przyzwoici! myślał z gniewem szpieg.

Nareszcie, gdy po chwili rozmowy z narzeczoną podniósł oczy, nie znalazł ich w salonie.

Porwał się jak ruszony sprężyną i poskoczył do

męskiego gabinetu. Cicho, na palcach zbliżył się do firanki, nastawił uszu.

Muzyka brzmiała i tupali tańczący, pomimo to on coś słyszał widocznie, bo nie szukał dalej zbiegów.

Chwilami uśmiechał się i sięgał ręką do portiery. Rozchylić ją chciał i spłoszyć rozmawiających, zemścić się na swawolnicy. Nie czynił tego jednak. Słuchał, rysy mu poważniały, wspomnienie jakieś zacierało myśl złośliwą, wreszcie odsunął się zupełnie.

— Szkoda ich! — zamruczał. — On, biedak, zapomni trosk na chwilę i odżyje, a ona już żartować nie będzie. Ech, co mi tam! Pójdę do Józi!

I wyszedł. Nikt oprócz niego nie dojrzał nieobecności tej pary i nikt nie zauważył, gdy wrócili. Wmieszali się w wir i niczym się nie różnili od innych — może większym roztargnieniem tylko.

W przerwie, gdy roznoszono chłodniki, inżynier zbliżył się do nich i zajął opróżnione krzesło.

— Czy panna Myszka nie czuje ochoty do polki? — spytał.

— Nie, wcale.

— Nawet do tej najulubieńszej, *Le premier baiser*?

Odwróciła się raptem od niego i tylko jedno uszko zostało mu widzialne — purpurowe.

Nie znalazła ciętej odpowiedzi tym razem. Rozrzuciła wachlarz i spojrzała żałośnie na obywatela, jakby na niego zdawała już teraz obowiązek obrony przed złośliwym napastnikiem.

— Uważam, że ty masz do niej największą ochotę! Możesz zadysponować muzyce! — odparł Stanisław.

— Uważam, że chcesz mnie się grzecznie pozbyć.

— Bynajmniej, pod warunkiem, że postarasz się być

poważnym.

— Poważnym, i owszem! Opowiedz mi historię twego procesu. Ulżyj swemu stroskanemu sercu. Mówiliście zapewne o tym?

— Skończyliśmy właśnie, gdy pan przyszedł — wtrąciła Myszka.

— Jaka szkoda! Więc może o mężobójczyni?

— Panie Kazimierzu, ciotka Matylda odjeżdża! — zawołała Józia przybiegając.

— Odjeżdża? Jakże mi przykro! — zauważył niepoprawny żartowniś idąc jednak za nią do przedpokoju.

Gdy wrócił, zawołała go pani domu i obarczyła poleceniem gospodarczym, potem narzeczona wynalazła jakiś interes. Biegając tu i tam, stracił z oczu swe ofiary, a gdy ich wreszcie sobie przypomniał i chciał dalej dręczyć, Stanisława nie było.

Myszka, roztargniona, tańczyła bez werwy i zwykłego humoru, towarzystwo topniało powoli.

— Nie ma Stacha? — zagadnął przyszłą szwagierkę.

— Nie wiem! — odparła udając obojętność.

— Ejże! Z panią się pewnie pożegnał?

— Jeżeli wyszedł, to nie bez pożegnania.

— Do jutra?

— Nie. Jutro wyjeżdża.

— Więc dzisiaj zatem stawi się z wizytą?

— Ciekawam, dlaczego to pana tak bardzo zajmuje?

— Dla trzech, nie! czterech powodów. Żeby dogodzić matce ni jemu, sobie i otrzymać od pani podziękowanie.

— Za co?

— No, chociażby za... polkę... tę ulubioną.

— A mamie co to ma dogadzać? — przerwała drażliwą kwestią.

— Otrzymałem rękę Józi... przepraszam! panny Józefy...

— Niech się pan nie poprawia, rozumiem.

— Otóż zostałem przyjęty pod warunkiem, że ustąpię ze służby, a zajmę się waszym majątkiem. Matka zdecydowała się na to *in extremis**. Biedny majątek ładnie by wyszedł na mojej opiece! Zresztą ja także powziąłem tę decyzję *in extremis*, bo wsi nie cierpię i zwichnąć sobie karierę ciężko.

— Cóż to ma wszystko do pana Stanisława?

— To jest nasz zbawca. Zajmie moje miejsce i uszczęśliwi jednocześnie mamę, majątek, mnie i kogoś jeszcze. Przyjaźń moja dla niego była dzisiaj najzupełniej samolubną, co jednak mi nie przeszkodzi zbierania szczerze daniny wdzięczności! Proszę zaczynać!

— Mocno się pan myli! bo ja właśnie czekam od pana tego samego.

— Ha, co robić! Pocieszam się tym tylko, że otrzymałem od pani pierwsze wyznanie.

— Ode mnie! Nie wiedzieć co! Nic nie wyznaję!

— Ale już drugich pani zdradzać nie będzie?

— A pan się nie poważy żartować?

— Uchowaj Boże!

— No, to dobrze.

— Zawieramy zatem zaczepno—odporne przymierze, na siedem tygodni postu i dwa świąt, aż do dnia ślubu naszego.

— Ej, to tak długo! Nie wytrzymam!

— W takim razie i ja coś szepnę!

— Ach nie, nie! Niech już będzie pokój!

* *extremis* (łac.) — w ostatecznej chwili.

— Zgoda zatem między nami.

— Tak, ale tylko do ślubu.

Zaśmiała się po swojemu, swawolnie, szczerze i zapieczętowała ugodę uściśnieniem dłoni.

— Ten sojusz będzie nam dobrodziejstwem w czekaniu!

— zaśmiał się odchodząc.

Obywatel tymczasem wrócił do hotelu. Zmęczonym się czuł i rozstrojonym okropnie. Zapalił świecę i chodził po pokoju.

W oknach pojaśniało, on chodził; świeca się dopaliła, on chodził; dzień był wielki, on jeszcze chodził. Nareszcie posłyszał dobijanie się do drzwi i otworzył. Przed nim, wyswieżony, uśmiechnięty, stał inżynier.

— Co to? Już wstałeś?

— Wcale się nie kładłem.

— Awantura! I na sąd nie idziesz?

— Ani myślę! Zapłacę karę.

— I do akcyzy nie szturmowałeś?

— Zapomniałem.

— Cóżeś robił? Toć jedynasta godzina!

— Przeklinałem ciebie!

— Mnie? Chrześcijańskie spędzenie czasu!

— Niech sobie będzie pogańskie. Przeklinałem i przeklinam! Przez ciebie jestem mordercą.

— Mor-der-cą? Myślałem, że tylko przeze mnie jesteś narzeczonym!

— To na jedno wychodzi.

— Zupełnie nowy sposób widzenia rzeczy. Jakże to?

— Mordercą jest, kto młode, szczęśliwe, niefrasobliwe dziecko wprzęga w jarzmo ciężkich, mozolnych obowiązków. Zapominasz, że mam dwoje dzieci.

— Ojej. Albo to się na tym skończy! Będziesz ich miał

kopę, bez żadnego morderstwa.

— Mordercą jestem i basta! Brać to szczęśliwe dziecko, żeby pilnowało parę krzykliwych bębnow.

— po cóż ona właśnie! A cóż będzie robić stara Wojakowska? Z całą rozkoszą poświęci się piastowaniu, byłeś ty jej zabrał z barków zarząd majątku i uszczęśliwił córkę.

— A Bychowa?

— Do Bychowy zajrzysz czasem, żeby pogodzić niewiasty swoje i zamknąć choć raz na rok świątynię Janusa. I ta kwestia zatem jest załatwiona, bez perspektywy mordu.

Obywatel machnął ręką. Argumenta przyjaciela były jasne jak słońce, a proste jak drut, nie miał im nic do zarzucenia; ale tak prędko wyznać tego nie chciał. Nie dlatego spędził noc bezsenną, by teraz sprawcy tych nowych trosk padać zaraz w objęcia. Musiał się wygadać i wyburczeć.

— Licho mi ciebie nasłało! — mruzczał rozpoczynając znowu bezcelową przechadzkę i zapalając setny papieros. — Ład—nieś mnie pocieszyl!

— Jak to! O bezgraniczna niewdzięczności! Przypomnij sobie: byłeś głodny, nakarmiłem cię; znudzony — zafundowałem ci piramidalną zabawę; miałeś proces — skasowany za moją pomocą; dokuczyla ci ława przysięgłych — załagodziłem prezesa; siedziałeś smutny jak sowa, — sprawilem, żeś tańczył i śmiał się ochoczo. No i za to wszystko jeszcze burczysz! Wymagający jesteś, Agricolo! Muszę to Mysze powiedzieć!

Na to imię obywatel poczerwieniał, nie wiadomo — z gniewu czy z przyjemności.

— Ale w tych wszystkich obietnicach nie było mowy, że

za twą także pomocą i współudziałem sfiksuję i oświadczę się jak błazen! — wybuchnął.

— No nie. Tego wprowadzie stanowczo nie obiecywałem, ale w duchu pieściłem zamiar! Kiedy się stał faktem, to teraz darowuję ci go gratis, tak sobie, nad program.

— Nad program! — powtórzył obywatel ze złością. — Cały program twój niby coś wart bez tego.

— Morderstwo! — dokończył inżynier wesoło. — Chwała Bogu, że twoja szczerość przedarła pancierz skrupułów. Co? bracie! Na to „nad program” postawimy dzisiaj wagę ponczyku i przyznasz mi talent do dyplomacji! Co?

Ostatnia chmura rozwiąła się na czole obywatela. Uśmiechnął się i podał koledze prawicę.

— Przyznać, to przyznam, co chcesz, i dziękuję ci, ale ponczu pić nie będę, Jutro trzeba do domu wracać i myśleć o przyszłości; więc dziś wieczorem pójdę do niej. No, no, to twoje „nad program” odrzuciło mnie o sto mil od wczorajszej ścieżki życiowej! No, lak Bóg da!

HISTORIA O BIAŁYM WOLE

— *En avant! Tour de mains! Chasne! Passez, s'il vous plait!* W salonie wiejskiego dworu przesuwało się w kadrylu par ośm czy dziesięć przy dźwiękach muzyki fortepianowej, która wydzieriała się przez drzwi i okna szeroko rozwarte, i napełniała noc czerwcową skocznymi tonami tańców.

Stary nauczyciel i niemłoda rezydentka grali od ucha na cztery ręce, pobudzając samych siebie ciągłym gderaniem; prowadzący tańce wachlował się fularem*; dzieci wpadały czasem między pary i umykały do ogrodu zburczane; starsi tworzyli galerię i gawędząc, przyglądali się zabawie.

Z ogrodu wpadały kłęby letnich woni pól i łąk i smugi blasków księżycowych.

Był to wieczorek sąsiedzki, bez świetnych toalet i przepychu, ale ożywiony szczerą ochotą i dobrą znajomością całego towarzystwa.

— *Balancez! Passez! Chassé-croisé!* — wołał kierownik tańca, sam dając dobry przykład.

Mijał w tańcu panienkę czarnooką, zgrabną, uśmiechnął się do niej.

— Ej, Antosiu, nie bądź tak roztargniona! Zdradzasz się, kuzyneczko i tracisz opinią pierwszej naszej tancerki.

— Nie umiesz kierować, wdałeś się w nie swoje! — odparła w przelocie.

— I ja widzę, że dzisiejsza nasza solenizantka nie w humorze! — rzekł jej tancerz wesoło.

* fular — chustka na szyję z cienkiej tkaniny jedwabnej.

Dziewczyna spod grzywki spojrzała gniewnie.

— A ja widzę, że pan niedowcipny! Wszyscy mi to powtarzają, jakby się zmówili. Niczego mi nie brak, mogę zaręczyć.

Taniec ich rozdzielił. Mijali się znowu z kuzynkiem.

— Wierzę, wierzę, że gdy kto inny kieruje tańcem, (wiemy kto), to się nigdy nie mylisz. Ale za to dzisiaj czerwienię się co chwila za ciebie.

— Jesteś nieznośny, nudny, szkaradny!

— *Rondo!* — zakomenderował z zapalem oskarżony.

Jasna sukienka Antosi i czerwone maki w kruczym warkoczcu migały to tu, to tam. U fortepianu wynikła gorętsza sprzeczka.

— Czemu panna Leokadia taktu nie trzyma?

— To pan Emeryk leci jak opętany.

— Ja tylko gram z życiem, a panna Leokadia i na fortepianie chimery pokazuje.

— Z życiem, z życiem! Cha, cha! Ma się pan Emeryk z czym chwalić!

W tej chwili za fortepianem, we drzwiach od sali, stanął młody człowiek spiesznie nakładający białe rękawiczki. Wzrokiem objął tańczących, czarny warkocz i maki oczyma przeprowadził, i wszedł do salonu, zdążając ku krzesłu gospodyni domu.

Kontredans kończył się szaloną galopadą. Pary wirowały, tworząc barwną mozaikę różnokolorowych strojów.

Nauczyciel i panna Leokadia dokazywali cudów pośpiechu i umilkli z konieczności.

— *Promenade!* — zakomenderował ochryłym głosem prowadzący tany.

Obejrzał się z uśmiechem do następnej pary.

— Widzisz, Antosiu! — rzekł — oto jest mój następca. Oddam mu berło z przyjemnością na resztę wieczoru. Witamy pana Franciszka! Czemu tak późno?

Zagadnięty stał przy zimnym kaflowym piecu i skłonił się w milczeniu.

Antosia patrzyła w przeciwną stronę, może dlatego, by ukryć ognisty rumieniec i radosny błysk oczu.

— *Saluez vos dames!** — zakończył kuzynek, łącząc czyn z wyrazami i oddychając głęboko.

Pan Emeryk i panna Leokadia otrzymali też podziękowanie za trudy, i zemknęli do jadalni pokrzepić stargane siły.

Młodzież wysypała się do ogrodu ze śmiechem i żartami; starzy raczyli się roznoszoną herbatą.

Młodzieniec u pieca stał chwilę, jakby się wahał i lękał; potem śmiało podszedł do Antosi, która przebiegła z jakimś rozkazem do jadalni.

— Przynoszę swoje, choć spóźnione, życzenia! — zagaił rozmowę idąc za nią.

— Nie warto było się fatygować. Już północ dawno minęła. Mógł pan odłożyć przybycie do przyszłego roku. Dziś mamy świętego Bazylego, jeśli tylko dobrze pamiętam!

— Nie mogłem wcześniej!

— Doprawdy? Miał pan może inną solenizantkę?

— Siedziałem w domu.

— Więc trzeba było w domu pozostać!

— Ba! żebym mógł!

— Coraz lepiej! Nie mógł pan jechać i nie mógł pozostać. Szczególna rzecz! Cóż się stało tak okropnego?

* *Saluez vos ...* (fr.) — Proszę pozdrowić swoje panie!

— Dziś z rana zbudzono mnie wieścią, że biały wół zachorował...

— Co takiego? Wół?... wół? biały wół?... Więc to bydlę wstrzymało pana w domu w dzień moich imienin! Cóż to? Apis?

— Gdybyś pani ofiarowała mi chwilkę czasu, bo to długa historia...

— O białym wole bajka! Dziękuję panu, nie ciekawam. Przepraszam, muszę wracać do gości.

— Antosiu! — szepnął z cicha błagalnie. Spiorunowała go spojrzeniem.

— Panie Franciszku, pan się zapominasz!

— Jestem pani narzeczonym!

— Trzeba było o tym pamiętać przy chorym wole. Teraz ja nie pamiętam i ostatnie wspomnienie zwracam panu.

Zdjęła z palca pierścionek z turkusem i podała mu porywczo.

Cofnął się i nie przyjął.

— Panno Antonino! Na miłość boską! cóżem zrobił tak złego? Proszę wysłuchać, a potem sądzić.

— Po takim wstępie nie ciekawam dalszego ciągu. Nie kocha mnie pan, poniewiera, żartuje. Zrywam słowo — nic przedtem nie było i nie ma!

Położyła pierścionek na stoliku w jadalni, zawróciła się i znikła.

Gonić ją? — ktoś zobaczy i porwie pierścionek; poznają; wpadnie na języki; wziąć go — to znaczy przyjąć jej odmowę; pozostać — niepodobna u stolika, na którym, na domiar nieszczęścia, stały rzędem butelki z trunkami. Młodzieniec ruchem niedoszłego samobójcy porwał się za głowę i stał jak osłupiały.

W jadalni lokaje nakrywali stoły do wieczerzy i oprócz

nieszczęśliwego narzeczonego solenizantki znajdował się pan Emeryk i panna Leokadia, obrócona do socjusza ostentacyjnie plecami.

Nauczyciel przez zęby podśpiewywał:

*Znikną twe oczki figlarne,
Pobielają włosy czarne,
A gdy zmarszczki twarz powleką,
Wówczas i chłopcy ucieka.*

Rudawy kok rezydentki zatrząsł się spazmatycznie.

— Pan Emeryk powinien godzinki z kalekami śpiewać!

— rzekła szydersko.

— Ja się ani watuję, ani boków nie przyprawiam! — odciął się zaraz.

— Ach, ja nieszczęśliwy! — jęknął pan Franciszek tak głośno że oboje antagoniści obejrzeni się na niego.

Panna Leokadia pobiegła z pomocą.

— Co to panu? Pewnie zęby bołą! Ach! widać, że pan niezdrów. Taki mizerny! Ach, Boże! Zaraz pójde, powiem pannie Antoninie! Mam krople na wacie niezawodne!

— Żebyż zęby mnie bołały! Gorzej, pani!

— Pewnie w krzyżach łamie? — wtrącił pan Emeryk podchodząc. — To na deszcz, panie...

Młodzieniec rękoma przecząco zatrzepał.

— Co mi pan deszcz prorokuje! Siano u mnie leży po dwustu kosarzach na pokosie. Jutro gromadzić miałem. Niechby gniło wreszcie, niechby wszystko przepadło — dam rady! Ale z tym co ja pocznę?...

Wskazał pierścionek na stoliku.

— Ach, Boże, awantura! — załamując ręce jęknęła rezydentka.

— Panna Antonina oddała mi pierścionek...

— Oho, ho! — pokręcił głową nauczyciel.

— Ładnych pan rzeczy nauczyłeś! — wtrąciła stara panna.

— Ja w edukacji panny Antoniny pilnowałem tylko kaligrafii!

— A ja robót kobiecych!

— Otóż to, i roboty kobiece! Nic więcej...

— Ach Boże! — wzdychał młodzieniec, sobą tylko zajęty.

Nagle strzeliła mu do głowy myśl genialna.

— Panno Leokadio, moja dobrodziejko! proszę mi dopomóc.

— Ach, panie Franciszku, ja taka przyjaciółka pańska.

— Hm, hm! W starym piecu... — zamruczał nauczyciel.

— Niech pani przyjmie w depozyt ten pierścionek. Zostawić go tu nie sposób i ot, już salon się zapelnia. Zaraz przyjdę. Proszę go schować.

Grono młodzieży wpadło do jadalni w chwili, gdy panna Leokadia ukryła sponiewierany turkus w fałdy mantylki na piersi.

— Franek! a ty tu co robisz? Z butelkami? Ładna konduita! Gdzieś siedział dzień cały? Dałbym ja tobie *Pater noster*, gdybym był panną Antoniną.

— Już pewnie dostał! Nos mu urósł na trzy cale i dalibóg ma łzy w oczach!... Co? co? jak to było?

— Dajcie mi święty spokój! Sądny dzień był u mnie dzisiaj, ledwie żyję!

— Co? licytacja, subhasta?

— At! Warn śmiech, a mnie płacz. Karbunkuł mam w oborze!

— Karbunkuł, i końmi przyjechałeś! Rozsadnik bakteryj

między nami!

— Wcale nie przyjechałem, ale przyszedłem, bo mnie na drodze konie ponosiły, pobiły bryczkę, pokaleczyły siebie, mnie i woźnicę.

— Toteż ciemiega z ciebie!

— Pewnie! Ciekawym, czy wy byście znieśli taki dzień i czybyście przybyli na imieniny wieczorem.

— No, ale cóż ci się przytrafiło?

— Kiedy bo krzyczycie wszyscy razem! Posłuchajcie, bo to długa historia. Otóż rano budzą mnie: biały wół zachorował na gorzelnii. Biegnę niespokojny, bo to najlepsza sztuka z owych dwudziestu, którem ze stepu przypędził...

— Gdzież nasza orkiestra? — zabrzmiał głos kuzynka prowadzącego tańce — gdzie Franio? Niech komenderuje! Ja mam dosyć tej muzy!

— Jeszcze tego brakło! — oburzył się pan Franciszek. — Jestem zbity, zmordowany i wcale tańczyć nie myślę. Dyryguj sobie, mój drogi, a mnie dajcie na dziś spokój.

— Cha, cha, cha! Oberwałeś od Antosi, i słusznie. Biedna dziewczyna cały dzień wygląda i pewnie płacze po kątach. No, zapłacisz drogo za jej łzy i zawód!

— Jużem zapłacił! — zamruczał pan Franciszek.

— Panno Leokadio, panie Emeryku, proszę walczyka!

— Będziemy grali *Hommage* — zawołała panna.

— Wcale nie! Zagramy *Eldorado* — upierał się guwerner.

— Ani myślę.

— I ja ani myślę.

Certowali się, rozkładając to *Hommage*, to *Eldorado* na pulpicie. Kuzynek przyskoczył.

— Moi państwo, proszę o *Cygańskiego barona!*

Oboje spojrzeli na siebie tryumfująco i uderzyli szumny akord. Pan Franciszek, pozostawiony sobie, wszedł za innymi do salonu.

Tam, we drzwiach od ogrodu, rozmawiając z kimś niewidzialnym na ganku, stała ona — okrutna...

O kobiety! Zamiast litości, wysłuchania biedy i słowa otuchy, ot co dostał! Zerwała i mówiła, że między nimi wszystko skończone. To przechodziło granice.

Więc to nic, że się kochali od lat czterech? więc to nic, że przed półrokiem, gdy jej wyznał miłość, odpowiedziała, iż bez niego życia nie pojmuje? więc to nic, że gdy mu dawała pierścionek, on ją do serca przytulił? więc to nic, że pewnego razu pozwoliła mu się ucałować i nazwała „Franiem” cichutko? To nic! Między nimi wszystko skończone! Nie czuła się związaną, mogła o lada co rzucać pierścionek i kiedy on rozpaczał, mogła rozmawiać swobodnie z kimś na ganku! Pewnie ten hrabia przybłąda, który jej przywoził francuskie książki.

To przechodzi granice! Pójdzie i zrobi awanturę. Powie jej wszystko!

— Franiu, nie poznaję ciebie, mój chłopcze! — ktoś mu huknął nad uchem.

Podsłoczył przerażony i uściskał, jak ojca, ojca Antosi. Ten się nad nim ulituje.

— Ach, panie marszałku! — westchnął — tyle mię niepowodzeń opadło, że zupełnie jestem przygnębiony.

— Ho, ho! Nie godzi się desperować młodemu. Cóż tam! Nie grad, nie pożar, nie choroba? Reszta fraszki. Gospodarz musi być filozofem albo umrzeć!

— Zapewne; ale jeśli pan raczysz posłuchać... Na wiosnę przypędziłem sobie z Ratnego dwadzieścia wołów na zimę do gorzelni...

— Dobrześ zrobił, dobrze. Moja rada była! Tymczasem, darujesz, darujesz, muszę wracać do winta. Baw się, baw chłopcze!

I odszedł w stronę gabinetu, gdzie przy zielonych stołach rozlegało się ciągle: „Dwa karo, trzy pik, trzy bez atu!”

Walc ogarnął szalem młodzież. Wszystkie pary wirowały, tylko Antosia ciągle rozmawiała z kimś niewidzialnym. Pan Franciszek, potrącany przez tańczących, sterował swą nawę w tamtą stronę.

Panna Antonina nie widziała go, czy udawała, że nie widzi. Stał o krok od niej i słyszał, jak mówiła do kogoś na ganku:

— Żółta *Maréchal Neel* przecierpiała tej zimy. Nie wiem, czy znajdzie proboszcz dobre pędy do oczkowania.

Aha, był to więc ksiądz proboszcz, bliski sąsiad dworu. Pan Franciszek odetchnął.

Ktoś się zbliżył prosząc o taniec.

— Zmęczona jestem! — odparła przecząco.

— Wówczas pan Franciszek odważył się przystąpić.

— Pani stoi na takim przeciągu! — zauważył.

— Więc cóż?

— Może się pani przeziębic!

— Wszystko mi jedno!

— Może mi pani daruje walczyka? — poprosił pomimo potłuczenia i zmordowania.

— Zmęczona jestem. Nie tańczę.

Młody blondyn uczesany z grzywką, z angielskimi faworytami, z szapoklakiem pod ręką, szkiełkiem w oku i w bucikach zadartych jak czółna zgiął się przed nią w ukłonie, co się nazywa *chic*.

— *Mademoiselle, faites moi l'honneur d'une valse!** —
zapiszczał szepleniąc i połykając po trzy litery.

Schyliła główkę, podała rękę prawą, lewą złożyła mu na ramieniu i wir ich porwał.

— Bodajes się udławił swą hrabiowską koroną, pawianie!

— zaburczał młody szlachcic dysząc ze wściekłości.

Panna Antonina skończywszy taniec usiadła w pobliżu fortepianu. Hrabia z nią rozmawiał. Nieszczęsny narzeczony jak duch pokutujący posunął się za nią.

Z imienin tych obiecywał sobie tysiąc rozkoszy, a przyjaznego słowa doczekać się nie mógł. Czuł, że wygląda śmiesznie, lecz stanął znowu obok niej i milczał gryząc wąsy.

Przeczekał hrabiego i znowu zagaił rozmowę:

— Nie była pani zmęczoną dla tego faceta?

— Może się pan postarać o estetyczniejszy dobór wyrażeń?

— Pozawczoraj pani go tak samo nazwała.

— Co mnie wolno, to panu nie. Zresztą przez ten czas hrabia wiele zyskał.

— Czy tyle, com ja utracił?

— Czy pan myśli o białym wole? Z hrabią nie rozmawiamy o tego rodzaju przedmiotach. Nie jestem poinformowana o stanie jego inwentarza.

— W każdym razie to, com ja stracił, moje było i nie będzie niczyje. A hrabiemu wara.

Na czoło wybiegły mu żyły i oczy dziko błysnęły.

— Proszę pani o taniec.

— Nie jestem w humorze tańczenia z panem.

* *Mademoiselle...* (fr.) — o, proszę mi uczynić ten zaszczyt i zatańczyć ze mną walca!

— A więc z nikim!

— Owszem, z kim mi się podoba.

— Zobaczymy!

Zacięła usta i wyzywała go do walki. Kuzynek podbiegł walcząc.

— Władkowi dwa *toury*! — zawołał błagalnie.

— I owszem! — odparła.

Odrącony cofnął się do drzwi jadalni i ponury, nasrożony, obmyślał zemstę. U fortepianu wynikła nowa sprzeczka.

— Panna Leokadia więcej na kawalerów zerka niż na bemole! A jest trzy: „*be*”, „*es*” i „*as*”!

— Zerkam czy nie, ale grać umiem. A bez mojej pomocy pan Emeryk grałby kotom do tańca, a nie w salonie! Myśli pan pedałem swe fałszy zagłuszyć.

Zdyszany, spotniały kuzynek Władek podbiegł ku grającym:

— Dziękujemy państwu. Trochę odetchniemy.

Muzyka ucichła. Roznoszono chłodniki, młodzież krzepiła się winem i papierosami. Guwernera poczęstował Franciszek cygarem i wyszli razem na podwórze. Panna Leokadia krążyła przy bufecie.

Antosia pomimo tańców była blada i dziwnie pustym wydawał się jej dzisiejszy wieczór i zabawa.

Tak wiele sobie obiecywała w tym dniu, a doznała tylko zawodu, gniewu i niesmaku.

Skorzystała z chwili, że na nią nikt nie zwracał uwagi, i pobiegła w głąb domu, do swego panieńskiego pokoiku. Nikogo nie było, bo za kogoś obcego nie liczyła Zośki pokojówki krzątającej się przy toalecie.

Upadła na łóżko i ukrywszy głowę w poduszkach, gryzła usta i ciężko dyszała. Okropnie jej się chciało zapłakać nad

swą dolą nieszczęśliwą, samotną.

— Proszę panienki! — zapiszczała Zośka — panienka wie, jakie nieszczęście u naszego pana młodego w Warkach?

Antosia podniosła głowę. Chciała gniewnie przerwać rozmowę o tym przedmiocie, ale ciekawość i niepokój przemogły.

— Co takiego?

— Jakaś paskudna choroba wpadła do obory. Karbunek, mówią. Pokotem bydło leży. Ale to nic. Dziś rano w studni znaleźli topielca. Jakaś baba nieznajoma. Sąd był, urzędniki, gwałt okropny. Mówił mi Stefan lokaj, co przyszedł z panem. Ale to jeszcze nic! O południu las się zapalił. Wszyscy tam polecili ratować, drzewa rąbali, kopali rowy. Pan zemdłał od dymu, posmalił się okropnie, aż tu przybiegają do dworu, że pies wściekł się i owczarza pokąsał. Tak pan konno poleciał i sam psa zastrzelił, i znowu do pożaru wrócił. Gasili do nocy i choć jeszcze tłało miejscami, pan zaczął się ubierać i kazał zaprzęgać. Tak mówi Stefan, że w ustach nic nie miał dzień cały i tylko krzyczał: „Prędeż, prędeż!” Więc założyli konie, pan siadł i Stefan, i pojechali. Wyjechali na groblę za wieś, aż tu coś leży na drodze. Konie się zlekły i poniosły. Bryczki tylko kawałki zostały i furman się pokaleczył; pan i Stefan tylko się potłukli, padając...

Antosia słuchała coraz ciekawiej. Żałość jej i ubolewanie nad własną niedolą poszły w ką; zerwała się żywo, poprawiła włosy, otarła oczy i nie czekając zakończenia opowieści pobiegła do salonu.

— Władku, gdzie pan Franciszek? — zawołała niespokojnie, zwracając się do kuzynka zajądającego lody.

— Franio? pewnie niedaleko ciebie.

— Czy wiesz, że u niego karbunkuł, pożar i że go konie potłukły?

— Ano to może stawia sobie bańki w oficynie...

— Ach, jakiś ty nieznośny!

— Nie, tylko nie zakochany. Każesz może swej zguby poszukać? Służę!

— Nie, nie, dziękuję.

Obejrzała się po salonie, ale oprócz starszych, zajętych łakociami i gawędką, nikogo nie było.

Trzeba zobaczyć, czy wziął pierścionek.

Zajrzała do jadalni na stół i natknęła się na guwernera wachającego po kolei wszystkie butelki. Przestraszyli się wzajemnie.

— Ach, to pan! Nie widział pan tu mego pierścionka? Zgubiłam go...

— Zły omen, zły! Może kto schował. Widziałem, że panna Leokadia myszkowała koło likierów.

— A nie widział pan mego narzeczonego?

— Bardzo niezdrów. Mówił, że zaraz odjedzie. Kolki ma w piersiach, nieborak. Słyszę, wypadek...

Nie słuchała dalej i pobieгла. Co to będzie, jeżeli już odjechał? Ach, Boże? Boże!

We drzwiach od ogrodu spotkała całą młodzież powracającą z przechadzki. Władek z talerzykiem lodów w jednej ręce, a fularem w drugiej uwijał się wśród nich jak fryga.

— Masz parę? Czy pani tańczy? Kto *vis à vis*? — pytał zastępując każdemu drogę. — Antosiu, gdzie biegniesz? z kim tańczysz? Zaraz mazur? — zawołał za nią.

— Dobrze, dobrze! — rzuciła nie słuchając i zniknęła w ogrodzie.

— Gdzie nasza orkiestra? — miotał się dyrygent.

— Jestem! — odpowiedział sam tylko guwerner, rumiany, uśmiechnięty, z nienaturalnym blaskiem oczu.

— A panna Leokadia?

— Gdzieś pewnie *lasuje* słodycze!

— Ach! — wyrzucił z siebie udręczony Włodek padając na krzesło i załamując ręce. — Była orkiestra, nie było tańczących. Zebrałem tańczących, rozprzegła się orkiestra! Ciężka to robota, moja rola! Ten obmierzły Franciszek wykierował mnie z pyszna! Anim zjadł, anim się zabawił, nawet trzech słów z Marynią nie zamieniłem. Jak koń na deptaku!

— Włodek, po coś nas wołał? Zaczynajmy tedy! — wołali panowie.

— Zaczynajmy! — przedrzeźniał ich w złości. — Nie ma znowu panny Leokadii.

— Ty bo nie umiesz dać sobie rady.

— To dyrygujcie sami! — zaburczał zakładając ręce po na—poleońsku i ruszając uparcie ramionami.

— Trzeba poprosić Frania! On umie rygor trzymać, jak w wojsku.

Frania nie było. Antosia obiegła ogród i wróciła zadyszana. Zajrzała do gabinetu graczy i zanurzyła się odważnie w kłęby dymu, szukając ojca. Zle trafiła. Marszałek został bez czterech na trzy karo i piorunował:

— Mózwię bez atu po pasie! Pan mi mówi dwa karo — co to? kolor? — króla syngieltona mi pan pokazuje. Pasuję, pan powiada: dwa bez atu, gdzież drugi as? Z jednym podnosić dwa bez atu! Pierwszy raz słyszę! Licytujemy dalej... A co to? czego? A, to ty, Anosiu? Kolacja?

— Czy pan Franciszek żegnał się z papą?

— Jaki Franciszek? Aa! Nie widziałem, moje dziecko... Więc licytujemy dalej i pan mi podnosi trzy piki, mając

waleta czwartego! Awantura! oszukaństwo, rozbój na gładkiej drodze!

Antosia wynurzyła się jak meteor w salonie. Hrabia na nią czatował.

— *Mademoiselle*, czy mogę mieć szczęście osiągnięcia tego mazurka?

— Nie, panie! tańczę już — odparła prędko.

Kłamała. Mazurka tego nikomu nie obiecała, czekając narzeczonego. Było to dla nich drogie wspomnienie. Poznali się i pokochali przed laty na wieczorze, w mazurze właśnie. Przed godziną umyślnie chciała go tańczyć z hrabią; ale teraz co innego miała w głowie niż dokuczać biedakowi, który przez jeden dzień doznał ciosów: epizootii*, pożaru, śledztwa, wściekłego psa i pobicia przez rozszalałe konie.

— Antosiu! — zawołał na nią głos matki z jadalni. Wydała jakieś rozkazy lokajom i zaprowadziła ją na zwykłe miejsce wymówek, we framugę okna.

— Moje dziecko, bardzo dziś jesteś roztrzepana i nieuważna. Prezydentowej nie przywitałaś nawet; ciotce rozdarłaś koronkę; panienki zaniedbujesz; wcale się nie zajmujesz gośćmi; nigdzie ciebie nie widać poza tańcami w salonie! Nie rozumiem, co ci się dziś stało. Zajmij się kolacją, zobacz, czy w gościnnych pokojach wszystko w porządku, i nie chowaj się po kątach. *C'est du plus mauvais genre!**

— Proszę mamy, czy Franio żegnał się z mamą?

— Franio?... Antosiu, co za familiarność! *Mais ma*

* epizootia (z gr.) — masowe występowanie na określonym terenie i w określonym czasie zachorowań zwierząt na chorobę zakaźną.

* *C'est du ...* (fr.) — To w złym guście!

*chere enfant!** do czegoż to podobne!

— Pomyliłam się, mamusiu. Nigdzie go nie widać.

— Ależ moje dziecko, czyż to wypada, żebyś go szukała? Doprawdy, martwisz mnie i przerażasz! *Quelle tenue!** Co o tobie pomyśli prezydentowa, ciotki! Zlituj się. I Franio!... Jak ci coś podobnego może przejść przez usta. Pan Willimowicz, nigdy inaczej! Ja przed ślubem nie znałam imienia twego ojca, nie widziałam go nigdy poza salonem. A ty!... *Cest de la dernière inconvenance.**

— Dobrze mamo, dobrze! Ale Frań... ale pana Willimowicza konie dziś potłukły i nie mogę go znaleźć!

— Proszę jaśnie pani, czy mrozić szampan? — spytał, zbliżając się, lokaj.

Antosia skorzystała z tej przerwy i skoczyła do sieni, a z sieni na ganek od dziedzińca. Obejrzała się — było pusto i głucho.

— Panie Willimowicz! — zawołała głośno.

Milczenie. Włoskie topole szemrały delikatnie w słabym przeciągu balsamicznego powietrza.

— Panie Franciszku! — powtórzyła ciszej. Również żadnego skutku.

W domu huczało jak rój pszczół; za dziedzińcem na łąkach uderzył derkacz parę monotonnych akordów i żaby z dała w dwa chóry podtrzymywały pieśń czerwcową.

Antosia obejrzała się trwożnie, czy kto nie podsłuchuje.

— Franiu! — szepnęła ciszej jeszcze niż szmer topoli.

— Co pani rozkaże? — odparł posepny głos zza słupa podjazdu i poszukiwany stanął przed nią.

* Mais... (fr.) — Ależ moje drogie dziecko!

* Quelle tenue... (fr.) — za zachowanie!

* Cest de la dernière... (fr.) — To w największym stopniu niewłaściwe.

Przeraziła się okropnie wobec niespodzianego skutku i poczerwieniała jak maki w warkoczu. Na razie nie wiedziała co mu powiedzieć.

— Ja nic... myślałam, że pana nie ma!... Szukają pana do mazura.

— Daruje pani — rzekł sztywno — ale nie mogę zostać, posłałem po konie na wieś i zaraz odjeżdżam.

— Pan niezdrów?

— Dziękuję pani za troskliwość. Nic mi nie jest.

Stali naprzeciw siebie bardzo etykietalnie, ale Antosia nie mogła się już dłużej pohamować.

— Bardzo się pan gniewa na mnie! — szepnęła błagalnie, pochylając się ku niemu ruchem pieśzczotliwej kotki.

— Nie, pani, nie potrafię się na panią gniewać! — odparł, a żal i uraza topniały mu na twarzy.

— Niech pan się gniewa, krzyczy, nogami tupie. Ma pan prawo i rację. Taki mam obrzydliwy charakter. Nie mogłam wytrzymać! Tak czekałam, tak tęskniłam, tak płakałam. A pana nie było i nie było! Bardzo się pan gniewasz, nieprawdaż? Ale już nigdy taką nie będę — nigdy, zobaczysz pan. Proszę się nie gniewać.

Nic nie rzekł, tylko jej ręce wziął w swoje i pociągnął ją bliżej ku sobie.

— Nic oprócz miłości czuć nie potrafię — szepnęła. Przygarnęła mu się do piersi i podniosła uśmiechnięte, promienne oczy.

— Teraz mi opowiesz wszystko o tym białym wole, wszystko! Będę słuchała godzinę, dwie godziny, całe życie.

— Kiedy bo ja nic już teraz nie pamiętam.

— To ja ci powiem. Miałeś strat tysiące i pożar, nic nie jadłeś, konie cię uniosły i pobiły — no i masz szkaradną

narzeczoną, która ciebie nie pożałowała nawet.

— Nie pożałowała, wołając mię przed chwilą?

— Cicho! Mama mnie strasznie wy gderała.

— To powtórz raz jeszcze.

— Śliczna nauka. Nigdy już tak nie powiem.

Wyzyskiwałeś mój niepokój i troskę...

— Czekałem tylko, czy serce co powie?

— I mazura tańczyć nie będziesz?

— Nie, bo ty mi odmówiłaś.

— Ach Frań... ach, panie Willimowicz!

— Otóż i moje konie zajeżdżają.

— Odpraw, odpraw! Ja muszę wracać do salonu.

Prezydentowa, ciotki! Ach, mój Boże, co mama powie!

Odpraw konie i przychodź! Toż przecie nasz mazur!

— Panie Willimowicz? — spytał zatrzymując ją.

— Franiu!... — szepnęła, skinęła zalotnie głową i pobieгла do domu.

Kuzynek Władek siedział w jadalni i śmiał się homerycznie.

— Wiesz, Antosiu — zawołał — zginął Franio i panna Leokadia. Co ty myślisz o tym?

— Nic nie myślę. Idę bawić prezydentową.

Zaledwie usiadła, ujrzała, jak u fortepianu poruszyła się młodzież. Gdzieś jak spod ziemi wynurzyła się rezydentka, za nią guwerner, a w progu ukazał się pan Franciszek.

— Panowie, proszę do mazura! — zawołał donośnie. — Ognistego, jeśli łaska! — rzucił ku grającym takim tonem stanowczym, że bez certowania i sprzeczki uderzyli zgodnie żart—kiego mazura.

Zrobił się ruch gorączkowy, chwilowy zamęt i nareszcie wyrwała się naprzód para narzeczonych, a za nią długi wąż tańczących.

Od fortepianu brzmiała znana nuta:

*Nienawidzę was, próżniaki,
Których życiem fałsz i plotka.*

— Pamiętasz, przed czterema laty? — szepnął pan Franciszek.

— Będę pamiętała naszego mazura do śmierci! — odparła z uśmiechem.

Pierścionek z turkusem miała już na palcu, wsunął go jej w tańcu. Bawiła się teraz z całego serca.

— Antosiu! — zabrzmiał gdzieś za nią żartobliwy głos kuzynka Władka — a znasz bajkę o białym wole?

— I ja znam, i ty znasz, i wszyscy, sędzę, znają! — rzuciła przez ramię.

— I już się nie mylisz w tańcu! Chwała Bogu!

— Stoi wyraźnie *da capo**, a pan Emeryk ani dba! — wszczął się spór przy fortepianie.

— *Al fine, al fine!** Panna Leokadia nie wie, co to *al fine!* Winszuję.

— Szlem w piki! — wpadło, jak bomba, z pokoju graczy.

— Odbijanego z życiem!...

— Pedaly! Pedaly! Jezus Maria! Co pan wyrabia! Czy u pana życie w pedałach?

— Co mi tam będzie panna Leokadia o życiu mówiła! Ślepy o kolorach!

— Koło! — zabrzmiała komenda.

Gorączka tańca ogarniała wszystkich. W szalonym tempie migały stroje i ożywione twarze.

* *da capo* (wł.) — od początku.

* *al fine* (wł.) — do końca

— Ach, jak to ładnie! — westchnęła panna Leokadia.

— Proszę wiolinu dobrze pilnować, bo ja za dwoje nie wystarczę — zakrzyczał guwerner, miotając się na krześle w paroksyzmie trudnych oktaw...

— Bez dwóch! — jęknął ktoś desperacko w pokoju graczy. Był to ostatni dysonans tego wieczoru.

FILANTROP

— Mój łaskawco, chcesz mnie wyciągnąć z domu do siebie na wigilią... po co? żebym się rozchorował? Może potem zechcesz, abym szedł z wami na pasterkę i żeby mnie tam okradli! Lari-fari, mój drogi! Już mi się to raz zdarzyło, ostatni raz, kiedy tradycyjnie spędzałem dzisiejszy wieczór. Nie wczoraj, lat temu dziesięć. Od tej pory dałem za wygraną trzem rzeczom: filantropii, poszanowaniu tradycji i nocnym nabożeństwom, czyli: nie czynię nikomu dobrze, nie jem ryby na sianie i nie chodzę na pasterkę. Śmiejesz się? To wcale nie zabawne, to głupie.

— Cóż to? Okradli szanownego pana?

— Gorzej, bo oszukali!

— Ej że! pana? Chyba ładna kobieta?

— Bredzisz! Po pierwsze: jak ognia zawsze bałem się kobiet, a po drugie: jeśli mężczyznę oszuka kobieta, ano, to choć najlepszy jego przyjaciel przez życzliwość, a znajomi przez grzeczność powiedzą, że on nieszczęśliwy; ale gdy dojrzałego mężczyznę oszuka dziecko, no, to rzecz skończona, on jest głupi! Co?

— Więc pan dobrodziej miał dziecko?

— Jakie gadanie! Żebym je miał, toby mnie dawno zagryzła, nie wspominając o żonie, która by mnie zrujnowała. Nie, nie! Nie miałem nigdy nikogo. Może bym miał, ale właśnie ów wypadek uleczył mnie raz na zawsze od wszelkich tęsknot i serdeczności! Było to tak, jakem mówił, przed dziesięciu laty:

Stół zasłany, ogień na kominie, zapach różnych smacznych rzeczy z kuchni mnie zalatywał. Wtem coś, ktoś

do drzwi się skrobie. Służba była zajęta, idę sam otworzyć.

Przede mną stoi dziecko, chłopiec, obdarty, zziębły, bosi i płacze.

„Czegoś tu?”

„Sierota! kawałeczek chleba, zimno!” bełkoce.

Ano zimno, prawda: mróz dochodził dwudziestu stopni.

„Gdzież twój ojciec!” pytam myśląc, że się zmiesza.

„Nie ma, umarł!”

„A matka?”

„Nie ma, umarła”. Bez kwestii, mówi prawdę. Byłem wtedy filantropem.

Wystaw sobie, mój łaskawco, zaprosiłem tego brudasa do siebie, a ponieważ służba wciąż była zajęta, sam go umyłem, uczesałem, dałem swoje nowe kamasze (były wprawdzie za wielkie), swój surdut (mógł mu służyć w potrzebie za namiot), no i wszystko inne na wyrost obmyślane. Takem się sprawił, że nim lokaj oznajmił wieczerzę, ten błazen wyglądał jak mysz w płaszczu, no, ale szykownie, i zasiadł naprzeciw mnie za stołem.

Jak on jadł, mój łaskawco! za trzech, nie! za siedmiu. Co nie zjadł, to oczyma pożerał, a ręce i oczy to mu biegaly łapczywie, jakby i do kieszeni chciał resztę schować.

Może i ja, na taki apetyt patrząc, zbytnio przeładowałem żołądek, a może niesłusznie siebie oskarżam. To ten łotr był wszystkim winien.

Po wieczerzy zaczynam śledztwo.

„Gdzież mieszkasz?”

„Gdzie się trafi!”

„Co robisz?”

„Nic! Za małym! Wałęsam się koło rzeki”.

„To źle. Dla małego są małe roboty. Zaproteguję cię do szewca Zadorskiego!”

„Dziękuję, mój złoty panie”.

„A teraz się zbieraj. Pójdziemy na pasterkę. Przenocujesz u mnie przez święta”.

Poszliśmy. Włożyłem na siebie palto, do kieszeni portmonetkę, na wierzch niedźwiedzie i poszliśmy.

W bramie spotykamy szopkarzy.

Chłopcu, jak budę zobaczył, stanęły świece w oczach, zagapił się i przyzostał. „Cóż tam!” wołam.

„Mój złoty panie!” powiada, „żeby mi taki domek na własność, tobym teatr robił!” „Głupiś!” burknąłem.

Zamilkł i już cichutko zaszedł do kościoła. Tam, jak wiadomo, ścisk, zaduch, oprócz najbliższych karków nic nie widać.

Stoję blisko kruchty, chłopiec obok. A wtem, gdy nas bardzo ścisnęli, czuję rękę popod niedźwiedziami w kieszeni. Chwytam za rękaw, ciągnę do siebie, złodziej do siebie.

Aż tu drze się materiał rękawa, zostaje mi w rękę kawałek, a znika ręka, złodziej i portmonetka. Masz sobie!

Patrzę za łotrem, chłopca nie ma; podnoszę do oczu szmatek: mój surdut!

A tu tłok, ani się obrócić!

Zaraz mnie wtedy chwyciły boleści!

Doktorowie dowodzili, że to niestrawność i gastrycyzm, ale co oni wiedzą!

Ja ci mówię, że to było rozlanie żółci i atak na wątrobę — z irytacji, ze wstydu i z zawodu!

Mówiłem ci przecie, że wtedy byłem filantropem, to dokładnie rzecz maluje.

Mogła mnie apopleksja ubić, a jeszcze bym się nie dziwił.

Straciłem tedy ogólnie na tej sprawie: garnitur wcale

niezły — trzydzieści rubli; kamasze — siedem rubli; portmonetkę, a w niej piętnaście rubli; honorarium doktorów — pięćdziesiąt rubli; lekarstwa — dwanaście rubli; drobne kosza, jako: felczery, dorożki, dozorcynie — trzydzieści rubli; summa summarum: sto czterdzieści cztery ruble, że nie wspomnę już o kopiejkach, chociaż z pewnością były! Nie powiem nic nadto, bo to dosyć!

Teraz idź mój łaskawco! Widzę, że ci spieszo do tej ryby i nabożeństwa, a tu cię zatrzymałem niepotrzebnie. Nie śmiejesz się? A co? Przyznajesz, że to nie zabawne, ale głupie!

— Przyznaję, że to smutne!

— Gadaj zdrow! Wiem, że przez grzeczność omijasz najśluszniesze określenie. No, no, nic nie szkodzi... Szczęśliwych świąt! Wpadnę do was, gdy zaczniecie jeść po ludzku. Adieu!

Przyjaciel odszedł.

W mieszkaniu zrobiło się cicho. Żadnych szczególnych przygotowań, żadnych uroczystości.

Gospodarz czytał, póki stało krótkiego, grudniowego dnia; potem przechadzał się po bogatych, pustych pokojach; wreszcie w gabinecie u okna siadł wygodnie w fotelu i zadrzemał, ukołysany zmierzchem.

Służba skupiła się w kuchni i dopiero skończywszy swą ucztę, zapaliła lampy i podała panu przybory do wieczornej herbaty.

Potem uwolnili się wszyscy na wieczór i zostawili go samego wśród dostatków i ciszy. Co miał robić wieczorem? Gazety nie było, wista nigdzie nie znajdzie. Będzie drzemał. Drzemał tedy. Kiwał się naprzód i w tył, potem dla różnaitości z boku na bok, wreszcie zaczął wtórować ruchom delikatnym chrapaniem. Śniły mu się

nawet różne rzeczy, a w końcu, że ktoś do drzwi skrobie.

Przypomnienie tamtego tragicznego skrobienia tak go poruszyło, że aż się zbudził.

Pierwszym wyraźnym uczuciem była wilgoć na brodzie; musiał ją ścierać, umoczyć w nie dopitej filiżance herbaty.

Drugim wyraźnym uczuciem był rzeczywisty hałas u drzwi: ktoś z lekka pukał. Zupełnie jak wtedy, nieśmiało, nie używając dzwonka.

Wstał, już z daleka zaczynając wymyślać:

„Obieżyświaty, urwipolcie, bosochody! Niech no który się teraz pokaże!”

Jedną ręką ujął bambus, drugą drzwi otworzył. Przed nim stał młody chłopak z szopką na plecach, a latarką w ręku.

Staremu na ten widok groziło ponowne rozlanie się żółci i atak na wątrobę.

„Czego, ty hultaju! Wynoś się prędko! Tutaj nie ma kucharek, dzieci i próżniaków! Precz!”

Ale chłopak na jego widok skrzynkę swą prędko z pleców zrzucił, latarkę postawił, a sam jak długi do nóg mu padł.

„A to co za komedia! Aha! chcesz mnie zdurzyć, wkraść się do przedpokoju i ściągnąć może niedźwiedzie tym razem! Już ja was znam. Miałem już takiego, co mi wziął garnitur, buty i portmonetkę!”

Chłopak trochę się podniósł. Nos miał umazany czernidłem od butów. Snadź aktu pokory nie spełniał powierzchownie.

„To ja, panie!” rzekł.

„Co? ty!”

„Ja, panie, ukradłem, ale tylko pieniądze. Garnitur dał mi pan i resztę.”

Stary z wrażenia umilkł, a chłopiec trochę śmieiej dalej ciągnął:

„Było w portmonetce 15 rubli i 27 kopiejek”.

Stary wtedy wybuchnął:

„Łotrze! śmiesz jeszcze drwić z mojej łatwowierności! ... Umykaj, bo jak jeszcze słowo piśniesz, każe cię do cyrkułu odstawić! A bezwstydnik jeden! W oczy się do złodziejstwa przyznaje. Może myślisz, że ja jeszcze filantrop? już nie, dzięki tobie”.

„Proszę pana, kiedy ja ich odnoszę!”

„Co za »ich«,! ”

„Pieniądze, com ukradł?”

Naprawdę odniósł — i podawał mu je w otwartej portmonetce — tej samej, ukradzionej.

Łzy mu stały w oczach, dobre łzy.

Ale stary nie brał i minę miał taką, jakby go znowu „porywały boleści”.

„Proszę pana, nie te same, ale tyleż — i uczciwie zarobione. Za tamte kupiłem szopkę. Ot, tę same, co mam, i co rok obnoszę. Ale mnie to gryzło, gryzło. Zaraz wtedy po świętach rzuciłem włóczęgę; wzięli mnie do terminu do szewca; dużom biedy zaznał, ale już drugi raz cudzego nie ruszył, a ciągle myślałem tę szopkę sprzedać i panu pieniądze odnieść! Ale tak mi jej szkoda było! Więc zacząłem grosz do grosza składać, w szczelinę od podłogi, w komórce, gdzie sypiał. Już mnie na czeladnika wyzwolili, a ciągiem zbierał, i datki na piwo, i za reperacją, i za posyłki. Onegdaj dobrałem się do skrytki i obrachowawszy, wszystkie odnoszę. Niech mi pan odpuści, jak ksiądz na spowiedzi wczoraj odpuścił, gdym mu swój zamiar odkrył”.

Znowu staremu do nóg padł i płakał. A ten się cofał

jakby wystraszony.

„Co ty robisz! Czego ty chcesz! Opuścił ci ksiądz — no, no — to dobrze! Ja także. Cóż znowu? Ależ bo wstań! Dosyć tego!”

„Proszę pana, ja jeszcze coś przyniosłem!” wyjąkał chłopiec, wyciągając coś z kieszeni, co je rozdymało ogromnie. „Za te kamasze, co mi pan wtedy dał, tom ja panu parę takich uszył, że jakby chcieć, nie podrą się za trzy lata. Majster je widział i chwalił, a on człowiek wybredny! Niech panu służą zdrowo! Zakłopotany, nieśmiały, kamasze u nóg mu złożył, portmonetkę umieścił na stoliku w przedpokoju, gdzie się w skutek cofania starego znaleźli.

Wtedy odetchnął i twarz jego ospowata i blada rozpromieniła się dziecinnie.

„Kiedym grzechu zbył, pana przeprosił, to już sobie pójdę. Daj Boże panu szczęście!”

Pocałował go w rękę i odchodził, gdy się znowu namyślił. „Proszę pana”, rzekł prosząco, „a może by pan chciał moje betlejki zobaczyć! Uchowaj Boże, nie chcę datku! Tak, żeby pan zobaczył, jakie pyszne figury i jakie ja dialogi powymyślałem! Kantyczki to całe na pamięć umiem. Na zgryźliwą twarz starego wystąpił uśmiech. „Ano pokaż, błażnie!” rzekł.

Chłopak poskoczył.

Tekturowy domek znalazł się we drzwiach, zapłonęły kolorowe światełka, wystąpił czerwony Herod, czarny diabeł, biała śmierć, a potem królowie i pastuszki, Krakowiacy i Węgrzy,
Żydzi i Cyganie.

Stary wciąż patrzył, słuchał uważnie kantyczkowych dialogów i śpiewów, czasem się uśmiechał. Wreszcie

kurtyna spadła i twarz chłopca wyjrzała zza budki.

„A gdzież mnich ubogi?” zaprotestował jedyny widz.

„Ej, proszę pana, nie trzeba! To dla tych, co płacą! Pan mu dosyć dał!”

„Nic nie szkodzi. Chcę do końca widzieć! Daj mnicha, błażnie!”

Mnich przyszedł. Staruszczyk był z brodą po kolana i z workiem na piersi.

Patrzący sięgnął na stolik, podszedł bliżej i z odzyskanej portmonetki wysypał mu całą zawartość mówiąc:

„Naści, dziadku, żebyś więcej nie żebrał”.

Dziadek się przewrócił, bo ręka prowadząca go puściła. Pieniądze posypały się po scenie aż pod żłobek, pod stopy Marii i Józefa, a chłopiec znowu leżał u kolan dobroczyńcy. Ale ten już oprzytomniał.

„Co to za historia? Idź precz! Także koncept! Masz i portmonetkę! A pamiętaj nie mnie, ale księdza, bo to pewnie on cię nauczył. No, dosyć tego! Masz! Nie mam czasu błazeństwem się zajmować! Po świętach żebyś mi tu był i do majstra mię zaprowadził! A teraz ruszaj do kucharek i dzieci!”

W przedpokoju na stoliku zostały kamasze. Stary na nie chwilę popatrzał, wargi wydał, oczy zmrużył i do okna podszedł.

Za nim noc była, rozświecona na niebie gwiazdami, na ziemi secinami okien, gdzie się choinki paliły. Usta starego poruszały się, jakby coś żuł, palcami machinalnie bębnił w szybę.

Wtem na pasterkę pierwszy dzwon się ozwał, za nim drugi i trzeci.

Stary od okna odstąpił, znowu na kamasze popatrzał.

— Mnie się zdaje, że ja znowu będę filantropem — zamruczał — i konserwatystą — dodał wkładając niedźwiedzie, biorąc laskę i kapelusz.

Potem wyszedł prędko, bo dzwony rozkołysane, zda się, wołały żołnierza do chorągwi.

RYNGRAF

Mieszkali o miedzę; osieroceni wcześniej, spojeni braterstwem od pacholąt, młodzieńcami spojeni jeszcze ściślej związkiem serc, który ich miał połączyć w jedną rodzinę.

Młodszy miał babkę, spartańskich cnót kobietę, wzrosłą w chwale, dojrzałą w przewrotach, osiawiałą we łzach i krwi.

Z rodziny jej, co dębem było, padło od gromów, ognia lub niszczącej siekiery; co bluszczem, zwiędło i uszło, strawione tęsknicą, zawodem, troską beznadziejną.

On jej został. Młody i piękny, oraz siostra jego, podlotek, dojrzała nad lata gorącym a krwawym tchnieniem owego wieku.

Starszy w pustym też domu siostrę jedyną chował, co mu została jak skarb wątyły a drogi, zdany przez pomarłych rodziców.

Gotowały się gody weselne w ich sercach i domach. W jeden dzień u ołtarza stanąć mieli, w jeden dzień szczęściem zaludnić oba dwory modrzewiowe.

I oto z oddali dźwięk trąbki ich zaleciał. W kraj cały, w kąty i zakąty, dźwięk biegł z pamięcią ojców synom zrosły, w tradycji każdego serca świeży i pobudkę, wichrami gnana, niósł młodym na inne, szersze, świetniejsze gody i wesela... I oderwały kobiety od serc swoich, co miały drogiego i wstrząsnęli się młodzieńcy pod warem ojców krwi. Zerwały się młode orłęta do lotu w stare szlaki. Nikt nie jęczał, nie chępił się z ofiary. Bo naprawdę nie własna wola ich wiodła, ale wiekowe dziedzictwo, nie jak ludzie

szli, ale jak siła tajemnicza, wrażona w miliony istot jednym czarodziejskim imieniem: Bonaparte!

Tylko, gdy się żegnali, staruszka — ryngraf, co może Cecorę pamiętał, dała wnukowi i dwiema łzami go pokropiła.

— Tyś moja cała wiara i nadzieja! Kamień węgielny pod budynek spustoszonego domu naszego. Idź, a nie wracaj bez chwały i bez tego ryngrafu, co morze krwi widział, a sromu nigdy!

A narzeczona szkaplerzyk mu dała i białymi ramiony u szyi zawiesiwszy, szeptała, tłumiąc łkanie:

— O sercach, co tu pana wspominać będą, proszę pamiętać i wracać do swoich, wiernym i prawym. U Boga ja wymodłę, by was kule mijały.

A potem staruszka i tego drugiego, co miał jej wnukiem zostać, do piersi przygarnęła i głowę krzyżem znacząc, prosiła:

— Pilnuj mi Stacha i ile mocy osłaniaj. Wszystkie moje łzy on ze sobą zabiera, żeby zmasać i wszystkie radości kochania, żeby powrócić: on mi jeden, jeśli go co złego spotka, ratuj! Tyś starszy i hartowniejszy, jak ojcu ci go oddaje, odprowadź mi go chwalebny! Przysięgnij!

— Przysięgam, że wam go zwrócę takim, jakim chcecie, albo sam z nim padnę.

— Dokąd pan pójdzie i duch mój będzie, a gdzie pan padnie i memu życiu kres będzie. Nie ginie, kto umiera, ginie, kto się podli! Pan nie zginie i Stach żyw będzie! — mówiła mu narzeczona.

— Nie zginiemy! — potwierdzili uroczyście młodzi.

Siwe koniki zrywały się do biegu, a trąbka grała, grała po rozłogach, po gajach, po strugach, w sercach całej młodości. Zerwali się i oni, dosiedli wierzchowców, raz

jeszcze na strzemionach stojąc, obejrzeni swe zagrody oraz kochania i pognali do komendy, na gody! Ej, gody to były, gody!

Wszereż i wzdłuż Europy, przez piaski Brandenburgii, przez Gallów bogate ziemie, pod słońcem Italii, aż tam na śnieżne Pireneje, między winnice i granaty, stare klasztory, mauretańskie zamki i czarnookie dzieci cudnej Iberii.

* * *

W pierwszym pułku ułanów, w pierwszym szeregu szli obok siebie zawsze. Nie rozdzielało ich nic: ani trudy marszu, ani dym potyczek, ani choroba. W biwaku, po skwarze dziennym, siadali u jednego ogniska i warząc nędzny posiłek, rozmawiali o kraju, a zmorzeni trudem, usypiali obok siebie w płaszczce owinięci, głowa przy głowie, zawsze nierozłączni. U tych biwaków Stach rozweselał kolegów żartami i śpiewem; Konstanty dobył niekiedy z tłumoczek starą książkę, wytartą użyciem, i przy blasku ognia oraz jasnej nocy czytywał, poważny i surowy, żywoty Plutarcha.

Kochano Stachową żywość i swobodną pustotę, uchylano głowy przed brutusową maturą drugiego! W ogniu bitwy, gdy najeżał pułk lance i porwany wichrem gnał na baterie i piechotę, przez góry i doliny, przez winnice i rzeki, Stach czerwieniał, dyszał i szalał; Konstanty bladł, spod szerokiego czoła oczy mu się zapadały dzikim zarzewiem! Jeden, w swym zapale oślepy, kul i śmierci nie czuł i nie widział; drugi — liczył je, ale pogardzał. Jednego dnia awansowano ich na

podporuczników, a w tydzień potem — na poruczników. Tegoż dnia w opuszczonej Vencie, gdzie na noc stanęli, znaleziono ukryte wino, chleb, oliwę i mięso.

Urządzono ucztę. Stach w upojeniu radości pił i śpiewał, Konstanty przypatrywał się biesiadzie, palił fajeczkę i łagodnie się do przyjaciela uśmiechał.

Spod uchylonego munduru na piersi młodzieńca złocisty ryngraf babki przebłyskiwał, a towarzysz, w tę pamiątkę zapatrzony, miał widzenie dalekich stron i kobiet rzęch, wyczekujących z wielką wiarą ich powrotu.

Przed Ventą, gdzie starszyzna biesiadowała, biwakował pułk, rozrzucony wokoło placówki. Konie chrupały kukurydzę, przy ogniach ruszały się sylwetki szeregowców, gwarne, jak rój pszczół. Głos Stacha rozbrzmiewał daleką legionową piosenką.

Dwa czarne punkty były w tym obrazie. Na lewo namiot rannych, mieszający dysonans wycia i jęków w wesoły gwar i śpiewy, na prawo — pod słodkim kasztanem — gromadki pokaleczonych, powiązanych jeńców. Gierylasy, tłuszcza różnolita, dzika, błyskająca czarnymi ślepiami w stronę dobytých pałaszów straży.

— Porucznik Konstanty! — zawołał ordynans przez drzwi pokoju, gdzie sztab obradował.

Wezwany wstał pośpiesznie i zniknął wewnątrz domu.

— Porucznik Stanisław! Zmieniać patrole!

Piosenka się urwała. Rozległa się komenda, potem brzęk broni i miarowy kłus oddalających się koni.

Biesiada się przerwała. U ognisk milkły i osuwały się do snu sylwetki żołnierzy, tylko okno sztabu świeciło, jak gwiazda stała. Z daleka dobiegały od placówki do placówki krótkie hasła i tupot wierzchowców. Pułk „piekielny”, jak go zwali Hiszpanie, usypiał.

Gdy Stach wrócił, przyjaciel, u ognia wyciągnięty, czytał w swej wytartej książce, z jeszcze surowszym wyrazem oczu i ust.

— Coś cię spotkało nieprzyjemnego? — zagadnął Stach, rzucając się na ziemię.

Wlepione w kartę źrenice podniosły się powoli.

— Jutro o świcie kazano mi tych wszystkich ludzi rozstrzelać! — odparł spokojnie.

— Co do nogi?

Konstanty głową skinął, odłożył książkę i począł machinalnie końcem buta poprawiać płonący nawóz.

— Szkoda! Myślałem, że dłużej nam towarzyszyć będą i że nauczę się od nich trochę języka. To głupio nic nie rozumieć.

— Po co ci ta znajomość? Żołnierz, gdy rozumie przysięgę i komendę, dosyć umie!

— Mnie to bynajmniej nie wystarcza. Chciałbym umieć ich pieśni i się rozmówić na kwaterunkach. Mam nawet zdobycz: widzisz, „Don Kichota” w oryginale znalazłem na ostatniej kwaterze w Gualaho! Cóż mi z tego! Lada pastuch może mnie zawstydzić. Kiedy wrócimy do swoich, chcę się pochwalić grą na gitarze, fandangiem i mową Hidalgów. Pysznie będzie!

— Pochwalisz się krzyżem i ranami. Nie czas nam tu tańczyć i śpiewać, ale słuchać komendy i zbierać wawrzyny. Pastuch cię w tym nie zawstydzi.

— Eh, czytaj już lepiej swego Plutarcha i nie bój się o mnie! Wstydu ci nie żrebię i w tyle nie zostanę!

— Wierzę w to, jak w Boga! — odparł poważnie Konstanty. Ogień przygasł i chłód zaraźliwy ogarniał ich znużone członki.

Przysunęli się, jak zwykle, do siebie blisko, otulili się

płaszczami i usnęli, ogrzewając się wspólnie oddechem. O świcie Konstanty się zerwał. Obóz jeszcze spał. Dziesięciu ułanów wzięło między siebie jeńców i poprowadziło opodal, za ostatnie straże, między winnice.

Słońce połową tarczy wyjrzało za ziemię. Pierwszą pobudkę zagrały trąbki sygnalistów; na drodze zadudniły kopyta kuriera, pędzącego cwałem.

Przyparto więźniów do płotu. Patrzyli z osłupieniem na lufy karabinów, opadali ze zmęczenia i strachu.

— Pal! — zakomenderował porucznik.

Kanonada regularna odbiła się o dalekie góry, budząc stokrotne echa. Winne krzaki obluzgała krew, pogniotły je martwe ciała. Rozkaz był spełniony.

Gromadka jeźdźców zawróciła do obozu, gdzie nagłe rozległa się inna, pośpieszna pobudka.

— Marsz! spiesznie! — zamruczeli ułani zdziwieni.

Kurier ich znowu wyminął, na spienionym, pysznym arabisie wracał, oddawszy rozkazy. Pułk się sformował z szybkością i energią sobie właściwą. Konstanty dopadł dowódcy, zdał raport, ostrogami spiął siwego i jak wiatr pognął na swoje miejsce w pierwszym szwadronie. Oczami poszukał Stacha, skinął mu głową i ruszył z kopyta. Pułk się rozwinał, jak barwna wstęga, kamienną drogą w stronę czarnych gór. Z wyżyn tych śledziły jego ruchy dzikie oczy brygantów, zza szczelin i głązów czekały ich długie, błyszczące lufy. Sępy-gierylasy czatowali na tą krew młodą. Po godzinie marszu dosięgli wąwozu, ciasnego jak tunel, wąskiego jak czarna, złowieszczą szpara. Z góry poczęły padać strzały, echem zdwojone, groźne.

— Naprzód, dwójkami!

Pierwszy szwadron wpadł w tą przepaść, za nim nieprzerwaną falą płynęli inni. Kule gwizdały gęsto, konie

utykały na kamieniach. Siwek Konstantego, trafiony w sam grzbiet, zwałił się, jak rażony gromem. Szeregowiec podał mu luzaka. Dosiadł go i ruszył dalej, wciąż trzymając oczy niespokojnie utkwione w Stacha.

Padali ludzie i konie, zastawiano trupy i ranionych, nie zatrzymując się na jęki kolegi, na wołanie o ratunek brata. Jak deszcz teraz szły kule, dobrze kierowane. Nagle dojrzał Konstanty, że Stach się zawahał w siodle, do szyi siwego się pochylił, puścił cugle i jak dębczak podcięty zwałił się na bok z głuchym stęknięciem. Sekunda — a przyjaciel już stał nad nim i w ramiona porwał. Ujrzał pierś na wylot otwartą, twarz śmiertelnie bladą, oczy zamknięte. Żył jeszcze, ale słabo. Kolega z siłą nadludzką na konia go wciągnął i na piersiach trzymając, osłaniając ramieniem — ruszył dalej, już na nic niepomny. Za każdą kulą zakrywał go sobą i patrzył w martwą twarz, dłonią tuląc ranę, z której jasna krew buchała na nowo za każdym ruchem. Dobije go pędka jazda!

Porucznik stanął i zsiadł z konia. Dym, wystrzały, groza tej pułapki oślepiła ułanów, pędzili pod gradem ołowiu, byle się prędzej wydostać na czyste pole; nie poznawali nikogo.

Konstanty nie wołał pomocy. Ranionego, jak tłumok, wziął na plecy i widząc ścieżynę w skale, kozi ślad zaledwie — ruszył, uginając się pod swym ciężarem, zlany potem, ogłuszony hukami, mimo, że sam, draśnięty w policzek, cierpiał nieznośnie. Gdzie go zaprowadzi ślad nie wiedział, gdzie ratunek znajdzie, nie kombinował, tylko instynktownie unosił ten skarb sobie zlecony od kul i śmierci. Upał osłabił go do reszty, a bezwładny ranny ciążył mu ołowiem. Nie ustawał jednak i szedł, cudem nie tracąc równowagi, sto razy potykając się nad zawrotnymi

głębiami. Żeby źródło, cienia trochę, wody kropla, zamiast kamieni. Ścieżka zygzakiem zbiegała w dół, ale pochód trwał w pojęciu Konstantego wieki i myślał z rozpaczą, że do piekieł chyba zejdzie... Kurz i pot pokryły mu ranę na twarzy, piekła go ona ogniem. Ręce mdlały, a ust spalonych nie mógł zamknąć, języka zeschniętego poruszyć. Chwilami bezbrzeżna rozpacz go ogarniała na myśl, że padnie i skona — nadaremnie. Chrapał, jak zadławiony. A Stach nie jak ołów już mu ciążył, ale jak Góra, jak całe Pireneje!

Wtem ścieżka zwróciła się raptownie na lewo i głuchy okrzyk wydarł się z gardła Konstantego. Przed nim o kilkaset kroków, wśród winnic i kasztanów, leżała spora osada. Ścieżka biegła między winnice i dobiegała domów. Nad domami wznosiła się wieża kościoła. Zwracając się, jak pijany, dobywając resztki sił, młody oficer dowlóknął się do pierwszego domu i padł na rozpalone kamienie z głuchym jękiem. Na galerii nad nim rozległ się okrzyk trwogi. Oprzytomniał i podniósł oczy.

Ujrzał utkwione w siebie ostre, świdrujące oczy starego Hiszpana i obok czarne również ale nad wyraz piękne źrenice młodziutkiej dziewczyny. Chciał coś powiedzieć, ale nie dobył głosu, więc tylko, powstając, pokazał ranę leżącego i ruchem o wodę błagał. Hiszpan porozumiał się kilku słowy z kobietą i nie kwapiąc się wcale, zszedł na dół.

Dziewczyna znikła również, ale po chwili ukazała się z wodą.

Konstanty zbryzgał twarz Stacha i obmył ranę. Hiszpanie przyglądali mu się, szepcząc między sobą. Nie zważał na nich, stroskany i nieszczęśliwy. Gwałtem wlał rannemu wody do gardła i patrzył nań z bezmiernym

niepokojem.

Serce biło — strzał je nie zaczął — ale może to były ostatnie odgłosy agonii?

Dziewczyna — zaciekawiona i przelękła — pochyliła się nad nim. Raz pierwszy widziała takie płowe włosy i jasne wąsy sarmackie; odskoczyła, gdy omdlały rozwarł nagle swe wielkie, błękitne oczy i nieprzytomnie powiódł nimi dookoła. Konstany odetchnął. Otarł twarz z potu i krwi, resztę wody wypił i przemówił do Hiszpana, dotykając grzecznie kaszkietu:

— Wróg to wasz, ale ranny! Wyniosłem go z bitwy. Dajcie mu przytułek, jeśli w Boga wierzycie! Nie mam siły odnieść go do swoich.

Nie wiadomo, czy stary zrozumiał. Wodził oczami od leżącego do niego, od niego do gór i palił spokojnie cygaro. Dziewczyna rzuciła mu słów kilka, ruszył ramionami. Konstany się zniecierpliwił.

— Ludzie jesteście, czy nie! Nie widzicie, że mu śmierć zagląda w oczy i ratować trzeba. Zapłacę wam, ile zechcecie, ale dajcie mi go uratować, opatrzyć, złożyć gdzie w bezpiecznym miejscu.

Stary poruszył się i chudym palcem wskazując góry — odparł łamaną francuszczyzną:

— To moi ludzie go zabili. Jestem Alcad z El Pahul! Ty wiesz, co to znaczy?

— Bądź sobie sztanem, ale przyjmij go w swój dom.

— Nie boisz się?

— Nie! — odparł spokojnie porucznik.

— Więc wejź! — rzekł stary uroczyście.

Raniony znów omdlał. Kolega wziął go na ręce i wniósł ze starym do wnętrza domu. Dziewczyna zamykała pochód i ogarnięta litością — podtrzymywała bezwładną głowę

wroga. Konstanty się obejrzał.

— Dziękuję wam! — rzekł łagodnie.

W pokoju na dole, na macie, złożono Stacha. Hiszpan wydał córce rozkazy i po chwili przyniosła wina i płótna do opatrunku. Jak mógł i umiał, Konstanty mu ranę obwiązał, posłanie poprawił, napoił i usiadł nad nim, z czułością ojca śledząc znaku życia.

Z daleka stary przyglądał się im ciągle, świdrując oczkami.

Gdy zza munduru błysnął ryngraf, który Konstanty zdjął i na ścianie powiesił, Hiszpan się przeżegnał i o krok się zbliżył. Blacha ta srebrna ze złocistą Bogarodzą w środku zajęła go niezmiernie; ciągle na nią zerkał, a przez oliwkową, pomarszczoną jego twarz przechodziły różnorodne wrażenia. Gdy porucznik dokończył opatrunku, zagadnął go pierwszy:

— Wy katolicy?

— Tak.

— Prawdziwi? Rzymscy?

— Tacy jak wy.

— Polacy?

— Tak.

— A z jakiego wojska?

— Ułani los infernos.

Alcad przyjrzał mu się z podziwem.

Bardzo jesteś odważny, że się do tego znieprawionego pułku przyznajesz.

— Mówię prawdę. Nasza wiara broni nam kłamstwa, a pułk nasz hańby nie ma na sobie.

— Nie boisz się naszej zemsty?

— Nie. Możecie mnie zabić, byleście oszczędzili ranionego. Żołnierz ze śmiercią oswojony i jestem

bezbronny wśród was, wrogów. Nie ruszajcie tylko jego, bo on teraz jest święty! Gdy mnie zabijecie, będzie to zemsta, ale gdy jego dotkniecie, to będzie kryminał przed ludźmi i Bogiem.

Hiszpan zwrócił się do córki.

— Mercedes, przynieś temu żołnierzowi posiłek — rzekł.

Dziewczyna po chwili podała porucznikowi sałaty i owoców. Przyjął i podziękowawszy, zaczął jeść chciwie.

— I trucizny się nie boisz? — spytał Alcad.

— Boję się tylko podłości — odparł spokojnie.

— A masz na sobie jaki znak święty?

Konstanty odchylił mundur i pokazał szkaplerzyk narzeczonej. Ojciec i córka przeżegnali się.

Raniony się poruszył i poprosił pić słabym szeptem. Kolega pochylił się nad nim i uniósł głowę. Dziewczyna podała mu wody.

— Obmyj sobie twarz! — rzekł Alcad.

Porucznik ramionami ruszył i wlepiwszy wzrok w chorego, zapadł w ponure rozmyślanie. Nagle głowę podniósł, wstał i przystąpił do starego.

— Muszę wracać! — rzekł. — Na Bożą wolę i na waszą szlachetność zostawiam go.

Dobył z kieszeni woreczek złota i na stole położył.

— Nie mam więcej — dodał — łupów nie umiem brać, a te pieniądze moje własne, możecie je śmiało zatrzymać. Gdy mi czas pozwoli, przyjdę go odwiedzić, a jeśli będziemy blisko, zabiorę go. Teraz muszę zostawić i do sztandaru wracać! Jeśli ulitujecie się nad nim, odplacę podobnym waszym ranionym braciom. Zostańcie z Bogiem!

Popatrzył raz jeszcze na ranionego, westchnął i siłą woli

odrywając się od ukochanego, wyszedł, nim Hiszpan mógł słowo rzec. Gdy wyrzeli za nim, zniknął już wśród winnic. Nazajutrz dopiero, po całonocnym błędzeniu, dogonił pułk w marszu i zameldował się starszyźnie. Zaliczono go do zabitych i powitano radośnie. Opłakano Stacha, dowiedziawszy się, gdzie był i w jakim stanie, a potem wróciło wszystko do dawnego trybu — pozornie. Tak — pozornie, bo Konstanty jak automat się poruszał, jak automat walczył.

* * *

Przez gaje granatów i kasztanów, przez dymiące krwią pobojowisko, myśl jego i dusza wracała wciąż do Stacha, czasem nadzieją ozłocona, czasem jak grób rozpaczona. I pytał siebie sto razy, czy dobrze zrobił, rzucając go na pastwę zdziczałych gieryłasów w domu ich głównego wodza, czy nie lepiej byłby uczynił, żeby go dalej niósł w ramionach, aż by obydwójce upadli? Czasem, niezdolny znieść udręczenia, chciał przez te granaty i góry iść i odwiedzić go żywym lub w grobie, ale żołnierz brał górę nad przyjacielem i zostawał u sztandaru. Tylko w nocy mu się roiło, że ma Stacha u boku, a w dzień wyglądał go bezustannie. A Stach nie wracał.

Pułk się oddalał, rzucany rozkazami to tu, to tam... Mijały tygodnie w krwi i dymie, w marszach i trudzie. Lance ułanów rozbijały czworoboki piechoty, brały górskie wąwozy, znosiły baterie, pułk rósł w sławie i znaczeniu. Konstanty dostał krzyż i rangę kapitana. Stach nie wracał. Przy oblężeniu bohatersko bronionej fortecy, pułk dłużej w

miejscu pozostał. Co dzień armaty rozbijały mury, co dzień przypuszczano szturm. Oblegającym i oblężonym brakło żywności, nie pogrzebane trupy, rozkładające się w upale, zarażały powietrze. Czekano z upragnieniem posiłków.

Pewnej nocy, Konstanty, wróciwszy ze swym oddziałem z wycieczki, przepędził tabun owiec i dziesięć wozów mąki. Nie cieszył się z triumfu i zmęczony legł do snu w namiocie, z siodłem pod głową. O północy zbudził się nagle. Byłóż to przecucie?... Płótno namiotu podniosło się.

— Żyjesz! Pochwalony Bóg miłosierny! Cud działał dla babki twojej i dziewcząt naszych! Ach, bracie, com ja wycierpiał przez te miesiące, mając cię za straconego! Powiedz, nie zamęczyli cię ludzie? A rana? Zdrowyś?

Z niebywałym wybuchem ten poważny człowiek witał zmartwychwstałego, ścisnął go, całował.

— Rana zagojona i zdrow jestem, jak nigdy — odparł Stach z zapalem. — Żebyś wiedział, jak ci ludzie mnie doglądali. Jak swoi najbliżsi, jak brata i krewnego. Niczego mi nie brakło i ledwie się wyrwałem! Nie chcieli puszczać!

— Źle zrobili! Aleś ty i dnia nie zmitrężył?

— Nie... — odparł Stach z cicha.

— Trzy miesiące straciłeś... Tyle triumfów. A jam cię co dzień wyglądał. Gorzką mi była sława bez ciebie. Przecie jesteś i da Bóg nie rozstaniemy się już. Skąd przychodzisz?

— Szukałem was i z posiłkową piechotą przed chwilą dobiłem nareszcie celu.

— Jest piechota, nareszcie! Weźmiemy to kamienne gniazdo i pójdziemy w pole szerokie. Oblężenie zjadło nam ułanów i zabrało sporo kolegów. Nie ma Brzozowskiego i Szeligi, ranieni śmiertelnie Stachowski i Turno!

— A tyś już kapitanem! Wyprzedziłeś mnie! —
uśmiechnął się Stach, dotykając galonów.

— Czekają na ciebie także i prędko je zdobędziesz.

— Mniejsza o nie! Nie chciwym awansów.

— Tak, ale nasze kobiety się ucieszą w kraju. Dlatego
ich pragnę dla ciebie.

Przegwarzyli noc całą. Stach mało opowiadał i tylko
pytał roztargniony dziwnie — i nieswój.

— Zaśnij przed ranem, bo o świcie pójdziemy w ogień
— namawiał go Konstanty.

Nie usłuchał. Przesiedział wytrwale do świtu, paląc
hiszpańskie papierosy; gdy odtrąbiono pobudkę, poszedł w
milczeniu do konia, stanął na swoim miejscu pod wodzą
Konstantego.

* * *

Zaczął się krwawy taniec. O zachodzie słońca zdobyto
bramę fortecy i fala rozwścieczonego żołnierza zalała gród,
głodna mordy i zemsty. Nie nasycili się do woli. Zamiast
wrogów, znaleźli kilka tysięcy szerniałych trupów i
kilkaset jeszcze żywych szkieletów. Po całonocnej rzezi i
okrucieństwach, nad ranem oficerowie ściągnęli swoich
ludzi i opuścili ten gród kamienny, za nimi wysadzono
prochem fortecę.

Zadrzało powietrze, dymy zasłoniły niebo.

— Drogo nas to widowisko kosztuje! — rzekł Konstanty
do Stacha, oglądając się raz ostatni.

— To hańba dla nas, ta wojna — odparł z cicha
porucznik.

Śmiertelnie blady Konstanty słuchał. Zdawało się, że rzuci się na mówiącego, wtoczy mu w gardło wyrazy, wybuchnie.

Pohamował się. Surowe jego oczy przeszły Stacha, a głos głuchy padał jak uderzenie młota o żelazo.

Żołnierz ma jedną świętość — swoją chorągiew, jedną wiarę — swoją przysięgę! Kto rezonuje, ten gwałci jedno i drugie! Można boleć w duszy w najtajniejszej głębi, ale mówić nie wolno, bez krzywoprzysięstwa i sromu! Sztandar przed tobą, a przysięga w tobie; idź i milcz! Osądzi wszystkich Bóg!

Stach poczerwieniał i do krwi zagryzł wargi. Zwiesił głowę i umilkł wedle rozkazu. Rozłączyli się z konieczności obowiązków i przez cały dzień nie spotykali się nawet wzrokiem, choć kapitan, szarpany straszną trwogą, szukał ciągle oczu przyjaciela — daremnie.

Wieczorem, gdy rozbito obóz, Stach, wezwany jako podwładny, stanął przed kolegą w namiocie.

— Poruczniku, obejmiesz straż; pięciu więźniów pojmanyh w drodze, o świcie rozstrzelasz!

Śmiertelnie blady młodzieniec skłonił się i wyszedł. Późno było gdy kapitan, niezdolny usnąć z szarpającej zmory i zgryzoty wyszedł, by choć na niego popatrzeć.

Otulony w płaszcz, mijał śpiący obóz, w głowie miał jak ćwiek wiercącą myśl ciężkiej troski. Doszedł biwaku więźniów i stanął jak wryty. Oparty o głaz stał tam porucznik i wyteżonym wzrokiem coś śledził w ciemności.

— Stachu! — krzyknął.

Młodzieniec podskoczył i zrobił ruch taki, jakby chciał uciekać, ale pozostał.. Fala krwi uderzyła mu do oczu — milczał.

— Gdzie straż?

— Odesłałem ich do snu!

— A jeńcy?

— Na swobodzie!

— Zdrajco!

— Milcz! Tyś sam winien! Jesteś półbóg, jeden z plutarchowych bohaterów, ja człowiek. Po naszej dzisiejszej rozmowie po coś mi dał taki rozkaz! Po coś mi dał pokutę nad siły! Kazałeś pilnować i rozstrzelać więźniów. Jeden był synem Alcada z El Pahul, przeprawia się do Marii. Ty byś zrobił, coś ode mnie wymagał, ale mnie to nad siły! Za uratowane życie swoje byłem ich dłużnikiem. Poszli! A ja się czynu tego nie wstydzę.

Rozdrażniony, dyszał gorączkowo.

— A jutro cię rozstrzelają jako zdrajcę!

— Niech i tak będzie. Skończę prędzej.

— A imię twoje przeczyta babka, siostra i narieczona w dzienniku hańby! Takie im przyniesiesz wawrzyny, tak odbudujesz dom! Tak! Tak!

Połą płaszcza zakrył twarz i znużony rozpaczą zajęczał głucho. Stach głowę zwiesił — nie bronił się już. Po chwili Konstanty podniósł czoło, wypogodzone, blade i uroczyste. Ręką wskazał na obóz.

— Wracaj — rzekł. — Jam winien, powiadasz! Babka kazała mi cię ochraniać, a jam naraził. Wracaj i pomyśl o nich w pokusie! Będziesz silny! Jam winien!

Stach pokonany, milczący, spełnił rozkaz. Konstanty przeprowadził go wzrokiem, aż na miejsce, a potem ruszył w przeciwną stronę. Przez płótno sztabowego namiotu światło błyskało, starszyzna radziła, przyjmowała i wysyłała kurierów. Przeglądała mapy.

Kapitan się zameldował i wszedł do środka. Bez słowa odparował szablę i położył na stole.

— Co to znaczy, kapitanie? — spytał pułkownik.

— Przychodzę po wyrok, jako więzień! — Zdano mi jeńców pod straż — jeńcy uszli.

— Co mówisz? Czyś oszalał! Ty, ty to zrobiłeś?

— Ja sam pułkownika. Czekam waszych rozkazów...

Godzinę, krótką godzinę trwał sąd.

Po niej Konstanty wyszedł bez krzyża i galonów — znów prosty szeregowiec. Prosił o kulę, ale głos się podniósł ogólny, że zbyt wiele położył zasług, by mu nie zostawić sposobu rehabilitacji.

Zdegradowano go i kazano się poprawić. Nazajutrz Stach go ujrzał w szarej masie żołnierzy, salutującego porucznikowi przy lustracji.

Krzyknął i oczy obłąkane wlepił weń, ale zagrały trąbki — pułk ruszył.

W nocy porucznik o złotych galonach przyszedł do ułana, co wysunięty na dalekiej placówce, stał jak z brązu wykuty, cały zmieniony w słuch i wzrok. Rozmawiali długo, gwałtownie zrazu, potem spokojnie, a tak cicho, że w ciszy tej przejrzystej nie rozlegało się żadne zdradliwe słowo. Piersią oficera wstrząsało okropne łkanie żalu i wstydu, ułan coś mu szeptał, rozjaśniony nadzieją, rozpromieniony otuchą i wiarą w poprawę. Potem otworzył ramiona i utulił do nich dziecko słabe i znękanę, pocieszając najczulszymi wyrazami, wspominając dom i kochanie, błagając za nim samym u niego.

Od owej nocy zaszła wielka zmiana. Słoneczna pogoda Stacha zesza na czoło zdegradowanego winowajcy, a oficer, co duszą był zabaw, ulubieńcem kolegów, jak ziemia szerniał, jak drzewo znieczulał.

W pochodzie dla podwładnych był opryskliwy i przykry, w bitwie nie rozpałał się szalonym bohaterstwem, u ognia

obozowego siadywał samotny i posepny, nie odzywając się, chyba z musu.

Zdawało się, że pomimo rozmowy nocnej z kolegą, pomimo łez i zgody, widok Konstantego był mu torturą, wstyd i wyrzuty nad siłę natury tej nie złej, a grzesznej, właśnie przez zbyt wielką wrażliwość.

I znów minął miesiąc.

Bandy gierylasów napełniały kraj; zgniecione sto razy, odrastały z niepojętą szybkością, zalewały wąwozy i góry — mnożyły się coraz zuchwalsze. Ułani dokonywali cudów, szarpani na strony, uchodząc z pułapek, zwyciężając pięciokroć liczniejsze od siebie bandy.

Pewnego wieczora, Konstanty, stojący na posterunku u dróg krzyżowych, ujrzał samotnego człowieka, który bez broni i tylko płaszczem po oczy osłonięty, zbliżał się wprost do niego.

— Kto idzie? — krzyknął.

— „Austerlitz i Marengo!” — odparł człowiek, hasło tego wieczora.

— Do kogo idziesz?

— Do porucznika Stanisława.

Ułan pochylił się naprzód.

— Czego?

W tej chwili, tuż za nim, zmieniony, chrypliwy głos Stacha ozwał się rozkazująco.

— Znam tego człowieka. Puść go! Pójdzie ze mną!...

Chwilę zdawało się, że lanca ułana zamiast oddać honor oficerowi, utopi żelazo w piersi czarnej postaci szpiega, czy kusiciela, ale wnet niewolnicza subordynacja skłoniła się tylko. Człowiek przeszedł.

Noc była chłodna i przykra. Patrol u krzyżowych dróg drżał i dygotał jak w febrze.

Wiatr przenikliwy i suchy owiewał mu twarz zmienioną, oczy, zamglone strachem. Szczekał zębami i urywane, pół wargami, pół myślą, począł odmawiać pacierze. Bo i kto co mu na tę nową zmorę poradzi? Wicher rwał mu z ust wyrazy i rzucał je na obóz.

— Jezu! Jakaś się przemienił na górze Tabor, tak racz przemienić smutki i pokusy jego w radości i zwycięstwa...

Ranek wszedł i słońce ogrzało drżącego żołnierza.

Odrąbiono marsz przeciw wsi, pełnej zbuntowanego chłopstwa i niedobitków brygantów, rozgromionych wczoraj.

Czarnego człowieka nigdzie nie było. Znikł, jak larwa. Na przedzie Stach jechał i sprawiał szyk; twarz miał bladą, ale spokojną.

Ruszono. Hiszpanie dopuścili ich blisko i nagle zionęli tysiącem kul. Powstał wir straszliwy. Obłoki dymu, wrzask, kwik koni, huk wystrzałów. Ułani złożyli lance i runęli, wszystko znosząc po drodze.

Gdy się Konstanty opamiętał i spojrzął jaśniej w około, dobiegali po trupach swoich i hiszpańskich do bramy osady i roznieśli jak puch tę ostatnią zaporę.

Stacha nie ujrzał, ale nie czas było szukać. Bój wrzał na ulicy dalej. Mordowano się ze zwierzęcą wściekłością, pierś przy piersi, głowa przy głowie. Rzeź trwała do wieczora. Purpura zachodu słońca zbiegła się z purpurą pożaru. Ułani wśród zgliszcz i trupów dobijali resztę rozbitków, nie pardonując nikomu, rozwścieczeni krwią i dymem prochu. Wówczas Konstanty rzucił konia i pieszo począł oglądać trupy, oraz obchodzić całe pobojuwisko. Przetrasnął każdą gromadkę, policzył prawie zabitych, poznał każdego. Stacha nie było. Chwilę stał, jakby gromem rażony, z kroplami zimnego potu na skroni, potem

upadł na ziemię i zapłakał. Nagle się zerwał. Trąbka zwoływała do chorągwi. Pobiegł do konia, ból i zgryzotę wtłoczył w duszę. Już spokojny i skupiony stanął w szeregu.

* * *

Nazajutrz pogrzebano umarłych, zliczono żywych.

— Porucznik Stanisław nieobecny! — oznajmiono.

Żołnierz jeden wystąpił z szeregu i salutując zaraportował:

— Porucznik Stanisław raniony. Złożyłem go u pasterza w górach.

Było to drugie kłamstwo. Wezwany, przysięgłby na nie! Uwierzono mu! Pomimo zdegradowania, otaczał go dawny szacunek i cześć, znano ich przyjaźń i nie wątpiono, że dobrze rannego umieścił.

Rącze były konie. Po kilku dniach daleko była nieszczęsna, spalona osada, daleko pamięć postradanego oficera.

Tylko Konstanty pamiętał, dobrze pamiętał. Widmo dezercji, najstraszniejsze dla żołnierza, torturowało go dniem i nocą. Gorsza to była troska, niż ta nawet, którą przechodził, gdy go uważał za zabitego, zamordowanego nikczemnie. Przy biwaku jeszcze czasem otwierał Plutarcha i zmuszał myśl do uwagi, częściej płaszcz nasuwał na głowę i znekany, pytał siebie po raz setny, co powie tam, w domu, tym kobietom, co czekają wnuka, brata, narzeczonego — bohatera? Znow dni biegły w krwi i trudzie. Wróciły Konstantemu galony i szlify, odzyskał

rangę i znaczenie; nie wróciła tylko pogoda, nie odzyskała nadziei.

Zdziesiątkowany, zmęczony pułk wysłano nareszcie na północ. Z kraju nadbiegły mu posiłki, nowa danina młodej krwi, z ziemi naszej ofiarnej. Zapełniły się kadry i animusz się odświeżył. Z pieśnią i muzyką szli cudnym krajem po nowe triumfy. Starsi ćwiczyli młodzież, a rekruci opowiadali, co tam słychać po rodzinnych siołach i dworach.

Pewnego wieczora obejrzał się Konstanty uważniej po okolicy i poznał — nim posłyszał nazwę.

W prawo — istny kraj winnic, przecięty kamienną drogą, w lewo — gaj kasztanów, przed nimi czarne czeluście wąwozu.

— Gdzie zanocujemy? — spytał adiutanta.

— Ty, kapitanie, z kompanią swoją staniesz to niedaleko, w miasteczku El Pahul! My pójdziemy trochę dalej. Anglicy czekają na nas za Puente nad rzeką. Jutro, pojutrze będziemy w tańcu.

Po licu pytającego przebiegła bladość i strach nagły.

Rozkaz był rzeczą, niepodlegającą żadnej krytyce. Spełni go i stanie znów w znieprawionym miejscu, kolebce wszelkich jego nieszczęść i zawodów. Wszedł pułk w wąwóz krwawo pamiętny i minął go bez przeszkód.

Pusty był teraz i głuchy.

Gdy szyk się rozwinął po drugiej stronie przejścia, ujrzano miasteczko z w wieżą kościoła, dobrze znane Konstantemu. Kompania jego oddzieliła się na komendę i pokłusowała za nim w tę stronę, reszta pułku ruszyła dalej.

El Pahul wyglądało jak wymarłe. Ułani zajęli bramy i ulice, rozbiegli się po domach, szukając żywności i furazu; kapitan, rozlokowawszy ludzi, wydawszy rozkazy, stanął z

pięcioma szeregowcami przed domem Alcada i zastukał we drzwi ręką szpady.

Po dość długim milczeniu podwoje rozwarły się nieco. W otworze ukazało się żółte oblicze starego Hiszpana. Na widok Konstantego zachwiał się i zzieleniał.

— Ave Maria purissima! — pozdrowił go oficer zwyczajem miejscowym.

— Deo gratia! — wybełkotał Alcad.

— Szlachetny panie! — rzekł kapitan. — Drugi raz przychodzę do pana. Raz byłem, jako człowiek bezbronny, znalazłem miłosierdzie i prawość. Dziś przychodzę jako przyjaciel i debitor, prosząc o gościnę na dzień jeden. Mam z sobą kompanię żołnierzy, którym pod karą gardła nie wolno grabić i krzywdzić. Jeśli macie u siebie waszych, niech się nie trwożą. Przychodzę jako przyjaciel. Nikomu z was włos z głowy nie spadnie.

Przemowa ta nie udobruchała starego. Wróciła mu tylko panowanie nad sobą, dała mu ochłonąć z pierwszego wrażenia.

— A jeśli tobie nie dam gościny? — spytał niechętnie.

— Będzie to znakiem, że powątpiewasz pan o moim honorze, lub coś gorszego, niż waszych ukrywasz... W pierwszym razie poproszę cię o satysfakcję, w drugim będę zmuszony zarządzić rewizję.

Nie wiadomo, która alternatywa była skuteczniejsza, ale Hiszpan nie protestował, tylko z głębokim ukłonem zaprosił go do wnętrza domu.

Eskorta wodza uwiązała konie w galerii, sama rozłożyła się w sieni. Pokój, pierwszy od dziedzińca zajął dla siebie kapitan. Gospodarz oddalił się, w celu — jak mówił — zarządzenia wieczerzy.

Konstanty okiem badawczym rozejrzał się po otoczeniu.

Z sieni wychodziło się na dziedziniec, wyłożony kamieniami, z fontanną w środku. Za tym dziedzińcem był ogród, dookoła murem obwiedziony.

Służba i domownicy Alcada snuli się wszędzie, rzucając na wrogów niechętnie, ukośne spojrzenia. Konstany czuł się śledzonym, zaprzestał obserwacji i wrócił do swej kwatery, skinąwszy staremu podoficerowi z eskorty, by szedł za nim.

— Załozzka — rzekł — znam cię, żeś sprawny i nie gadatliwy. Weź podobnego sobie szeregowca i zróbcie mi rekonesans ogrodowego muru, nie zwracając niczyjej uwagi, jakbyście szukali winogron lub paliwa. Nie zaraz, o zmroku! Jeśli znajdziecie bramę lub wyłom jaki, jeden z nich tam zostanie ukryty, drugi niech mi tu wróci z raportem. Porozumiewać się po naszymu! Marsz i baczność.

Załozzka zrobił pół obrotu i wymaszerował, salutując. W tej chwili wszedł Alcad, zapraszając swego gościa uprzejmymi słowy do jadalni. Tam też ukazała się panna Mercedes. Oficer skłonił się jej z daleka, przy czym zauważył, że była kredowo blada i tylko zachowywała jaki taki spokój.

Nie tknęła żadnej potrawy i nie podniosła ani razu swych przepięknych oczu. Na lada hałas lub odgłos z ulicy drżała na całym ciele.

* * *

Spod oka kapitan ją badał i utwierdzał się coraz silniej w powziętych domysłach. Wewnątrz wzbierał mu gniew i

dzika wściekłość, hamował się jednak doskonale i toczył obojętną rozmowę ze starym, który z niebywałą uprzejmością podawał mu jadło i dolewał bezustannie ciężkiego, mocnego wina.

— Chcą mnie upoić! — pomyślał oficer, udając dobrą wiarę w serdeczność tego przyjaciela i szczerę intencję gospodarzy.

Pod koniec uczyty, gdy zapaliwszy cygaro, zegnał się i zmierzał do wyjścia, Alcad wziął go na stronę.

— Panie oficerze — rzekł — na mocy waszego zapewnienia przyjaźni, śmiem wnosić, że ja i moi jesteśmy wolni wchodzić i wychodzić z domu i oddawać się naszym zatrudnieniom oraz rozrywkom bez straży i kontroli.

— Powiedziałem i powtarzam: jestem tylko gościem i ludzie moi otrzymali zakaz krępowania was w czymkolwiek. Eskorta pozostanie na ulicy, a ja będę tylko sam w kwaterze mnie wyznaczonej z jednym służącym. Czujcie się jakbyśmy nie istnieli. Choćby Mora nawet był u was, może pozostać spokojnie przy wasze opiece.

Skłonił się raz jeszcze i wyszedł, życząc im spokojnej nocy. W sieni czekały na niego raporty i kurier z pułku z rozkazem, aby — skoro świt — wyruszył dla złączenia się z głównym sztabem.

Wydał rozporządzenie, jeszcze raz powtórzył zakaz gwałtów i nadużyć w miasteczku i zamknął się w pokoju.

Szaro już było. Zamiast spocząć, usiadł przy olejnej lampce, wydobył „Plutarcha” i wstrząsany tysiącem gorączkowych myśli, począł czytać półgłosem Brutusowe czyny, wypogadzając się dziwnie pod wrażeniem nadludzkich poświęceń i bohaterstwa. Było zupełnie ciemno, gdy mu ordynans zameldował Załozzkę.

Stary podoficer wszedł zaraz potem i z mazurska

zaraportował:

— Znaleźliśmy szczelinę w murze, krzakami okrytą. Gruda tam się ostał na straży, a ja se wróciłem. Zreśtą nigdzie ni bramy, ni furty.

Calusieńki mur i okrutnie wysoki.

— Nikt was nie dojrzał?

— Ni żywa dusa. Wino tam takie gęste, jak u nas chmielniki.

— To dobrze. Zostaniesz tu i możesz się kłaść do snu. Nie będę ciebie więcej potrzebował. Wezmę tylko twój płaszcz, a ty, zanim wrócę, stąd się nie oddalaj.

— Wedle rozkazu, panie kapitanie.

Konstanty przywołał ordynansa, oznajmił, że spać będzie i nikogo widzieć nie chce, potem go odprawił, ułożył ułana na swej pościeli, okrył z głową, sam wziął jego płaszcz i kaszkiet, popróbowował pistoletów, szablę wziął do ręki, płaszczem się po oczy otulił i wyszedł. W domu panowała już cisza. Warta przy eskorcie przepuściła kolegę, zamieniwszy hasło, wszystko wróciło do spokoju, tylko chwil kilka odgłos kroków rozlegał się po kamieniach, potem i to umilkło. Konstanty wpadł między winne krzewy i nie oddalając się od muru szukał wzmiankowanego wyłomu. Nie dostrzegłby go, gdyby nie ciche gwizdnięcie i czarna postać, co się nagle podniosła z rowu za jego zbliżeniem.

— To ty, Gruda?

— A ja! — odparł szeregowiec, ziewając.

Nie poznał oficera.

— Co tu słyhać?

— A nic! Spać się człowiekowi chce.

— To wracaj! Ja zostanę.

— I owszem. Diabło nudno tu siedzieć i czuwać!

Dobranoc, Macieju!

Mniemany Maciej nic nie rzekł, a ułan rad zmianie, zsunął się ze skarpy i ruszył z powrotem.

Sam sobie zostawiony, Konstanty począł się wdrapywać na kupę rumowisk, uwieńczonych gąszczem krategusów. Pokaleczony i odrapany dosięgnął szczytu, potem z większą już łatwością zsunął się na dół. Był w ogrodzie. Noc, chociaż bez księżycy była dość jasna, a żołnierz z ciemnością był oswojony od dawna. Ruszył śmiało przed siebie, badając zagłębienie i gęstwiny, przeszukując wzrokiem wszelkie możliwe kryjówki. Był już może w połowie ogrodu, gdy mu zagroziła drogę biała ściana. Przyjrzał się. Była to mauretańska altana. Obszedł ją i znalazłszy drzwi, chciał właśnie wkroczyć do środka i przeszukać, gdy go przykuł do ziemi delikatny szmer gitary i bardzo ciche tony hiszpańskiej pieśni. Chwilę stał i zbierał myśli, może plan działania obmyślał. Decyzja żołnierza bywa krótka i szybka. Cicho, jak widmo, usunął się od drzwi do okna, wyciętego w zgrabny hak, okrytego tylko leciutką matą. Tam stanął, do muru się przytulił i znieruchomiał, łowiąc uchem te dźwięki i szmery.

Co mu przez te minuty i kwadransy działo się w duszy, nagle z ostatnich nadziei odartej? Nareszcie śpiew ustał, gitara umilkła. Rozległy się odgłosy inne, jakby dawanych i odbieranych pocałunków i melodii namiętnych zaklęć w śpiewnej mowie Cyda. Konstanty wszystkiego wysłuchał, postać jego nie zadrżała ani razu, żadne uczucie słabości i względów nie odwróciło go od powziętego zamiaru, żaden wybuch szału nie zmącił surowej linii oblicza. Nie namyślał się i nie wahał już — tylko czekał. Nareszcie i te szmery miłosne ucichły. Drzwi przymknęły się lekko, wiotka postać dziewczyny, w płaszczu rozwianych

kruczych warkoczy, przemknęła koło niego i znikła w głębi ogrodu, — a w drzwiach stanęła smukła postać młodzieńca, który za tą uciekającą rzucił spojrzenie ostatnie, pełne blasków i tęsknoty.

Spojrzał i krzyknął — jak przed zmorą straszliwą, oczy zasłonił. Przed nim stał czarny cień przeszłości — stał sędzia.

Tak — wtedy gdy wypuszczał jeńców był to brat i przyjaciel, opiekun ofiarny — na noc tę na placówce był to kolega i doradca szlachetny, przychodził ze słowami otuchy — ze wspomnieniem babki do słabego dziecka, zdanego mu przez kochające serca. Teraz przychodził zwierzchnik — po dezertera.

— Poruczniku Stanisławie! — rozległ się twardy głos z obcym zupełnie dźwiękiem. — Zostałeś podany za rannego po bitwie pod Puente. Jesteś zdrow... Sztandar i przysięga czeka na twą krew i służbę.

Młodzieniec odsłonił oczy i cofnął się o krok. Oficer o krok postąpił.

— Stanisławie Skabłoński! — powtórzył głos nieubłagany. — Jako narzeczonego mojej siostry, ja wyzywam o słowo dane i czekam, byś szedł ze mną!

Znów o krok cofnął się zbieg, a sędzia, posagowo spokojny, postąpił także i znalazł się we wnętrzu altany. Lampka się paliła, oświetlając stół, a na nim porzuconą gitarę i długie szpilki z włosów Mercedes. Resztę przestrzeni mrok ogarniał i tylko w głębi blask bił o ryngraf złocisty, zdobiący wezglowie łoża. Gdy Stach wciąż milczał, jeszcze oszołomiony tym nagłym zajściem, oficer blachę tę ręką mu wskazał.

— Na blasze tej ojców bohaterstwo splamiłeś sromem. Weź ją i chodź ze mną, bo dużo twojej krwi trzeba, zanim

ją zmyjesz i oddać będziesz mógł matce, która ci ją dała.

Na wzmiankę sromu, młodzieniec, jak strzałą ugodzony, podskoczył.

— Milcz na Boga! Nie rzucaj mi sromu w twarz, bo zapomnę, żeś brat!

— Tyś już dawno zapomniał i podeptał wszelkie węzły! Ja dziś nie jako twój brat przychodzę, ale jako zwierzchnik po zbiegłego żołnierza, jako brat po honor siostry. Chodź ze mną!

— Nie! — odparł krótko Stanisław, zacinając się w uporze.

Konstanty, jakby nie dosłyszał protestu, założył ręce na piersi i mówił dalej:

— Zostawiłeś za sobą kraj... Gniazdo, które cię wychowało... Kobieta, która co oddała duszę. Poprzysięgałeś, że ziścisz wszystkie te nadzieje, a ja poprzysięgłem, że cię przeprowadzę przez wojny i pożogi całym i dzielnym... I oto cię tutaj szukać muszę, tutaj zastaję renegata!

Zachwiał się mu głos, ale wnet znowu stwardniał.

— Raz ostatni przychodzę po ciebie, raz ostatni przebaczam i podaję dłoń do powitania. Słuchaj. Jutro o południu pułk stanie do walki. Jutro o południu ty być tam powinieneś na stanowisku u sztandaru, albo zapomnieć żądy i wrócić do nas, albo zginąć z honorem!... Nad rzeką spotkamy się z Anglikami. Gdzie? Trafisz, bo nasza trąbka grać będzie na ciebie... A teraz nie mów nic, ale pomódl się i opamiętaj! Raz ostatni mówię do ciebie, jak kolega, raz ostatni! Pamiętaj i wracaj!

Stach otworzył usta i powtórzył równie twardo „Nie!”, ale już oficera nie było w altanie...

O świcie kompania opuściła miasteczko. Gdy się Konstanty obejrzał, ujrzał na galerii domu uśmiechającego się szyderczo Alcada i Mercedes pokazującą im pięść zaciśniętą. Takie było przyjacielskie rozstanie. O południu pułk się połączył z korpusem idącym naprzeciw Anglików.

Pod gradem nieprzyjacielskich baterii stawiano most na rzece. Piechota, zajęta tą robotą padała gradem. Generał się niecierpliwił! Pułkownik ułanów, gładząc bujny wąs, uśmiechał się pogardliwie i z kul tych i z gniewu dowódcy.

— Generale, daj no moim zuchom pohulać. Zakneblują oni pyski tym gadułom!

— Ba, ale jak?

— Jak, to moja rzecz i ich. Czekam rozkazu do tańca.

— Masz go chociaż nie pojmuję...

Francuz nie dokończył. Pułkownik spał konia i ruszył ku swoim. Zagrały trąbki i rozległ się szalony okrzyk... Jak potomkowie skrzydlatej husarii, ruszyli naprzód szalonym pędem. Dopadli rzeki, spięli konie ostrogami i prażeni kulami, skoczyli w nurty. Szyk się zmieszał na chwilę, zerwany prądem, potem wynurzyły się spienione łby, zaognione twarze, nad nimi las proporców. Płynęli jak ławica delfinów.

Pierwszy zgruntował kasztan oficera, który do szyi przygięty, nie oglądając się, popędził dalej na baterię. Nim Anglicy mieli czas się opamiętać, on jako pierwszy dopadł armaty. Kanonier, cięty przez głowę, zwałił się, plując krwią, drugi dostał strzał pistoletowy w pierś, trzeciego już koń tratował. Rzucono się na szaleńca, posłyszał wokoło głowy deszcz kul, ale już ułani dobiegli baterii i wsiedli na

karki, kłując, siekąc, jak huragan, waląc wszystko po drodze.

Armaty ucichły. Piechota rzuciła ostatnie przesło mostu, wojsko ruszyło w pomoc swoim. Czas był. Ułani klinem wbili się między główny korpus angielski i powstrzymywani murem bagnetów siekli i bili się jak osaczony odyniec. Cofać się nie mieli zwyczaju i topnieli zalani, czerwoną ścią piechurów.

Ale oto pułk po pułku mijał most i zdemontowane armaty i rzucał się w wir bitwy. Walka zawrzała na wszystkich punktach. Wieczorem opadły dymy. Angielskie niedobitki poszły w rozsypkę, gnane przez zawziętych ułanów.

Zwycięskie pułki defilowały przed sztabem, zbierając laury, wykrzykując ile siły. Ostatni przyszli ułani. Przywlekli pod stopy wodza zagwożdżone działa, znieśli pęki zdobytych chorągwi — Sami osmaleni, zdziesiątkowani, potrzęsali skrwawione proporce i sztandar swój, kulami porwany, szmatę bezkształtną, pochyłili przed wodzem. Kazał im stanąć. Podjechał pod front.

— Kapitan Konstancy! — zawołał.

Oficer wysunął się naprzód i salutując, czekał rozkazu. Generał odpiął swój krzyż z piersi i przypiął go do podartego munduru.

— Majorze Konstancy przyjm moje podziękowanie. Gdybym mógł zrobiłbym cię dzisiaj marszałkiem Francji. Nie wątpię, że nim kiedyś zostaniesz.

— Niech żyje generał! — rozległo się z tysiąca piersi.

— Niech żyje cesarz! — poprawił generał.

— Niech żyje! — powtórzono chórem.

Nastąpiły dalsze odznaczenia, pochwały, rozdawanie orderów. Konstancy cofnął się na swe miejsce. Późno w

noc trwały okrzyki, wrzawa, ruch gorączkowy. Nikt o śnie nie myślał. Zabici potrzebowali grobów, ranni opatrunku, zdrowi i cali — wina i pożywienia.

Tak ta noc zeszła w upojeniu triumfu.

O świcie, gdy zbierano prowiant i załatwiono grabarską i lazaretową czynność, a wojsko biwakowało, warząc strawę, zameldował się Konstanty u pułkownika i prosił o urlop na dwa dni.

— Cóż to? Ranionyś, zuchu?

— Nie. Bóg nie chce mnie brać — odparł posępnie.

— Ejże! Wie, co czyni! Cóż więc innego? Romansik? He?

— Nie.

— No, no, nie nalegam i szanuję tajemnicę. Masz swoje dwa dni urlopu. Rób sobie z nimi, co chcesz, tylko nie oddalaj się zbyt daleko i wracaj nam cały.

Konstanty podziękował i wyszedł. Nie wstąpił nawet do obozu, tylko prosto z tego posłuchania, od namiotu zwierzchnika zawrócił między pola kukurydzy i w nich przepadł.

Tej samej nocy drzwi od miłosnego gniazda pięknej Mercedes i jasnowłosego dziecka północy otwały się bez szelestu i wpuściły do środka — już nie zwierzchnika, ale mściciela. Zbieg zdawał się być przygotowany na te odwiedziny. Siedział u stołu z głową na dłoni opartą, a na szelest kroków podniósł oczy i spokojne, trochę mgławie spojrzenie utkwiał w szerniałym obliczu straconego przyjaciela...

Potem wstał i zbliżając się nieco, rzekł drżącym głosem:

— Powiedziałeś tutaj przed paru dniami, że przychodzisz raz ostatni! Cóż mi teraz przynosisz?

— Ostatnią łaskę. Powinienem cię był denuncjować i

pod strażą odprowadzić pod sąd wojenny, a stamtąd na plac hańby, gdzie na cię czeka stryczek dezertera. Przychodzę sam, jako sędzia i kat zarazem. Sztandar i przysięga onegdaj wzywały cię przez mnie do siebie — dzisiaj — w mojej osobie przychodzą po twoją krew.

Staeh się zachwiał.

— Przychodzisz zatem, jako morderca. Jestem bezbronny, nie zamknąłem drzwi nawet, nie uciekałem!

— Bo czujesz się winnym i uznajesz słuszność mojego czynu.

— Nie, ale wbrew twemu wyobrażeniu, nie jestem tchórzem nikczemnym. Nawet przed szaleńcem nie myślę się kryć i uciekać. Rzuciłem sprawę do gruntu nieuczciwą, bo mi honor broni walczyć z opryszkami pod wodzą tyrana i mordować bohaterów patriotyzmu. Nie wrócę też do was!

— Kłamiesz swe pobudki. Rzuciłeś sztandar nie dla honoru, ale dla czarnych oczu zalotnicy.

— Milcz!... to moja narzeczona!

— Narzeczona twoja jest daleko i czeka na ciebie. A tyś zdrajca i zaprzaniec! Dostyc tego, nie przyszedłem słuchać twych kłamliwych tłumaczeń! Ratowałem cię wszelkimi siłami, kosztem czci własnej — na próżno. Teraz zgubiony jesteś i umarły. Na liście wojskowej podany jesteś za zmarłego. Tak zostanie, bo ja nie chcę, byś tam stał, jako sądzony za zdradę i dezercję!... Kartę twoją utrzymałem czystą — i taką zostanie.

Śmiertelnie blady oficer wy dobył pistolet i drżącą ręką nasypał prochu na panewkę. Oczy mu płonęły dzikim ogniem niczym już nie cofniętej decyzji. Stach rzucił się w bok nieprzytomny.

O szczęściu marzył, żyć chciał; instynktem zachowawczym wiedziony, porwał za szablę i ciął oficera

przez ramię. Konstanty ani drgnął, jakby nie czuł razu. Podniósł pistolet i wypalił w pierś młodzieńca w chwili, gdy szabla dotykała go prawie.

— Mercedes! O, Jezu! — jęknął Stach, waląc się na wznak i chwytając za piersi.

Oficer opuścił pistolet i pochylił się nad nim. Już nie żył, tknięty jak grom w samo serce. Mściciel dojrzał to, popatrzył chwilę w zastygłą martwość twarzy tutaj, podszedł do posłania, ryngraf zdjął ze ściany, ukrył za mundurem i wyszedł z tego skrwawionego gniazda nieszczęsnego szau. Szedł powoli, jakby czekał, że z domu Alcada wypadną zbrojni, zwabieni strzałem, i rozsiekają go.

Może pragnął tego, bo się widocznie ościagał.

Ale głuchego odgłosu nikt nie dosłyszał i Mercedes stroiła się właśnie na schadzke z ukochanym, gdy tam w altanie trup tężał już, a czarny cień wykonawcy okrutnego prawa nikał w pustych winnicach.

* * *

Minęło wiele czasu. W dwóch dworach na dalekiej północy czytano chciwie urywane sprawozdania tytanicznych bojów, w myśli dążono za armią przez grody i rzeki, od klęski do zwycięstw, chwytano wieści i posłuchy — z wiarą, czerpaną w modlitwie, czekano wciąż dwóch tułaczy. Byli bezustannie na ustach i w sercach, widziano ich w snach, spodziewano się co dzień.

Aż pewnego zimowego wieczora zakołatała dłoń zmęczona do drzwi i człowiek samotny, szronem okryty,

wychudły i czarny od mąk niezliczonych, stanął w progu.

— Pochwalony Jezus Chrystus! — pozdrowił trzy kobiety, co nie poznały brata, ni narzeczonego młodzieńca w tym chudym, wyniszczonym mężczyźnie.

Dopiero głos go zdradził i odkrył.

— Konstanty! O, Boże!

I rzuciły się ku niemu. Ale wtem poszukały kogoś jeszcze drugiego zanim — i stanęły jak wryte.

— Stach? — spytały bladymi usty.

Ten głowę skłonił i w zanadrze sięgnął.

— Stach poległ śmiercią walecznych na polu chwały i tylko ryngraf, krwią jego zboczony, wam odnoszę! — rzekł uroczyście, w ręce babki, matki dzielnych synów, oddając tę spod Cecory spuściznę.

I było to jego trzecie kłamstwo i już ostatnie.

Szły potem pułki na wyprawę daleką — i on poszedł. A stamtąd nikt już kobietom — sierotom nie przyniósł o tym ostatnim wieści — i on już nigdy nie wrócił...

KONIEC